

MORDERSTWO

W

THEATRE
ROYALE

ADA MONCRIEFF

ADA MONCRIEFF

MORDERSTWO

—◆ W ◆—

THEATRE
ROYALE

Tłumaczył
Jarosław Skowroński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Ada Moncrieff
Morderstwo w Theatre Royale

Tytuł oryginału

Murder at the Theatre Royale

ISBN 978-83-8335-143-8

Copyright © Ada Moncrieff, 2022

The Author has asserted her right to be identified as the author of the Work.

First published as Murder At The Theatre Royale in 2022 by Vintage, part of the Penguin Random House group of companies.

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2023

All rights reserved

Redakcja
Karolina Kaczorowska

Projekt okładki i stron tytułowych
Paulina Radomska-Skierkowska

Projekt typograficzny i łamanie
Grzegorz Kalisiak | *Pracownia Liternictwa i Grafiki*

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Gdy człowiek kroczy po jakiejś drodze, zawsze przewidzieć można, jaki go czeka kres.

Charles Dickens, *Opowieść wigilijna*¹

Od jakichś sześciu dni z grudniowego nieba nad Londynem mżył deszcz przetykany śniegiem, chłuszcząc od czasu do czasu gradem tych śmiałych — albo głupawych — ludzi ciągnących chodnikami w pogoni za najlepszymi prezentami bożonarodzeniowymi. Jednakże tego akurat dnia, 22 grudnia, wydawało się, że niebu znudziło się dokuczanie mieszkańcom miasta i obdarowało Londyn swym najbardziej wyczekiwany podarkiem — nieskalanie czystą śnieżną pierzynką. Płatki śniegu oblepiały witryny redakcji „Daily Chronicle”, za którymi rozbrzmiewał stukot maszyn do pisania i gwar rozmów pospiesznych, nerwowych, a czasem jakże rozkosznie blących.

Jedną z tych rozmów toczono w gabinecie redaktora naczelnego Martina Hallidaya — choć niestety dla jej uczestników dyskusja ta pozbawiona była wszelkiego uroku i aż nadto poważna. Jedną z tych osób siedziała zgarbiona, w pozie zdradzającej, jak przykra była dla niej ta sytuacja, a druga zachowywała niewygodnie sztywną pozycję, mającą świadczyć o profesjonalizmie i opanowaniu. Dzieliło je wielkie mahoniowe biurko, zarzucone stertą starszych i nowszych numerów gazety oraz jakimś dziwnymi drobiazgami (a wśród nich największe zdziwienie budziły szkło powiększające i ptasie pióro). Biurko to wznosiło się jak barykada pomiędzy Hallidayem i jego sfrustrowanymi pracownikami. W tym jednak momencie było świadkiem rozmowy, której reperkusje miały być odczuwane przez wiele następnych lat.

— King, nie ma w tym nic osobistego, ale zrozum, że Jenkins jest po prostu dziennikarzem nie do powstrzymania, w każdym calu — perorował Martin Halliday, bawiąc się jakąś elastyczną tasiemką w lewej ręce i postukując palcami prawej. — Weźmy tę aferę z praczkami w zeszłym miesiącu. Jenkins wyciągnął tego gorącego kartofla dzięki swoim koleśkom z policji. Tym sztywniakom kręcącym się po Soho. Był na miejscu, dostał cynk z „Three Greyhounds”. Pomińmy już fakt, że wywąchał te brudy w Westminsterze, zanim ktoś się połapał, kim jest. To prawdziwy pies gończy, jak powiedziałem: dziennikarz w każdym calu.

Daphne King nic nie mówiła, utkwivszy wzrok w siedzącym przed nią mężczyźnie w średnim wieku. Założywszy ręce na piersi, pozwoliła sobie jedynie na drwiący uśmiešek. Mogła w tej chwili wyciągnąć mnóstwo rzeczy — i później była zła, że o żadnej nie wspomniała. Może Martina Hallidaya zainteresowałoby, że to dzięki jej kontaktom w tej pralni ona i Jenkins mogli wyciągnąć na światło dzienne skandal, który na parę tygodni zawładnął nagłówkami prasy. Halliday powinien wiedzieć, że to instynkt Daphne co do morderstw w Soho pokierował Jenkinsa ścieżką prowadzącą na pierwsze strony gazet. Wątpliwości Hallidaya mogły wynikać z niewiedzy, że to właśnie nos Daphne King do podejrzanych przekrętów stał w istocie za rewelacjami westminsterskimi. Możliwe, całkiem możliwe, że Martin Halliday jako redaktor ogólnokrajowego dziennika mógłby podziękować Daphne za oświecenie go w kwestii rzeczywistej natury jego reportera-gwiazdora Jamiego Jenkinsa, o zacnym wejrzaniu i lekkim duchu, który przeżył ostatnie pół roku, rzucając się na każdy żer, jaki pozwoliła mu — głupio, naiwnie, *idiotycznie* — znaleźć Daphne.

A jednak — zamiast zawojować szefa barwną opowieścią przedstawiającą Jenkinsa jako marnego pasożyta i cwaniaka, a ją jako niedocenionego geniusza, Daphne zachowała milczenie. Pięć lat pracy dla Hallidaya nauczyło ją, że kobiety obnoszące się z kwaśną miną nie cieszyły się popularnością w murach — ani na łamach — „Daily Chronicle”. Redakcyjna impreza bożonarodzeniowa, urządzona poprzedniego

wieczoru, umocniła jeszcze rezerwę Daphne. To poklepywanie się po plecach i chojrakowanie, praktykowane przez Jamiego i jego kumpli, zawsze ją mierzyły, ale szczególnie wtedy, gdy towarzyszyły im letni grzaniec i zimne kanapki. Daphne wytrzymała tam wystarczająco długo, żeby wysłuchać chęlniej aż do mdłości oracji Jenkinsa (choć nawet ją zdumiało użyte przez Jamiego kunsztowne porównanie jego ciągłego poszukiwania prawdy i sprawiedliwości do wędrówki ubogich pasterzy szukających Dzieciątka Jezus). Zaraz potem pospiesznie dopiła swoje wino i złapała autobus do domu. Z wyglądu zarówno tego biura, jak i bawiących się tam ludzi można było sądzić, jak potoczyły się sprawy po jej wyjściu.

Wyraźnie przekrwione oczy i wyczuwalny zapach brandy, dobywający się z zaskakująco każdym wyczuwanym oddechem Hallidaya, świadczyły, że redaktor naczelny dobrze się wczoraj bawił, a dziś cierpiał tego konsekwencje. Jego sumiaste wąsy były jakieś obwisłe, a brzuch uwidaczniał się aż nadto, gdy Halliday kręcił się na krześle, przerzucając egzemplarze gazety na biurku, aż w końcu trafił na ten właściwy; otworzył go na rozkładówce i pokazał Daphne.

— Gazeta jest jak żywe, oddychające zwierzę, droga King. Jest jak tygrys, jeśli wolisz. Jak tygrys, a wszystkie te... drobiazgi czemuś służą — ciągnął Halliday.

Daphne skrzywiła się, niepewna, do czego zmierza to porównanie.

— Tacy prawdziwi reporterzy, jak Jamie i jemu podobni, mają mocne szczęki i kły... No a ty, droga Susan, jesteś... miłutką, ciepłą... pluszową przytulanką. No tak, jesteś urocza, uspokajasz, dodajesz ducha...

Halliday nigdy nie był mistrzem celnych określeń, a ta niezręczna przemowa była tego kolejnym dowodem — jeśli ktoś tego jeszcze potrzebował. Daphne zerknęła na stronę, którą jej pokazał. Oczywiście była to strona dziesiętnasta, oddana zabawnej aż do bólu ciotce „Chronicle” — „Drogiej Susan”. Była to rola, którą Daphne odgrywała aż nazbyt długo; zaczęła jako skowronek, a skończyła jako coś w rodzaju albatrosa. Daphne sama się zdumiała swoim talentem do ostrożnego dozowania mądrości i nakierowywania swych czytelników na rozwiązywanie ich problemów — domowych (jak zapobiec osiedlaniu się mrówek w kuchni?), emocjonalnych (jak powinnam się zachować wobec Shirley, nowej sąsiadki, która — nie wiedzieć czemu — podmienia nasze butelki na mleko?), a czasami zdrowotnych (halluksy nie odpuszczają!).

Sprawa Hrabiny Hazardzistki pozwoliła Daphne wypłynąć na szersze wody. Jakiś rok wcześniej, może półtora, zaczęły przychodzić te listy. Ich ton był mocno egzaltowany. Niby nie szczególnie, ale Daphne miała przecucie — ten dziwny porządek zdań, staromodne wyrażenia rozsiane po tekście... Listy przychodziły mniej więcej trzy razy w tygodniu, ale bez żadnych wskazówek dotyczących nadawcy. Nie nadawały się do pełnej publikacji, ale było w nich coś, co przykuwało uwagę Daphne. Wielokrotnie uważna lektura zaczęła coś ujawniać: kod, przekaz ukryty pod błahą powierzchwnością. Wezwanie SOS. Daphne dodała dwa do dwóch i zdała sobie sprawę, że listy pochodziły od Lucretii Hallenstrop, ukrywającej się pod pseudonimem Hrabiny Hazardzistki, o której zniknięciu wołały od tygodni nagłówki gazet. Daphne skontaktowała się z policją — i bingo: tajemnica Hrabiny Hazardzistki została rozwiązana. Dziedziczka fortuny wyjaśniła później, że najmłodszy członek bandy porwaczy — jakiś szczeniak — zadrzył się w niej i pochlebiali mu to, że mógł potajemnie wysyłać te listy, przekonany, że trafią do schorowanej babci hrabiny.

Najważniejsze było to, że Lucretia Hallenstrop zdecydowała się na korespondencję właśnie z Drogą Susan, o której miała znakomite zdanie. Jak sama stwierdziła: „Od lat podążam za jej mądrymi radami i mogłam zaufać, że mnie odnajdzie”. Od tej pory popularność rubryki Susan poszybowała w górę. Gospodynie domowe zjednoczyły się w adoracji Drogiej Susan, zawierając jej radom. Martin Halliday nie

mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście: miał w rękach żyłę złota. W Daphne jednak budziły się coraz większe wątpliwości co do roli, jaką przyszło jej odgrywać. Wytropienie afery Hallenstrop sprawiło, że nabrała apetytu na grę o większą stawkę. Nie wystarczyło jej uświadamianie jakiejś Barbarze z Basingstoke, że ślady szminki na kołnierzyku jej męża mogły być świadectwami jakichś jego wybryków. Miała chęć na ujawnianie nikczemniejszych postępków. Chciała zablysnąć jako demaskatorka morderców, złodziei i zorganizowanej przestępczości.

Daphne patrzyła na gazetowe kolumny, które jej pokazywał Halliday, wypełnione jakimiś poradami kuchенно-rodzinnymi. Pomimo rozwiązania afery Hrabiny Hazardzistki szef nie zmienił swojego stanowiska w kwestii anonimowości Drogiej Susan. Żadnej fotki Daphne na marginesie — raczej kobieca sylwetka w zawadiacko nałożonym kapeluszu, z kieliszkiem martini w dłoni. Halliday uważał, że Droga Susan powinna pozostać postacią, której rozsądek idzie w zawody z tajemniczością. Innymi słowy, kobiety z angielskiej prowincji miały wierzyć, że listy z ich kłopotami powierzane były sympatycznym paniom do towarzystwa w jakiejś słonecznej oranżerii, skąd przez kamerdynera trafiały do rąk pani Susan, która czytała je przy śniadaniu — a nie były zwalane na głowę jakiejś niezamężnej trzydziestosiedmioletce wynajmującej pokój w pensjonacie w Camberwell. A zatem: anonimowość była niezbędna.

— Wszystko to rozumiem, Martinie. Naprawdę — zaczęła Daphne, zmuszając twarz do uprzejmego uśmiechu, który pozwolił jej zażegnać wiele burz. — Ale jeśli mogę być szczerą, Jenkins jest tu od pięciu minut, a ja pracuję dla ciebie od pięciu lat.

— I w ciągu tych pięciu lat udowodniłaś, że umiesz pisać, balansując na cienkiej granicy pomiędzy rozsądkiem i nonsensem, udzielając tych wszystkich porad dla beznadziejnych pań domu i głupiutkich dziewczątek potrzebujących twojej pomocy. Tej nieśmiałej Daphne King z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku ledwie udawało się przynieść herbatę bez rozlewania jej na spodek. Taka to była gąska. A spójrz na siebie teraz. Daphne King z trzydziestego piątego roku wie dobrze, jak używać słów. Nasze czytelniczki rozbiegłyby się jak kurczaczki, gdyby nie ty.

Ton głosu Hallidaya był pochlebny. Chciał ją spławić, zanim zegar nad jej głową wskaże jedenastą.

Uśmiech Daphne zbladł tylko troszeczkę. Była przyzwyczajona do zdrobnień w opisie jej kariery.

— No i jestem ci za to wszystko wdzięczna, Martinie, sam to wiesz. Ale pozwolę sobie znów na szczerotę. Otóż czuję, że będę potrzebowała odmiany. Nie jestem całkiem pewna, czy zdołam jeszcze wykrzesać z siebie entuzjazm, by kolejny raz powiedzieć jakiejś Maud z Bagshot, jak wyhodować doskonałą begonię, albo poradzić następnej Gladys z Woolton, co powinna zrobić, jeśli jej mąż zacznie kręcić głową na podany suflet. A co, jeślibym chciała pójść naprzód, wyrobić sobie nazwisko, jak ty... — Daphne wiedziała, że ostrożne pochlebstwo nie zaszkodzi — jeślibym chciała rozwinąć skrzydła, dołożył nową strunę do mojej lutni...

Elastyczna tasiemka Hallidaya przeleciała przez pokój — i Martin skierował swój palec wprost na Daphne.

— Wiesz, King, jak potrzebujemy twoich miłych słówek. I tak powinno zostać. Pisząc o zbirach i szumowinach, wypytując prawników o jakieś brudne sprawy i zbierając cynki od podejrzanych typów, ubrudzisz się, i obawiam się, że niełatwo ci będzie to z siebie zmyć. Takie rzeczy są dobre dla Jenkinsa — i to jest moje ostatnie słowo w tej sprawie.

— Więc może... może nadszedł czas, by Droga Susan spakowała swoje rzeczy i rozstała się z „Chronicle”.

Daphne utkwiała wzrok w Hallidayu. To był niebezpieczny manewr, musiała przyznać, lecz przekalkulowała ryzyko i wyszło jej, że może na tym skorzystać. Halliday zbudował swoją karierę na zawziętości, przebojowości i niemałej dawce dwulicowości — stosownie do konieczności czy raczej możliwości, jakie się przed nim otwierały. Kierował się dewizą, którą chętnie dzielił się ze swoimi pracownikami: dobry dziennikarz nie powinien się nigdy przejmować, że brodzi w szambie, by zdobyć gorący materiał, bo od tego ma dobrą żonę, żeby w domu sprząła z niego te brudy. A tymczasem źle pasująca do tej wizji dobrego dziennikarza Daphne stwierdziła, że nadeszła już chwila, by pokazać, jak sama potrafi być zawzięta i potencjalnie przebojowa.

Halliday miał denerwujący zwyczaj skubania wąsów, gdy był głodny lub nerwowy, ale ślady na jego kołnierzyku po czymś, co wyglądało na sos pieczeniowy, doprowadziły Daphne do wniosku, że Martin głodny nie był — a więc zdenerwowany. A jeśli Halliday był zdenerwowany, oznaczało to, że jej kalkulacje są trafne. Droga Susan przyczyniła się znacznie do wzrostu sprzedaży gazety i Daphne niejednokrotnie miała okazję podsłuchać w kolejce do autobusu albo w pobliskiej herbaciarni Lyons kobiety gawędzące o jej ostatnich dobrych radach. Była, delikatnie mówiąc, objawieniem. I rezygnacja z niej nie wchodziła w grę. Halliday zmarszczył czoło i przeciągnął dłońią po rzędziejących włosach.

— Powiem ci, że trafiłaś na mój dobry nastrój, King. Fabian le Prince złapał jakieś świństwo, pewnie zjadł podejrzanę ostrygi u J. Sheekeya — powiedział Halliday, podnosząc się z krzesła i obracając wzrok na coraz ciekawszą scenę za oknem. — No i proszę, taki redaktor od kultury... Miał złożyć wizytę Chesterowi Harrisonowi i jego żonie, Theodorze jakoś tam, tej francuskiej aktorce z dawnych lat. No, ale była kiedyś popularna, choć miała też fatalne momenty. Theodora D'Arby! Pewnie oboje są jeszcze sprzed twoich czasów, King!

Daphne uniosła brwi rozbawiona. Theodora D'Arby nie była bardziej Francuzką niż Fabian le Prince Francuzem, bo w istocie nazywał się Frank Price. Daphne zawsze uważała, że do ludzi teatru, z ich skłonnością do dziwacznych pseudonimów i wygórowanych wymagań, trzeba podchodzić z dystansem.

— Są znów w Londynie, najwidoczniej po to, by ogłosić swój wielki comeback. Objechali już wszystkie zwyczajowe miejsca — Reading, Scarborough, Blackpool, no wiesz. Ostatnim etapem ma być Londyn — i wielkie hurra! — ciągnął Halliday. — Oczywiście „Standard” już podgrzewa atmosferę piórem Tyrone'a Bridge'a. Tyle że to tournée nie przebiega jednak... całkiem gładko. Jakies potrząsanie piórami od kapeluszy, niszczenie bukietów, awantury przy podniesionej kurtynie... Coś jak kłopoty z maszyną. Le Prince jest specjalistą od zakulisowych rozgrywek i teraz wołał położyć się do łóżka niż świecić oczami na Shaftesbury Avenue. Nie zgarniesz za to Pulitzerza, ale zawsze to jakaś odskocznia od sufletów i begonii. — Halliday machnął niedbale ręką, jakby zawczasu opędał się od tych kobiecych tematów. — Pomożesz nam wybrnąć z tej sytuacji. Le Prince miał się zjawić w Theatre Royale, by pogawędzić z pół godziny z D'Arby i Harrisonem i pokręcić się po teatrze, tak wiesz... żeby wyczuć atmosferę. Do tego dochodzą oczywiście bilety w pierwszym rzędzie na dzisiejszy spektakl. To co? Gra?

Daphne spojrzała na Hallidaya z zakłopotaniem. Czy to była prawdziwa propozycja? Gdyby wiedziała, że tak łatwo pójdzie, złożyłaby swoje ultimatum w delikatniejszej formie. Więc te wszystkie pochlebstwa i pretensje były niepotrzebne? Nie była przyzwyczajona do takich darowanych koni. Musiała odwrócić wzrok, by nie dać po sobie tego poznać.

— No cóż, to trochę... kłopotliwe. Miałam dziś wieczorem złapać pociąg do Slough, żeby zobaczyć się z matką i jej lokatorem — to znaczy z mężem. A pojutrze przyjedzie moja siostra z dziećmi, to przecież Wigilia...

Daphne ugryzła się w język: co ty pleciesz, głupia dziewczyno? Czy taka Nellie Bly, słynna dziennikarka i osobista bohaterka Daphne, wykręcałaby się od zadania, żeby pospieszyć na spotkanie z matką? Albo — by sięgnąć bliżej — czy postąpiłby w ten sposób taki pozbawiony skrupułów szczur jak Jamie Jenkins? Wyobraziła już sobie ten wieczór przy herbacie mocno zaprawionej mlekiem; musiałaby słuchać uprzejmie, jak Reg — dawny lokator, a teraz jej ojczym — zabawia siebie i jej matkę historyjkami zasłyszаныmi u bukmacherów, i zapewniać matkę, że jest niezmiernie zadowolona, mając pracę, i że nie czułaby się szczęśliwsza z obrączką na palcu i bułeczkami w kuchence. W Wigilię miała przyjechać Felicity z siostrzeńcem Daphne, Tonny, i jej siostrzenicami Jenny i małą Sarah. Nie miała dotąd okazji kupić im bożonarodzeniowych prezentów — za bardzo była zajęta doradzaniem czytelniczkom, jak sprawić, by pudding nie wysechł, albo jak uchronić dzieci przed niesfornymi kolegami z klasy, twierdzącymi, że Święty Mikołaj to lipa.

Zdecydowała: w tym roku skróci wyjazd do Slough. Pojedzie jutro, dając sobie czas zarówno na wykorzystanie nieoczekiwanej szansy zawodowej, jak i na zakup niezbędnych prezentów.

— Martinie, bądź tak miły i nie zważaj na te moje brednie. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż pójście do londyńskiego West Endu w ten szczególnie wieczór sezonu. Sezon *panto* ominął mnie w tym roku, więc wizyta w tym teatrze to dla mnie gratka.

Daphne zaakcentowała to mocnym skinieniem głowy. Tak miało być, postanowiła. Stanowcza i zdecydowana, wyłoniła się z cienia Drogiej Susan i pokazała Martinowi, że ona, Daphne King, jest dziennikarką z prawdziwego zdarzenia.

— Możesz na mnie liczyć. Król zastąpi księcia³, wszystko pasuje.

— Znów jesteś sobą, King. Poetyckość twoich słów jest najlepszą przepustką. Może nie da ci wstępu na pierwszą linię kryminału, ale to jednak przepustka. Tylko nie zrozum mnie źle: wciąż jesteś Drogą Susan, ale nawet ona potrzebuje czasem rozprostować nogi i wyjść w miasto. — Halliday przetarł oczy i powoli wciągnął powietrze. — A tak na marginesie: może byłabyś tak miła i skoczyła do Luigiego po kanapkę z bekonem dla mnie? Coś mnie kręci w żołądku po tym wczorajszym grzańcu... Aha! I kup dzisiejszy „Standard”. W tekście Tyrone’a Bridge’a znajdziesz porcję plotek o tych dwojgu.

Daphne wracała pamięcią do tej chwili przez lata. Do tego momentu, gdy postanowiła chwycić się okazji — co prawda nie za mocno — by pokazać swój charakter. Może zdołałaby objąć na stałe redakcję kulturalną, pozwalając Drogiej Susan odejść na wieczny odpoczynek? Wysłuchiwałaby aktorskiego głędzenia o warsztacie scenicznym czy umiarkowanie zabawnych anegdot o garderobianych wpadkach, a potem mogłaby znosić kolejne święta Bożego Narodzenia z matką i Regiem.

I to by było niezłe dla Daphne King.

A jeszcze lepsze dla przestępców.

2

Daphne przeleciała po wszystkich redakcjach „Chronicle” z życzeniami i zapałem lyżwiarza kręcącego piruety na lodowisku. Zazwyczaj potraktowałaby swój tak ostantacyjnie dobry humor podejrzliwie, uważając go za naiwny wstęp do bolesnych upadków i łez (dla przykładu: ostatnia „wymiana informacji” z tym wrednym skunksem Jenkinsem). Czuła się jednak podbudowana świadomością celu, który jej teraz przyświecał. Rozmowa z Martinem Hallidayem nadała temu dniu całkiem świeży walor, ukazując

w nowym świetle ją samą i jej przyszłość. Rozmowa telefoniczna z matką była krótka i serdeczna: oczywiście przyjedzie, tylko nie dziś. Może jutro, może w Wigilię. A za karę, że się spóźni, przywiezie dodatkową butelkę sherry.

Śnieg wirujący wokół Daphne wydawał się ją zagarniać i popychać naprzód. Kupiła najnowszy „Standard” od gazeciarza, którego zwykła szorstkość złagodniała teraz pod bujną brodą Świętego Mikołaja. Zamiast tradycyjnym, niedbałym mruknięciem „dziękuję” obdarzył dziś Daphne różnym „Wesołych świąt!”. Przyszło jej do głowy, że Boże Narodzenie rzeczywiście wydobywa z ludzi to, co w nich najlepsze.

Pod rachitycznym schronieniem, danym jej przez parasolkę (która wyraźnie miała już za sobą lepsze dni; Daphne zanotowała sobie w pamięci, by kupić nową na styczniowej wyprzedaży w Debenhams), zmierzała energicznie w stronę przystanku autobusowego. Jej cel, Theatre Royale przy Great Windmill Street, oddalony był o jakieś półtora kilometra. Daphne wyliczyła sobie, że autobus numer 24 powinien ją tam dowieźć za mniej więcej dwadzieścia pięć minut, a w tym czasie zdąży sobie przygotować listę osób, o których wspomni Theodorze D’Arby i jej mężowi Chesterowi Harrisonowi — takich intelektualistów przyzwyczajonych do śniadań w Claridge, martini w Ritzu i wieczorów w salonach Bloomsbury.

W autobusie dokonała pospiesznego przeglądu swojej odzieży: zdartych brązowych oksfordzkich trzewików (według katalogu Littlewoods był to ostatni krzyk mody, tyle że sprzed trzech lat), przemoczonych podkolanówek, które wołała od pończoch (bo te szybciej się niszczyły, więc były nieekonomiczne), i granatowej plisowanej spódnicy, której brzegi nosiły ślady wielokrotnych napraw. Zmarszczyła czoło. Kręgi teatralne miały bzika na punkcie wyglądu — i dobrze o tym wiedziała. Grając rolę Drogiej Susan, nie potrzebowała dbać o powierzchowność. Anonimowość miała tę zaletę, że Daphne mogła pracować nierozpoznawalna. Jej czytelniczki wyobrażały sobie, że Susan jest elegancką — ale bez przesady — panią domu z encyklopedyczną wiedzą obejmującą takie kwestie, jak wykorzystanie sodы oczyszczonej czy skuteczne zwalczanie ziemiórek. Daphne mogła sobie siedzieć w swoich podkolanówkach za maszyną do pisania — i nikt jej nie widział. Nawet podczas pozabiurowego zbierania materiałów ten nieco zaniedbany wygląd był, zdaniem Daphne, atutem. Wątpiła, czy kobiety z pralni na West Endzie byłyby tak rozmowne, gdyby spotkała się z nimi damulka o nienagannym makijażu i starannie ułożonej fryzurze.

Daphne dobrze wiedziała, że nie mogła sobie rościć wielkich pretensji do urody, ale mówiła na to: bzdura! Sherlock Holmes też nie zasłynął jako wyjątkowy przystojniak i nie przejmował się faktem, że nie był *au courant* z modą.

Skończywszy pospieszny przegląd swojej garderoby, Daphne skupiła się na znacznie ważniejszej kwestii: na numerze „Standardu” wciśniętym do jej torebki. Przeleciawszy wzrokiem po nagłówek KOBIEȚA WALCZY Z BANDYTAMI PODCZAS SEANSU FILMU O MORDERSTWIE (wróci do tego później) i po kilku reklamach pytających: *Czy doskwiera ci zabójczy reumatyzm?* (miała nadzieję, że nie będzie to jej dotyczyło jeszcze przez parę dekad), znalazła poszukiwaną stronę i przeczytała:

Tyrone Bridge donosi —

HARRISON I D’ARBY WRACAJĄ NA WEST END

Gdy sezon *panto* zmierza ku końcowi, okrzyki „Już po was!” niosą się echem po Shaftesbury Avenue. Pasuje to do powrotu Chestera Harrisona i Theodory D’Arby na londyńską scenę w czasie, gdy ich kariery

są równie niewątpliwe, co przebrzmiałe.

Czytelnicy w pewnym wieku mogą pamiętać ten hamletowski duet z 1919 roku, gdy Harrison prowadził D'Arby jako Duńczyk (nie będziemy się jednak gorszyli lukami w pamięci; w ciągu tych szesnastu lat, od kiedy D'Arby ostatni raz stąpała po deskach tej sceny, wielu innych pamiętnych książąt rozważało słynny dylemat). Być może czytelnicy pamiętają następną teatralny wyczyn tej pary w sztuce samego Harrisona *Łaskawa i gniewna* i te porównania do Wilde'a i Shawa, którymi szafowali krytycy mniej wymagający od niżej podpisanego. Widownia leżała u stóp tej pary, której dotyk działał jak ręka Midasa. Niektórzy jednak wyrażą ubolewanie, że Hollywood nie było już dla nich tak łaskawe.

Pycha, wygórowane ambicje, a można by nawet powiedzieć, że nieco skandaliczna aura otaczająca tych dwoje odpędziły Harrisona i D'Arby od naszych brzegów; niepowodzenie zaś i desperacja ściągnęły ich ku nam z powrotem. Objechawszy prowincjonalne teatryki, Harrison przywiózł swoją nową inscenizację *Opowieści wigilijnej* do stolicy, gdzie z zapartym tchem czekaliśmy, aż trupa jego aktorów zadebiutuje dziś wieczór, 22 grudnia 1935 roku. Niestety, nie dano nam przywileju doświadczenia znów na naszej scenie czaru D'Arby, choć Wasz recenzent musi przyznać, że byłaby ona bardzo przekonującym Duchem Wigilijnej Przeszłości.

Harrison i D'Arby pokazali nam kiedyś pięknego królewicza duńskiego, ale teraz cisną nam się do głowy dwie inne szekspirowskie postacie: król Lear, zaklinający pioruny, by spaliły jego siwe włosy, gdy wędrował podczas burzy przez dziką okolicę, i pyszny Spodek, gotowy na wszystko dla rojeń o piękności.

Daphne uniosła brwi i westchnęła. Głupi baran w przebraniu wdzięcznej kulturalnej owieczki. Jeśli ktoś słuchał plotek z Fleet Street (do czego i ona bywała czasem zmuszona w imię zawodowej konieczności trzymania ręki na pulsie spraw), to wiedział, że dawna pozycja Tyrone'a Bridge'a jako przenikliwego krytyka ustąpiła w ostatnich latach opinii wrednego łowcy skandali. A jego odniesienia do Szekspira były mocno wątpliwe: Daphne przypuszczała, że Chester Harrison miał przypominać zgrzybiałego i oszalałego Leara, a Theodora D'Arby odgrywała w tym naciąganym porównaniu rolę Spodka. Jednakże fotografia towarzysząca artykułowi (jeśli ten tekst zasługiwał na to miano, w co Daphne wątpiła) nie pasowała do elukubracji Bridge'a: na zdjęciu pary z 1919 roku Chester Harrison był uderzająco przystojnym mężczyzną z nienagannie utrzymaną brodą i myślącym uśmiechem, a sfinksowe spojrzenie Theodory D'Arby i jej efektowna fryzura na boba robiły hipnotyzujące wrażenie.

Autobus toczył się wzdłuż Embankmentu, pomiędzy połyaskującą lodem Tamizą na południu i tłumami zakupowiczów ciągnących w stronę Covent Garden. Daphne odkręciła wieczne pióro i zakreśliła trzy słowa w tych skądinąd marnych wycieczkach Tyrone'a Bridge'a: „Pycha, ambicje... skandal”. Kombinacja potencjalnie wybuchowa. Mogła tchnąć życie w tę historię.

3

Wyskoczyła z autobusu na Piccadilly Circus, gdzie posządek Erosa wyglądał spod pierzynki świeżego śniegu. Trochę napadało też na posąg, na jego głowie tworząc coś w rodzaju czapki Świętego Mikołaja, co nadawało mu wygląd uczestnika imprezy opuszczonego przez towarzyszy. Płatki śniegu wciąż aż nazbyt natarczywie towarzyszyły Daphne zmierzającej do Theatre Royale.

Zbliżywszy się już do celu, dostrzegła jakąś postać idącą do teatru pod niebiesko-czerwono-żółtym parasolem, co na tle białego całunu pokrywającego stolicę było wyzywającym zestawieniem. Skryty pod tym parasolem mężczyzna zdjął rękawiczki i rzucił okiem na afisze zdobiące podwójne drzwi: CHESTER HARRISON PRZEDSTAWIA *OPOWIEŚĆ WIGLIJNĄ*. W swoim ciężkim, nieco znoszonym tweedowym palcie, owiniętym ciasno wokół ciała, i purpurowym filcowym kapeluszu oraz fantazyjnym czerwonym szalu okrywającym brodę mężczyzna ten wyglądał jak ucieleśnienie dobrodusznego bon vivanta.

— Pan Harrison? — usłyszała Daphne samą siebie. — Tak? Jestem Daphne King z „Chronicle”. Jak się pan miewa?

Daphne otrząsnęła swoją parasolkę mocniej, niż chciała, strzepując na Harrisona nieco śniegu.

— Bardzo przepraszam, panie Harrison, strasznie trudno złożyć te cholerną rzecz, nie robiąc bałaganu. Proszę mi wybaczyć, doprawdy podłą mamy dziś pogodę — ciągnęła, walcząc niezgrabnie ze swoją parasolką.

Przez twarz Chestera przemknął uśmiech, który można było jedynie opisać jako diabelsko przenikliwy.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, z kim mam przyjemność, choć obdarzyła mnie pani serią nazw i nazwisk, nawet moim, ale wydaje mi się, że jakbym panią skądś znał... ten nieczęsto pojawiający się dziś typ kobiety zaprawiającej swe powitanie słowami takimi jak „podła” czy „cholerna”. Przypomina to żargon dokerów opuszczających pub.

Daphne odpowiedziała niepewnym uśmiechem, walcząc wciąż z parasolką. Sytuacja była kłopotliwa, ale mimo to poczuła nową i dziwną śmiałość, że ona, właśnie *ona*, wkracza na nową arenę, gdzie owa śmiałość nie będzie dla niej niczym dziwnym ani niestosownym.

— Niestety moje talenty lingwistyczne nie zostały nigdy docenione na portowych nabrzeżach, ale przekona się pan, że puby na Fleet Street oferują podobne doświadczenia językowe: barwnego słownictwa w ustach barwnych postaci. Jestem z „Daily Chronicle”. Wiem, że spodziewał się pan Fabiana le Prince’a, ale on... cóż, przykra sytuacja po ostrygach, jak mi powiedziano — wyjaśniła Daphne — więc zamiast niego ma pan mnie. A ja jestem zachwycona, będąc tutaj.

Parasolka ustąpiła wreszcie pod brutalną siłą Daphne. Wyciągnęła rękę, by uściśnąć dłoń Chestera, ale ten uchylił się, obdarzając ją w zamian dwoma kontynentalnymi całusami w policzki.

— A tak! Oczywiście. Theodora wspominała o tym przy śniadaniu. To szczęśliwy traf dla nas wszystkich. Co do mnie, wolałbym raczej oglądać jego plecy. Zawsze uważałem go za zbyt przymilnego, trochę lizusa. Spodziewam się, że pani postawi nas wszystkich na paluszkach, panno King — powiedział wesoło, kłaniając się z gracją, w swoim stylu. — Poza tym nalegam, by mówiła mi pani „Chester”, bo per „pan Harrison” zwraca się do mnie tylko mój księgowy — i za każdym razem, jak to słyszę, dostaję dreszczy.

Daphne chciała powiedzieć coś zabawnego (coś, co byłoby absolutnie na *poziomie* i co mogłoby zaowocować w jej pisaniu), gdy wtem jakiś intruz zdusił jej wysiłki.

— „Spętany jesteś łańcuchem! Powiedz mi, dlaczego?” — odezwał się drżąco chrapliwy głos.

— „Muszę wlec za sobą łańcuch, który sam ukulem za życia” — wyrecytował Chester, obracając się w nazbyt zamasztywym geście. — Chociaż to teraz krawatka zawiązana zbyt ściśle na mojej szyi. Poproś może krawców, by ją rozluźnili — co ty na to?

— Hmm... akt pierwszy, scena trzecia, dopracowana w każdym calu. Nie trzeba już przy tym majstrować, najdroższy reżyserze, boję się o *twoje* życie.

Mężczyzna ze zmierzwioną czupryną siwych i nastroszonych włosów, wyglądających jak aureola nad jego głową, mrugając niebieskimi oczami błyskającymi na tle pomarszczonej od wieku twarzy, chwycił Chestera mocno za ramiona i uściskał serdecznie.

— Ebenezerze Scrooge, nie oczekiwałam po tobie takich wygłupów w ten wieczór naszej londyńskiej prasowej premiery.

Chester roześmiał się i pokiwał ostrzegawczo palcem.

Przedstawiono się wzajemnie. Nieznajomy mężczyzna okazał się Robertem Stirlingiem czy raczej — jak się upierał od czasu wcielenia się w rolę Scrooge'a — Ebbiem. Robert znał Chestera z ich dawnych musicalowych czasów, uczestnicząc w tych samych przesłuchaniach (choć z mniejszym powodzeniem) aż do momentu, gdy Chester wziął się do reżyserii.

Przez jakieś trzydzieści lat Robert budował ciężką pracą swoją karierę, grając solidne role drugoplanowe — godnych zaufania podoficerów, jowialnych wujków, a ostatnio genialnego dziadunia. Dowiedziawszy się, że Chester i Theodora wracają do Anglii z *Opowieścią wigilijną*, walczył niestrudzenie o pierwszoplanową rolę w tej inscenizacji.

Po tym jak Chester dokonał niezbędnej prezentacji, Robert ujął delikatnie dłoń Daphne i ucałował ją dwornym gestem.

— *Enchanté*, jak to mówią w słodkim Paryżu.

— *Enchantée!* — Daphne pozwoliła sobie na odwzajemnienie tego ekstrawaganckiego powitania. — *Je suis ravie de parler avec vous tous et d'entendre parler de la production théâtrale.*

Daphne była *l'étoile* na lekcjach francuskiego w szkole; madame Boucher zawsze twierdziła, że nigdy jeszcze nie miała ucznia z taką naturalną zdolnością do tego języka, a Daphne z kolei zakochała się we wszystkim, co francuskie. Podobnie jak wszystkie największe miłości (o czym Daphne dowiedziała się z książek) było to uczucie namiętne, nieodwzajemnione i — jak to mówią — wszechogarniające. W tej jednak chwili Chester i Robert wymienili niezdecydowane spojrzenia.

— Obawiam się, moja droga — stwierdził Chester z uśmiechem pokonanego — że twoje zdolności językowe przewyższają nasze dziesięć-, jeśli nie tysiąckrotnie. Robert był najbliżej wieży Eiffla, gdy w pobliskiej *brasserie* zjadł przesmażony stek i popił go karafką taniego sikacza.

Robert wtrącił się teraz:

— A drogi Chester zrobił jedną czy dwie wycieczki po Montmartrze, ale jego francuski jest biegły tylko w zwrocie *Voulez vous cou...*

— Niech pani tego nie słucha, panno King — skwitował Chester szyderczą uwagą Roberta. — Mam od Theodory ściśle rozkazy, by zademonstrować pani naszą teatralną gościnność. Niech się pani przygotowuje na zawrót głowy. Radzę zmobilizować skarbiec pani słownictwa, ze szczególnym naciskiem na synonimy takich słów jak „błyskotliwe”, „urzekające” i „wzniosłe”. Może pani obejrzeć drogiego Roberta w próbie generalnej sceny, której diabelnie trudno będzie cokolwiek zarzucić.

— *Więc naprzód! Idźcie, gdzie was zapal ciągnie!* — zadeklamował znów Robert. — Miejmy nadzieję, że pan Hartforth ochłonął po wczorajszej hysterii. Dziwię się, że wciąż ma jeszcze jakieś zabawki, którymi może ciskać ze swojego wózka.

W oczach Chestera pojawiła się jakaś iskierka, nim zwrócił się do Daphne z wyjaśnieniem:

— Pan Hartforth, Donald Hartforth poczuł się... jak by to powiedzieć... dotknięty uwagami o jego zachowaniu. Trzeba więc obchodzić się z nim ostrożnie. Poczuł się zraniony takim drobnym incydentem, drobnostką naprawdę, gdy w ramach naszego tournée zatrzymaliśmy się w Brighton... otóż nie potraktował zbyt przychylnie pewnych sugestii i cisnął we mnie bożonarodzeniowym wieńcem...

Robert roześmiał się, a potem skrzywił, przykładając dłoń do żołądka, by wreszcie pokryć ten grymas uśmiechem.

— Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Nie chcę być wulgarny, ale obawiam się, że rozboleł mnie brzuch. Niech pani nie będzie zdziwiona, jeśli to podagra czy coś takiego. Przecież to choroba nękająca Henryka VIII, mnie i wielu innych mężczyzn w pewnym wieku ze zbytnią skłonnością do czerwonego wina.

— Dzwony piekiel, Robercie — powiedział Chester, posyłając przyjacielowi zatroskane spojrzenie. — Czy to coś poważnego?

Robert machnął lekceważąco ręką i wyprostował się, próbując daremnie ukryć wysilek, jaki mu to sprawiło.

— Nie... już nic. To ta koszmarna pogoda działa na moją wątrobę, to wszystko.

— Sam Ebenezer nie powiedziałby inaczej. Kiedy reszta ludzkości bawi się w śnieżki i zachwyca cudami zimy, ty i twoja wątroba gderacie na „koszmarną pogodę” — zachichotał Chester, ale jego niepokój najwidoczniej całkiem nie minął. Wziął Daphne pod rękę, tak że jej dłoń znalazła się na przedramieniu jego płaszcza.

Po prawej stronie strojnego wejścia do teatru biegł niepozorny korytarz i Daphne poczuła się nim prowadzona, mając po obu stronach tych bon vivantów. Nie mogła się oprzeć ich błyskotliwości, ich żywotności niestępienie zaawansowanym już przecież wiekiem. Zastanawiała się, czy i ona, jeśli stuknie jej szósty krzyżyk, będzie tak lotna.

Podjeżdżała jednak, że swada, z jaką wypowiadał się Chester, podszyta była nieco nerwowym drżeniem, obawą o powodzenie wieczornego spektaklu i niepewnością, czy jowialny urok Roberta, człowieka demonstrującego zadowolenie z siebie — co też miało pewnie maskować zdenerwowanie premierą prasową, objawiające się może „bólom brzucha”, jak to z zakłopotaniem nazwał — zdołędzie uznanie widowni.

Daphne nie miała jednak pojęcia — bo i skąd — że tylko jeden z towarzyszących jej mężczyzn wychyli jeszcze głowę z teatru.

4

Ruszać naprzód, Ebenezerze. Panna King chciałaby poczuć trochę bożonarodzeniowego nastroju. Będziemy cię oglądać z pierwszego rzędu.

Chester pozbył się Roberta, gdy mijali drzwi na scenę. Po skłonieniu się i grzecznym pozdrowieniu gestem dłoni groteskowo wysokiego mężczyzny górującego nad biurkiem przy drzwiach Robert podreptał korytarzem, wyłożonym zniszczonym czerwonym chodnikiem, z którego ścian łuszczyła się biała farba.

— Dobry wieczór, Chesterze! — huknął mężczyzna za biurkiem. Miał szeroką twarz o nieodgadnionym wyrazie — bo wrażenie pogłębiała jeszcze muszka z uśmiechniętym reniferem, zdołająca jego szyję.

— Ach, Nigel! — westchnął Chester. — Panno King, proszę poznać pana Nigela Roberta, nieugiętego strażnika drzwi wiodących na scenę. Nikt nie postawi stopy w naszym zacnym teatrze bez przyzwolenia Nigela. Nigelu, to jest panna King, nasz człowiek w „Chronicle”, więc zachowuj się, jak należy. — Mrugnął do Daphne i Nigela.

— Miło mi pana poznać, Nigelu. I na Boga, proszę nie robić sobie żadnych ceregieli w związku ze mną. Doprawdy nie ma potrzeby zawracać sobie mną głowy — odparła rezolutnie Daphne.

— Przekona się pani, że jesteśmy całkiem gościnni, zwłaszcza te dwa stare psy. — Słowa Nigela były serdeczne, ale wydawało się, że zapomniał okrasić je uśmiechem.

— No właśnie, co do gościnności... zaproszę panią do bufetu, a potem zobaczymy, co się dzieje na scenie. Mamy dżin, wino, brandy i pewnie szampana, o ile Robert nie wysuszył ostatniej butelki.

Chester cieszył się rolą gospodarza, a teraz klasnął, by dać do zrozumienia, że powinni iść dalej.

— Aha, zanim sobie pójdziesz, Chesterze... przyszła do ciebie następna paczka — powiedział Nigel. — Dziwna rzecz, ale wygląda tak samo jak ta wczorajsza.

Czyżby po twarzy Chestera przemknął grymas strachu? Czy Daphne wykryła w jego oczach ślad paniki? Chester odchrząknął. Odezwwał się znów spokojnie i zwięźle. Daphne uderzył kontrast pomiędzy jego obecnym tonem i tym wcześniejszym, ciepłym i żartobliwym.

— Dziękuję, Nigelu. Doceniam, jak zawsze, twoją pomoc. No i dyskrecję. Zostaw, proszę, tę paczkę tam, gdzie zwykle.

Daphne przez chwilę miała ochotę zapytać o tajemniczą paczkę, ale instynkt podpowiedział jej, że nie był to właściwy moment. Tymczasem uśmiech wrócił na twarz Chestera, choć nie tak pewny jak wcześniej, i mężczyzna zaczął prowadzić Daphne jakimiś korytarzami, wyjaśniając przy okazji, jakiego to geniuszu wymaga inscenizacja *Opowieści wigilijnej* siłami czworga tylko aktorów. Zapewnił ją, że będzie ich mogła poznać we właściwym czasie i że będą do jej dyspozycji.

Po niezliczonych zakrętach to w jedną, to w drugą stronę w labiryncie kulis Daphne zaczęło się wydawać, że wędrują przez jakieś mrowisko albo pszczeli ul, przez gospodarcze peryferie do pulsującego życiem centrum. Atmosfera zaczynała się robić coraz gorętsza, wszystkie korytarze tętniły życiem. Minęli dwóch krzepkich pracowników technicznych, klócących się, który z nich popełnił błąd przy obsłudze wyciągarki. Daphne przeprosiła, wpadłszy na jakąś garderobianą z twarzą mokrą od łez, mamroczącą niewyraźnie, że wypaliła żelazkiem dziurę w spodniach Boba Cratchita.

Wtem Daphne zdała sobie sprawę, że Chester rozpoczął tymczasem niezwykle osobisty monolog. Wiedział — jak twierdził — że jutro jego los będzie przypieczonegowany. Gdy wraz z Theodorą porzucił Londyn dla Ameryki, a było to jakieś szesnaście lat temu, spalili za sobą zbyt wiele mostów, rozczarowując zbyt wielu przyjaciół i kolegów. Rozgrzał West End: jego *Dwunasta noc* ściągała tłumy widzów, ludzie tłoczyli się w przejściach na *Znaczeniu szczerości*. Do czasu premiery *Łaskawej i gniewnej* wszystko mu się udawało: „midasowa ręka” Harrisona sprawiała, że krytycy piali z zachwytem, a kasy przeżywały obłędzenie. Zdaniem wielu osób wyzbył się tego wszystkiego dla fanaberii impulsywnej kobiety o dwadzieścia lat młodszej od niego. Hollywood było dla Chestera jałowym interludium, kiedy jego ambicja i talenty pozostawały w uśpieniu. Kariera Theodory czyniła pewne postępy, ale okazało się, że postawili na złego konia — choć oczywiście nie powiedział tego Theodorze prosto w oczy. Teraz wspomnienia dawnych sukcesów zabarwiły się nostalgią, melancholią i niepewnością jutra, choć Chester był przekonany, że po powrocie do Anglii i ponownym błysnięciu talentem jego pozycja zostanie odbudowana. Na scenie Theatre Royale mógł znów odegrać rolę teatralnego impresario.

— Wzruszające, nieprawdaż, panno King? — Mrugnął do niej.

Teraz innym już głosem, gromkim barytonem, zawadiackim i władczyim zarazem, zaczął rozprawiać o teatrze mającym być bijącym sercem Londynu. Wyjaśnił swoje wybory obsadowe. Jego inscenizacja *Opowieści wigilijnej* zakładała *soi-disant* minimalistyczne podejście, panujące na kontynencie.

Nie dla niego było zarządzanie dziesiątkami aktorów epizodycznych i tuzinami skłóconych ego. Nie, czterech aktorów wystarczyło zupełnie, by tchnąć życie w historię Dickensa, stwierdził z całkowitą pewnością. Oczywiście Robert da z siebie wszystko w roli Scrooge'a. Co do Donalda Hartfortha, to jego, hmm... magnetyzm wzmagał się poczwórną aż czterech rolach: Jakuba Marleya oraz wszystkich tych duchów — Wigilijnej Przeszłości, Tegorocznego Bożego Narodzenia i Przyszłych Wigilii. No i oczywiście Irene Juniper. Jej wcielenie Maleńkiego Tima chwyta, trzeba przyznać, za serce. A w końcu bezpretensjonalny Cecil Milford, którego Bob Cratchit był tak wyrazisty właśnie przez naturalność Cecila.

Daphne była nieco zdezorientowana tą listą nazwisk i epitetów, ale później żałowała, że nie słuchała opisów Chestera z większą uwagą. Może dałyby jej jakieś przeczucie tego, co miało nastąpić? No, ale to już bez znaczenia. Chester otworzył drzwi prowadzące na widownię. Daphne postępowala za nim, świadoma kałuż, które zostawiała na dywanie.

Pośrodku sceny ujrzała dwie postacie: kobietę o kasztanowych włosach, falujących na jej ramionach, gdy przechadzała się to w jedną, to w drugą stronę — jej postać, choć drobna, robiła groźne wrażenie — oraz mężczyznę w nonszalanckiej pozie, z papierosem zwisającym z kącika ust. Jego lekko odstające uszy, cieniutki wąsik (perfekcyjnie przystrzyżony) i kruczoczarne włosy zaczesane nienagannie na bok przywodziły na myśl Clarka Gable'a.

— Mówiłam ci, Donaldzie, i powiedziałam to też im, że *nie* zostanę, jeśli *on* tu będzie! — Kobieta splunęła; jad w jej słowach był ewidentny.

— Irene, kochanie — odparł mężczyzna. — To długo nie potrwa, obiecuję. Załatwię to.

Daphne dogoniła Chestera i spojrzała na niego. Tak jak wcześniej, gdy Nigel wspomniał przy wejściu na scenę o paczkach, twarz Chestera znów miała kamienny wyraz. Wziął głęboki oddech, przypominając sobie chyba, że nie był sam, a potem jego twarz przybrała wyraz rozbawionej irytacji.

— Dajcie spokój, drogi Donaldzie, kochana Irene — wyszczebiotał do pary na scenie, zbliżywszy się do nich pospiesznym krokiem. — Mamy próbę do zrobienia, i to raczej pilną, więc załatwcie swoją małą sprzeczkę między sobą.

Kobieta prychnęła, rzucając Chesterowi pogardliwe spojrzenie.

— Szlag by cię trafił! — powiedziała i zesła z sceny, zostawiając mężczyznę.

Chester nie próbował nawet dociekać, o co właściwie poszło, tylko klasnął i zarządził:

— Akt pierwszy, scena trzecia. Bądź tak łaskaw, Donaldzie.

Na scenie Donald Hartforth odetchnął głęboko. Niebawym pstryknięciem posłał papierosa na deski sceny i wygładził cienkie wąsiki długim wskazującym palcem lewej dłoni.

— Pieprzyć to, Chesterze, ale zabawne, że potrzebujemy tu twojego ukochanego Roberta. Czemu się w końcu nie pozbędziesz tego starego pierdoły?

Chester odpowiedział cierpliwie:

— Robert jest tu tylko chwilowo, Donaldzie. A może zechciałbyś potraktować tę dyskusję jako... jak to mówią... rozgrzewkę? — Odwrócił się do Daphne i przewróciwszy oczami na znak żartobliwej desperacji, westchnął: — Ci aktorzy! Nie mogę już żyć z nimi, ale bez nich też nie. Korci mnie, co prawda, to drugie, gdy przyjdzie właściwa chwila.

Gable'owska aparycja Donalda musiała ustąpić przed wymogami roli, w którą miał się wcielić w tej scenie — Ducha Wigilijnej Przeszłości. Rysy gwiazdy popołudniówek wykrzywiły się, gdy począł wyczarowywać ducha z innego świata, składając usta w zuchwały grymas.

Chester znów odezwał się szeptem do Daphne:

— Oczywiście będzie okryty czarnym całunem i zastosujemy taki trik, że będzie wyglądał, jakby lewitował. To takie nowoczesne chwyty, wie pani.

Donald zaczął krążyć wokół nagrobków zalegających scenę, a jego wygląd świadczył, że wcielił się już w niezmierną istotę, z drżącymi kończynami, ale twarzą spokojną i pogodną.

— Doskonale, Donaldzie — orzekł Chester. — To jest to, mucha nie siada. Przede wszystkim pamiętaj, że nie jesteś Arielem polatującym nad odludną wyspą, tylko ciemnym duchem wywleczonym z zaświatów, by obudzić ludzkość z jej grzechów i żalów.

Donald podniósł wzrok, a potem wyprostował się i odparł:

— Takie ojcowskie poklepywanie po plecach jest miłe i dobre, ale gdzie jest ten cholerny Robert? Nie mogą robić takich grymasów bez końca...

I właśnie w tym momencie Robert wszedł na scenę. Jego kroki były jednak dziwnie niepewne, jakby wciąż brodził w śniegu. Przeszedł między nagrobkami, pochylając się nad jednym i chwytając jego brzegu.

Daphne zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy. Chester odchrząknął i zwrócił się do niej:

— Zawsze graliśmy tę scenę zbyt bezpiecznie, zbyt czysto. A przecież, na miłość boską, Scrooge zobaczy zaraz swój własny grób. Chcielibyśmy, żeby widzowie to *poculi*.

Daphne z pewnością coś poczuła. Ale nie zachwyty, nie fascynację, tylko raczej narastające wrażenie, że to wszystko nie układało się tak, jak powinno.

Robert kołysał się w przód i w tył, wydając jakieś odgłosy — może bełkotał coś ze swojej kwestii? Gdy obrócił się ku Chesterowi i Daphne, zobaczyli szkliste spojrzenie i twarz obślizgłą od potu.

— Chesterze, myślę, że stało się coś złego — rzuciła Daphne głosem, który nie całkiem był szeptem. — On jest chyba naprawdę chory!

— To jest magia charakteryzacji, moja droga, magia teatru — uciszył ją Chester.

Donald przestał krążyć między nagrobkami i wpatrywał się w Roberta podejrzliwie.

— To jest twoja kwestia, Robercie: „Powiedz, że zmieniając drogę życia, zmienić jeszcze zdołam owe cienie przeszłości, któreś mi pokazywał!”. Naprawdę, Chesterze, mam to wszystko robić? — zwrócił się do reżysera, zachęciwszy swego scenicznego partnera do działania.

Z ust Roberta wydobył się jęk połączony z grymasem. Przewracał dziko oczami, wyciągnął ramiona i cały się trząsł. W końcu zatoczył się, robiąc jeszcze jeden krok. Krok ostatni.

Głowa Roberta, jakby odrywając się od jego chwiejnego ciała, zwróciła się twarzą do Chestera. Jakiś przeblysł zrozumienia pojawił się w oczach Harrisona, nim zmienił się w strach.

Potem rozległ się głuchy łomot ciała Roberta padającego na deski sceny.

5

Daphne rzuciła się w stronę sceny. Czuła dziwne podniecenie wywołane koniecznością natychmiastowej reakcji, działania, jednocześnie wiedząc, że nic nie może zrobić. Coś wewnątrz niej krzyczało, że jest już za późno, że Robert tak po prostu nie zemdleł. Że był już martwy. Choć oczy miała utkwione w bezwładnym ciele Roberta, które osunęło się na nagrobny kamień, uderzyło ją, jak niestosowne wydają się teraz postaci cherubinów usadowionych na proscenium i gapiących się na ten makabryczny widok na scenie.

Zaskoczona własną zwinnością wspięła się na scenę i podbiegła do Roberta.

W następnych latach, gdy wspominała ten moment, utwierdzała się w przekonaniu, że to jego oczy sprawiły, iż zadrżała. Gdyby były puste, pozbawione świadomości, łatwiej można by to przyjąć. Ale prawda była inna: w jego oczach kryły się wciąż ból, strach i rozpacz.

Podwinąwszy rękaw jego koszuli, sprawdziła puls. Nic. To samo na szyi. Cisza. Nic.

Mawia się często, że in extremis czas biegnie jakby wolniej. Ocalali z wypadków samochodowych twierdzą, jakoby ich pojazdy poruszały się w chwili kolizji nadzwyczaj wolno, podczas gdy w rzeczywistości wszystko trwało dwie–trzy sekundy. Odmieniające życie wypadki zdarzają się nagminnie, jakby dla potwierdzenia, że świat zdolny jest do zarządzania ich konsekwencjami, gdy one same wydają się przychodzić ni stąd, ni zowąd.

Daphne natomiast odkryła, że ona sama, owszem, zdolna jest zarządzać takimi momentami. Nie była nawet świadoma, że padła na kolana, by sprawdzić puls Roberta, bo tak automatycznie zareagowała na sytuację. Potem wstała i rozejrzała się po scenie: człowiek, który tak udatnie przybrał przed chwilą onieśmielającą postać Ducha Wigilijnej Przeszłości, stał teraz jak wryty, patrząc tępo na leżące ciało Roberta. Takie przynajmniej było pierwsze wrażenie Daphne, nim zdała sobie sprawę, że w istocie Donald wpatrywał się w nią. Jakby mniej przejmowało go martwe ciało Roberta, a bardziej jej obecność czy to, co zamierzała teraz zrobić.

Chester tymczasem tkwił wciąż na widowni z wyrazem oszołomienia na twarzy. Złapał się za brode, o mało nie zgrzytając zębami. Głos, jaki się z niego wydobył, skrzypiący i słaby, uderzał swoim niedopasowaniem do solidnej postury Harrisona.

— Czy... on... czy Robert... — wyjąkał.

Wydawało się, że nie jest w stanie wypowiedzieć tego słowa.

— Tak, jest martwy. Nie mam wątpliwości — stwierdziła spokojnie Daphne. — Teraz powinniśmy przykryć tego biednego człowieka i wezwać policję.

Zwracając się do Donalda, powstrzymała się od powiedzenia mu, by wziął się w garść i coś zrobił; zamiast tego poleciła mu chłodnym głosem, by podał jej teatralny czarny całun, a potem pobiegł po policję. Według jej kalkulacji inspektor Marklow i jego ludzie siedzieli teraz najprawdopodobniej w swojej ulubionej cukierni w Soho, smakując ciepłe bułeczki podczas przerwy w patrolowaniu okolicy. Donald miał tam pobiec — sądziła, że trzyminutowy energiczny marsz odniesie szybszy skutek niż wydzwanianie na posterunek. Donald, z pozieleniałymi policzkami, istotnie się ruszył i — nie zbliżając się do trupa o mniej niż krok — rzucił całun w stronę Daphne i zaraz potem uciekł ze sceny. „Te artystyczne osobowości są cholernie przewrażliwione” — pomyślała.

Wciąż słyszała ten dziwny odgłos wydawany przez Chestera — coś jakby lament, coś jakby jęk. W każdym razie zupełnie niezrozumiały. Miała świadomość, że powinna do niego podejść i uspokoić jakoś tego starszego człowieka. Przed chwilą umarł na jego oczach przyjaciel, a teraz został tu sam z obcą kobietą. Mogła go przynajmniej objąć krzepiąco ramieniem. Jednak w otoczeniu nagrobków, z martwym ciałem obok niej, Daphne poczuła jakiś wewnętrzny chłód. Zmroziło ją poczucie odpowiedzialności, nie pozostawiające miejsca na coś takiego jak pocieszenie Chestera Harrisona. Nerwy jej nie puściły, umysł miała krystalicznie czysty. W głowie — teraz i przez następne dwa dni — dźwięczało jej tylko, że coś tu było nie w porządku i powinna ustalić co.

Chester też wdrapał się na scenę, a jego lamenty przybrały postać niepokojąco słabego mamrotania. Daphne wiedziała, że nie zostało jej wiele czasu na rozejrzenie się po scenie. Gdy okrywała całunem bezwładne ciało Roberta, uderzyły ją dwie rzeczy: po pierwsze — ślady jakiegoś szarawego płynu w kąciu

ust zmarłego. Wydawało się trochę nie na miejscu analizowanie tych śladów, czegoś tak intymnie przynależnego do ciała. Ale w tym momencie Daphne o to nie dbała. Drugą rzeczą były jaskrawopomarańczowe smugi obok kieszeni na piersi denata. Była pewna, że nie widziała ich, gdy spotkała Roberta wcześniej. Miała poczucie, że nie powinna tego ignorować.

Na scenie panowały cisza i bezruch. Ile minut upłynęło? Pięć? Może dziesięć? Nagle Chester wybuchnął płaczem.

— Mogłem coś zrobić. Czy musiałem się tak upierać? Tak bardzo stawiać na swoim... Co ja zrobiłem?

Co on zrobił? Daphne chciała o to dopytać, ale przerwało jej przybycie policji.

6

No więc jestem! — zawołał krępy mężczyzna, zmierając w stronę Daphne i ścierając sobie jednocześnie z ust okruchy bułeczki z lukrem. — Panna King! Jak to miło znów panią widzieć. Zalażę się, że miała pani dość czasu, by poukładać wszystkie trybiki w sprawie kolejnej śmierci!

W tym powitaniu nie było cienia kpiny. Dla inspektora Markłowa sarkazm czy ironia były obcym żywiołem, którego starał się unikać. Był wręcz niezdolny do wszelkiej fasadowości czy sztuczności; jego całkowita nieumiejętność skrywania się za wymogami taktu, słodzenia gorzkich pigułek albo preparowania półprawd była cechą, która u jakiegoś zwykłego człowieka mogła uchodzić za znamię szlachetności, ale nie przydawała się zbyt, gdy chodziło o przechytrzenie kryminalistów czy interpretowanie niuansów zachowania. Ten człowiek mówił, co myślał, a myślał, co widział; nie bawił się w subtelności i nie przejmował nadto konsekwencjami. Niestety dla inspektora takie podejście znaczyło, że skłonny był mówić świadkom, że ich zeznania to bzdury, a wobec potencjalnych sprawców od razu ujawniał swoje podejrzenia, dając im sposobność do usuwania dowodów albo kłajstrowania dziur w alibi. Dla Daphne było to jednak korzystne, bo inspektor nie miał oporów przed dzieleniem się z nią przy herbacie różnymi informacjami.

Poznali się osiemnaście miesięcy wcześniej, gdy Daphne udała się do Scotland Yardu ze swoim *dossier* dotyczącym Hrabiny Hazardzistki, i od tej pory zawiązała się między nimi swobodna (a dla Daphne korzystna też zawodowo) przyjaźń. Daphne została nawet zaproszona w ostatnim miesiącu na chrzciny syna Markłowa.

— W rzeczy samej, inspektorze Markłow. Chociaż muszę powiedzieć, że nie znajduję niczego zabawnego w śmierci pana Stirlinga. A to jest pan Chester Harrison, bliski, jak sądzę, przyjaciel zmarłego.

W tej chwili siły zdawały się opuszczać Chestera. Daphne chwyciła reżysera za rękę, by go podtrzymać.

— No tak, oczywiście. — Markłow odchrząknął. — Moje kondolencje... Z tego, co mi powiedział pański kolega w drodze z cukierni — wskazał na Donalda — sprawa wygląda na oczywisty przypadek niewydolności serca, co się bardzo często przydarza dżentelmenom w pewnym wieku. Rozejrzę się, ale ośmielę się mieć nadzieję, że będę w domu w porze herbaty. — Zerknął na zegarek na ręce. — To ostatni dzień przed moim urlopem, a będzie to pierwsze Boże Narodzenie mojego małego Johny'ego, wie pan. Nessa da mi popalić, jeśli wrócę do domu zbyt późno, zamiast spotkać się z sąsiadami na sherry i babczki bakaliowe. Więc bierzmy się do roboty.

Daphne zmarszczyła czoło. Oczywisty przypadek niewydolności serca? Dokładnie to, co Donald Hartforth powiedział Markłowowi? Znajomość śledczych metod inspektora mówiła jej, że był aż nazbyt

skłonny zaakceptować każde zeznanie, które mu podrzucano. Choć nie zamierzała nikogo oskarżać, nie mogła stłumić w sobie ekscytacji, jaka w niej kipiała. Halliday wysłał ją tu, by napisała jakąś laurkę, a tymczasem znalazła się o krok od trupa, pełna podejrzeń bliskich kryształacji.

Marklow wyjaśnił, że on i ten wyglądający na zdenerwowanego młody funkcjonariusz, który z nim przyszedł, będą musieli przeprowadzić wstępne badanie ciała. Wcześniej jednak inspektor pochylił się ku Daphne i szeptem zapytał:

— Ktoś sławny jest w to zamieszany? Nessa odgryzłaby sobie lewą rękę, żeby mieć autograf jakiejś gwiazdy.

7

Ani Chester, ani Donald nie wydawali się zdolni do zrobienia czegokolwiek pożytecznego. Pierwszy na skutek doznanego wstrząsu miał teraz szklane spojrzenie, a drugi był jak oniemiały i zbaraniały. Daphne odczuwała więc skrytą, choć niewątpliwą satysfakcję, chwytając byka za rogi (jakby słyszała madame Boucher: *Daphne, il faut, comment dit-on... bierz byka za rogi!*) i wydając polecenia obu tym mężczyznom. Powoli, jasno i spokojnie tłumaczyła, że odprowadzi Chestera do bufetu w foyer teatru. Donald zaś miał zebrać aktorów i wszystkich innych członków zespołu i też ich tam zaprowadzić. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tej trupie cyganerii dobrze zrobi szklanecka gorącej brandy z wodą — sądząc po katatonicznej reakcji Chestera i Donalda.

Podjąwszy odpowiednie decyzje i wydawszy polecenia, Daphne poczuła się niesiona falą czegoś w rodzaju euforii. Zdawało jej się, że wyrwa te niepozorne krzaczki laku o drobnych kwiatach, tak często deptane w biurach „Chronicle”, i sadi na ich miejscu mocny, nieugięty dąb. No, może na razie była to tylko sadzonka — ale niewątpliwie dębu.

Zostawiwszy roztrzęsionego Chestera w bufecie, poszła zadzwonić. Podeszła do drzwi na scenę, wyjaśniła Nigelowi, strażnikowi nieodstępującemu owych drzwi, co zaszło — i wykręciła numer „Chronicle”.

— Co tam się, do cholery, dzieje? Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że jakiś stary pierdziel wykitował. No, ale płakać nie będziemy. Nie mógł trochę poczekać na spotkanie ze Stwórcą? Musimy teraz zapłacić puste okienko w szpalcie, tylko nie wiem czym. Może radami Drogiej Susan dotyczącymi wieszania jemiół?

Ach, tak, współczucie Martina Hallidaya dla ludzkiej tragedii! I ta jego słynna poczta pantoflowa — sieć gadatliwych konstabli ze Scotland Yardu, których ochota do dzielenia się informacjami z prędkością błyskawicy była równie przerażająca, jak imponująca. Daphne ledwie stłumiła uśmiech. Zresztą nie zrobiłaby tego, gdyby nie obecność czuwającego Nigela.

— Chodzi o to, Martinie, że nie będziemy musieli niczym zapychać tej dziury — zaczęła powoli, ważąc każde słowo. Gdyby zdradziła za wiele i za szybko, Halliday mógłby się uprzeć, żeby zrzucić tu tego skoczka, Jamiego Jenkinsa, by ten przechwycił skandal. Gdyby jednak powiedziała za mało, Halliday mógłby zlekceważyć tę historię. Musiała zatem nawigować z wyczuciem.

— Wiesz, wydaje mi się, że może być z tego... coś.

W słuchawce zaległa cisza. Słyszała tylko niepokojąco ciężki oddech Martina.

— Coś, powiadasz? Myślisz, że może być z tego coś? — Odcień jego głosu wahał się pomiędzy irytacją i znudzeniem. — Czy coś mi umknęło, Daphne?

— Bardzo możliwe. I mnie może też, jak do tej pory. Ale mogę cię zapewnić, że więcej nic już mi nie umknie. Myślę, że powinnam tu zostać i dotrzeć do sedna sprawy... do samego dna.

Martin, najwidoczniej zaskoczony twardą odpowiedzią Daphne, przez chwilę milczał, a potem westchnął rozdrażniony:

— King, ty... Nie jestem pewien, czy nadażam. Musisz mi powiedzieć coś więcej.

Daphne zerknęła na Nigela, który z ramionami skrzyżowanymi na piersi patrzył w głąb korytarza jak zaczarowany. Odsunęła się od niego trochę, odwróciła i ściszyła głos.

— Nie mogę teraz swobodnie rozmawiać, więc po prostu mi zaufaj. Coś tu wywąchałam, Martinie. Coś jest tu nie w porządku. Jeśli warto to nagłośnić, to na pewno będziesz chciał, by właśnie „Chronicle” o tym napisała. Umarł jakiś człowiek, owszem, ale myślę, że chodzi tu o coś więcej. Czy nie miałam racji w sprawie Hrabiny Hazardzistki? A jeśli „Standard” dostanie cynk, a ty mnie stąd ściągniesz, to nie będzie chyba za dobrze, co?

W razie jakichś wątpliwości najlepiej było — o czym Daphne dobrze wiedziała — zaapelować do ambicji Martina, który chciał być zawsze o krok przed konkurentami.

Halliday odetchnął głęboko.

— No dobra, King, w porządku. Jak już tam jesteś, bądź naszą kobietą na miejscu. Przyklej się do nich jak plaster. Wywąchaj wszystko. Wyciągnij, co tylko się da. A poza tym: chcę leż, hysterii, chcę wiedzieć, jakie były ostatnie słowa tego starego komediaanta, z jakimi słowami na ustach umarł.

— Tak jest, panie Halliday. Zrozumiałam. Postaram się dać panu bożonarodzeniowy prezent w postaci sensacji i skandalu. — Daphne wzdygnęła się nieco, słysząc w swoim głosie entuzjazm. Wszystko, co do tej pory miała, to zmarły stary człowiek i własne przecucia. I wszystko to mogło być funta kłaków warte. No, ale to bez znaczenia. Czuli ożywienie, mając przed sobą perspektywę poruszającej historii. Zapewniwszy Hallidaya, że nie pożałuje swej zgody, odłożyła słuchawkę na widełki telefonu.

— Dziękuję, Nigelu. Nie będę ci już przeszkadzać — ćwierknęła wesoło na pożegnanie. Jednak jakaś nagła myśl kazała się jej zatrzymać.

— Nigelu, ja... zastanawiam się, czy nie chciałbyś, żebym zrobiła coś dla Chestera? Może zanieść mu jakąś paczkę? — zapytała, gratulując sobie zarówno refleksu, jak i zdolności do odgrywania niewinnej naiwności.

— Bardzo to uprzejme z pani strony, panno King — odparł Nigel — ale Chester prosił, żeby następne paczki odnosić wprost do jego garderoby, razem z innymi.

— No to świetnie, Nigelu! A dużo ich było?

— Niech pomyślę... Ta trupa zjawiła się tutaj chyba pięć dni temu... Tak, w ostatni czwartek, i chyba codziennie przychodziła jedna, więc w sumie pięć. Tak, myślę, że pięć.

Daphne uniosła brwi na tę mozolną arytmetykę: jedna paczka dziennie dla Chestera to nic nadzwyczajnego. Był ostatecznie słynnym reżyserem teatralnym, który powrócił do Londynu nie bez rozgłosu. Dziwna była za to wcześniejsza reakcja Chestera na informację Nigela o kolejnej paczce: że ma być mu przekazana później. Przypomniały jej się priorytety, które sobie przyjęła — żadnych rozterek, ta historia ma być jej i tylko jej.

Tak się jednak składało, że umysł Daphne, jeszcze przed chwilą tak chłodny, stał się teraz polem walki sprzecznych impulsów. Była tu intruzem, nic jej osobiście nie łączyło z nikim w Theatre Royale, więc nie

mogła znaleźć żadnych emocjonalnych przyczyn tłumaczących jej obecność, ale przecież nie była to też obecność ściśle zawodowa. Jej początkowy cel — napisanie przyjemnie pochlebnej laurki obliczonej na zwabienie widzów na Shaftesbury Avenue — legł w gruzach przez śmierć jednego z aktorów. I to nie było jakiegoś, bo grającego samego Scrooge'a. Daphne znalazła się w niezręcznej sytuacji: cóż mogłoby przeszkodzić Chesterowi czy komuś innemu w uprzejmym poproszeniu jej o opuszczenie pomieszczeń teatru? Czemu mieliby pozwolić jej, osobie całkowicie obcej, by tu została w tak fatalnych okolicznościach?

Idąc labiryntem korytarzy, Daphne zdjęła okulary, by je przetrzeć, i poprawiła torebkę na ramieniu. Westchnęła. Miała dwa wyjścia: pójść do bufetu i przedstawić się reszcie zespołu, co bez wątpienia sprowokowałoby pytania o zasadność jej dalszej obecności w teatrze, albo wykazać swą użyteczność przez znalezienie sobie jakiegoś zadania, które by tej użyteczności dowodziło.

Miejscem, gdzie mogła się wykazać, była garderoba Roberta. Zanim zapuka do niej Marklow ze swoim pomocnikiem.

8

Starając się, by nikt jej nie zauważył, Daphne przemknęła jak duch korytarzem, przy którym znajdowały się garderoby. Co prawda za każdymi niemal drzwiami słyszała przytłumione rozmowy — a chęć ich podsłuchania była trudna do poskromienia — Daphne była jednak dostatecznie zdeterminowana, by wykonać swoją misję: dostać się do garderoby Roberta, póki nie została jeszcze przeszukana przez policję.

Na szczęście drzwi były opatrzone tabliczkami z nazwiskami, więc bez trudu odnalazła garderobę Roberta na końcu korytarza. W środku na wieszaku wciąż wisiał jego płaszcz, a pomięty scenariusz leżał na stoliku przed lustrem. Daphne była zaskoczona, jak bardzo zagrożony był ten pokój, ale bynajmniej nie teatralnymi rekwizytami czy kosmetykami do charakteryzacji. Nie było tam niczego, co by sugerowało bardziej efektowne strony aktorskiego życia. Nie, garderoba Roberta Stirlinga przypominała raczej zaniedbaną sypialnię jakiegoś wyjątkowo niechlujnego kawalera. Puste kieliszki po winie stały wszędzie; zobaczyła też porzuconą samotną skarpetę i brudną filizankę.

Zmarszczyła nos. Zespół był tu od pięciu dni, a garderoba już tak wyglądała. Robert wydawał się mężczyzną eleganckim, z klasą, okazał się jednak niechlujem. „Cóż, pierwsze wrażenia potrafią bardzo mylić” — pomyślała.

Rozejrzała się po pokoju dokładniej, szukając czegoś interesującego, ale znalazła tylko jakieś resztki posiłków: parę parówek w cieście pozostawionych na zatłuszczonym talerzu i spory kawałek bożonarodzeniowego ciasta, zapleśniałego już na brzegach. Jej wzrok prześliznął się po resztkach kanapek z nadgryzioną skórką i nietkniętym środkiem. Bałaganiarski i marnotrawny — taki okazał się Robert. Z drugiej strony na kanapkach pozostało dużo smażonych grzybów, więc może nie należało go tak całkiem potępiać za to, że je zostawił.

Coś zaświtało Daphne w głowie. Nie rozjaśniło sytuacji zupełnie, ale rzuciło na nią światło. Czyż Robert nie skarżył się wcześniej na bóle brzucha? Daphne przyjrzała się dokładnie grzybom z kanapek, podobnym na pierwszy rzut oka do pieczarek. Jedną z korzyści, jakie przyniosło jej wcielanie się w Drogą Susan, było zdobycie niemal encyklopedycznej wiedzy na temat angielskiej flory — szkodników nękających rośliny i sprzyjających roślinom metod rozmnażania. Studia nad botaniką i ogrodnictwem

wciągnęły ją w pasjonującą podróż, dzięki której zanurzyła się między innymi w świat trujących grzybów. A teraz zdała sobie sprawę, że na kanapkach Roberta — co było jasne jak słońce w pogodny dzień — leżały nie pieczarki, tylko mnóstwo kawałków trującego grzyba *Amanita virosa*, czyli muchomora jadowitego, zwanego też w Anglii aniołem zagłady.

9

Podobnie jak każde inne pomieszczenie w Theatre Royale bufet był swego rodzaju palimpsestem. Pomimo plam na odrapanych stołach z orzecha, postrzępionych — a miejscami brakujących — frędzli na czerwonych abażurach oraz popękanej i wytartej skóry na stołkach barowych mógł wciąż narzucać wrażenie wspaniałości i przepychu z czasów, gdy go zbudowano i gdy blask jego żyrandoli mógł się kojarzyć z wyrafinowaniem salonu z paryskiego *rive gauche*. Ściany pokryte były tuzinami oprawionych fotografii z wcześniejszych spektakli: tu Kleopatra przyciskała do łona węża, tam dwóch eleganckich dżentelmenów stepowało z uśmiechem na twarzach. W kącie ustawiono choinkę, która zdążyła już stracić większość igieł. Drzewko spoglądało z niewątpliwą melancholią na zebranych ludzi.

Daphne obserwowała ten niewesoły zespół, którego członkowie nie starali się nawet specjalnie nawiązać prawdziwej konwersacji. Było ich pięcioro: oczywiście Donald Hartforth, dwóch młodych mężczyzn, których dotąd nie widziała, i ta drobna rozzłoszczona kobieta z lokami, która wcześniej tak szalała po scenie. Piąty był ewidentnie najmniej wesoły Chester. Zapadł się w fotel ustawiony w kącie, a ręka, w której trzymał filiżankę z kawą, wciąż lekko drżała. Wydawał się ledwie dostrzegać ludzi z otoczenia. Z tego kordialnego i żywiołowego gospodarza, który tak niedawno powitał Daphne, niewiele już pozostało.

Rej wodził Donald Hartforth. Prawił coś bombastycznie, z jedną nogą w półbucie z odcinającym „angielskim” noskiem na skrzynce pustych butelek, a drugą na podłodze. Spod jego wąsików zwiślał kolejny papieros, a dłonie rzeźbiły i cięły powietrze wokół niego. Dla jego wielbicieli, oddanej koterii śledzącej jego karierę z ewangelicznym zapalem, gesty te miały szlachetną moc dyrygenta London Philharmonic i było w nich porywające piękno klucza szpaków na niebie. Jednak ci bardziej sceptyczni (krytycy ze „Stage Bugle” albo „Theatre Today”, co na jedno wychodziło) uważali, że to nieustanne cięcie powietrza dowodziło raczej wątpliwego panowania nad prawidłami sztuki. W londyńskim światku teatralnym na temat Donalda Hartfortha krążyły sprzeczne opinie. Jego umiejętność wywoływania zarówno zachwyty, jak i kpin, wyprzedzaży biletów do ostatniego i krzykliwych nagłówków prasowych była główną przyczyną zaangażowania go przez Chestera. Specjalnością Hartfortha było wzbudzanie sensacji i zbieranie cięgów od widzów.

Młoda kobieta z lokami siedziała parę metrów od stóp Donalda. Przekładając nogę na nogę z rytmiczną regularnością, zachowywała spokój w każdym ruchu i słuchała uważnie monologu Hartfortha.

— No dobrze, przyznam Robertowi, że nigdy nie pozwolił, by brak talentu przeszkodził mu w karierze. Nawet *chłopak od rzeźnika* wypowiadałby kwestie z większą subtelnością niż Robert. Nie mówiąc już o objawieniu Barda. Powieszony, wypatroszony i *poćwiartowany*. — Donald wyrzucił z siebie te słowa z radosną mieszaniną okrucieństwa i apetytu. Podniósł lewą rękę z kieliszkiem wina: — Robert opuścił scenę wiedziony dziedzictwem miernoty.

— Słuchajcie, słuchajcie — odezwała się kobieta u jego boku. — Zamiast tego zalatującego lubieżnym capem steku mamy kawałek świeżutkiej poledwicy. Myślę oczywiście o tobie, Donaldzie — wyjaśniła.

Donald podniósł dłoń do czoła; był to gest mający sugerować pokorę, ale w rzeczywistości chodziło o poprawienie mocno napomadowanych włosów.

— Irene, ty moja *filet mignon*, psujesz mnie — powiedział przeciągle, zataczając lewą ręką łuk, nim eleganckim ruchem sięgnął po swojego papierosa.

„No proszę — pomyślała Daphne — co tutaj mamy”. Złośliwy duet rzucający intrygujące uwagi. Pozostawanie niezauważoną przy drzwiach wydawało się niemal okrucieństwem, bo pozwalało im ciągnąć ten zjadliwy wywód bez świadomości, że ktoś tego słucha.

Zdała sobie jednak z tego sprawę zbyt późno, gdyż Chester nagle wyrwał się ze swojego zamyślenia. Próbując się podnieść z fotela, odezwał się słabym, skrzeczącym głosem:

— Aaa... Panna King, widzę, że wciąż tu pani jest...

Wzięła głęboki oddech.

— Taak... jestem tu od chwili, gdy... jak by to powiedzieć... Jestem tu od chwili śmierci Roberta — wydukała niepewnie, gdy oczy wszystkich w bufecie zwróciły się nagle na nią. — Obawiam się, że mam pewne wiadomości, które mogą się okazać kłopotliwe.

— Zechce pani wybaczyć — Donald zmrużył nieco oczy, trzymając wciąż stopę na skrzynce — ale kim właściwie pani jest?

— No tak, oczywiście. Spotkaliśmy się wcześniej w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Proszę pozwolić mi się przedstawić: Daphne King, z „Chronicle”. Przesłano mnie tu, bym zrobiła jakiś mały materiał zza sceny — powiedziała, starając się wyzbyc wszelkiej szczebiotliwości w głosie, żeby jej prezentacja zabrzmiała profesjonalnie. — Jak już powiedziałam, mam coś, co może okazać się ważne...

— Jak się pani miewa, panno King! — Ucisnął mocno jej dłoń. — Jestem Donald Hartforth.

— Tak, wiem, kim pan jest...

Daphne chciała coś wtrącić, ale Donald zignorował to, kontynuując:

— Gram wszystkie te duchy w sztuce: Ducha Wigilijnej Przeszłości, Ducha Tegorocznego Bożego Narodzenia i Ducha Przyszłych Wigilii. No i tego starego wesołego Jakuba Marleya. Cieszę się także renomą znakomitego odtwórcy głównych ról, charyzmatycznego aktora szekspirowskiego i przyszłego idola filmów rodzinnych. — Aż nadto sugestywne mrugnięcie okiem zakończyło tę prezentację.

Mając w pamięci, że Donald Hartforth nie był w stanie się ruszyć ani odezwać, gdy Robert padł na deski sceny, Daphne zauważyła, że zapomniał wspomnieć o innej roli, którą odegrał perfekcyjnie mniej niż godzinę wcześniej: tego niewymownie bezużytecznego obserwatora kryzysowej sytuacji. Próbowала wywołać na swojej twarzy ciepły i spontaniczny uśmiech, gdy Donald przygwoździł ją spojrzeniem, a tymczasem jego towarzyszką — ta, z którą miał wcześniej prębę — wstała.

Irene Juniper zlustrowała Daphne z ciekawością wykazywaną przez publiczność odwiedzającą małpy na zapleczu cyrku. Jako członkini Ligi Pań na rzecz Zdrowia i Piękna, organizacji ukierunkowanej, jak głosił jej miesięcznik, na „kobietę promiennosc i jędrność dla pań, które nie chcą przybrać ciała tam, gdzie by nie chciały”, Irene zachowywała niemal ewangeliczną wiarę w szczególne znaczenie dbałości o powierzchownosc. Jej koleżanki z Ligi zakasałyby może rękawy (delikatnie, rzecz jasna, by nie pognieść swoich atlasowych bluzek), aby przeksztalcić tę rozczochraną i nieporządną osobniczkę w okaz kobiecego blasku. Irene mogłaby wziąć pod swoje skrzydła i wypielęgnować to marne stworzenie, by nadawało się do towarzystwa. Porzuciła jednak myśl o takich błahostkach; musiała myśleć o swojej karierze — jej gwiazda

była wschodząca, to pewne — i zajmowanie się takimi nieciekawymi osobami jak Daphne byłoby przesadnym altruizmem. Nie jest przecież filantropką.

— Jak to cudownie, że pani tu jest, panno King. Domyślam się, że musi być pani podekscytowana, spotykając grono legend West Endu. Niech się jednak pani nie denerwuje; może na to nie wyglądamy, ale wszyscy *jesteśmy ludźmi*, zapewniam panią. — Irene powiedziała to wolno, jakby mówiła do starej ciotki, której słuch i życiowe powodzenie już nie dopisywały.

Daphne uśmiechnęła się i zdjęła okulary, znów zachodzące parą.

— To bardzo uprzejme z pani strony. Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę państwu powiedzieć, co mam...

Na tym łaskawość Irene się skończyła; była najwyraźniej urażona, że Daphne nie wymieniła jej nazwiska.

— Jestem Irene Juniper, panno King. Może widziała mnie pani w tym sezonie we *Wszystkie dziewczyny idą do nieba?* Albo w *Pokojówce z Montmartre'u* w zeszłym roku?

Uprzejme, choć puste spojrzenie Daphne wystarczyło za odpowiedź.

— No tak... Nie jest pani teatromanką, panno King.

— Muszę pani przyznać rację, panno Juniper. Jeśli już, to kinomanką. Częściej bywam w Coronet Cinema niż w Haymarket Theatre — odparła Daphne. — Widziała pani *Małe kobiety?* Hepburn po prostu zwałała z nóg.

Irene odpowiedziała słabym uśmiechem, a potem zaczęła wymachiwać ramionami niczym wiatrak, i to z zastraszającą prędkością. Donald parsknął śmiechem. Znał Irene od ładnych paru lat, mieli tego samego agenta. Dobrze wiedział, jak ją zatyka, gdy zetknie się z czymś jej zdaniem niewyobrażalnym — kimś niedocenającym jej artystycznego dorobku.

— Jak już mówiłam... — spróbowała kontynuować Daphne — jest coś...

— Panno King, nie możemy pozwolić, by stała tak pani, nie mając czym zwilżyć gardła... — Wydawało się, że stary Chester powraca do życia. — Rzadko się zdarzało, by Robert był w takiej pożałowania godnej sytuacji, więc uczcijmy jego tradycję!

Harrison skinął na młodego mężczyznę, który stał za barem.

— Tak, ugaszę pani pragnienie! — zawołał młodzieniec, nim podszedł do Daphne tanecznym krokiem, z butelką i kieliszkiem. Była jakaś przesadna uprzejmość w tym, jak ujął dłoń Daphne. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, a na jego czarnych spodniach widać było ślady szarej farby. Przedstawił się jako Alfred Burford, asystent inspicjenta, którą to funkcję objął po ukończeniu latem szkoły plastycznej. Ze swoim zmierzwionym wiechciem brązowych włosów i przerwą między przednimi zębami wydawał się jednocześnie mięczakiem i człowiekiem wścibskim, takim gorliwym uczniakiem prezentującym nauczycielowi swój zeszyt.

— Okropna sprawa, no nie, panno King, ta śmierć Roberta — powiedział jakimś dziwnie lekkim tonem, rozcierając ręce. — Wkurzał ludzi, ale nie był przecież taki zły.

— Nie byłabym tego taka pewna, Alfredzie — rzuciła Irene Juniper, poprawiając włosy.

Chester, ignorując uwagę Irene, kontynuował prezentację:

— A to jest Cecil Milford. Nie znajdziesz bystrzejszego chłopaka na całej Shaftesbury Avenue, przynajmniej moim zdaniem — stwierdził z dumą.

Alfred, umięściwszy bezpiecznie kieliszek wina w dłoni Daphne, kiwał głową, z jedną nogą przesuwającą się to w przód, to w tył, jakby toczył bitwę z ogarniającą go martwotą. W przeciwieństwie do

rozedrganego Alfreda stojący w pobliżu Cecil Milford wydawał się oazą spokoju. Z jego twarzy biła dobra wola i jakaś bydlęca samoświadomość, której wrażenie wzmacniały jego szczególnie długie rzęsy. Włosy miał nadzwyczajnie złote, oczy modre, a do tego dołeczki w nieskazitelnie alabastrowych policzkach. Z tym wszystkim przypominał ucieleśnienie greckiego boga. Takiego, którego wygnano z Olimpu za absurdalnie przystojną fizjonomię.

— Tak, nie możemy zapominać o naszym drogim Cecilu — odezwał się z emfazą Alfred, klepiąc Milforda po plecach. — To nasz Bob Cratchit.

Cecil zarumienił się nagle, znalazłszy się w centrum uwagi, i wymamrotał coś o tym, jaki jest szczęśliwy, że tu jest. „Oczywiście — pomyślała Daphne. — Bob Cratchit to literackie uosobienie ludzkiej godności, uprzejmości i skromności”. Takie właśnie cnoty były z oczu Cecila Milforda, chociaż Daphne nie była pewna, czy sam Dickens tak sobie wyobrażał Cratchita.

Daphne zerknęła na niebezpiecznie pełny kieliszek czerwonego wina w swojej lewej ręce, rozejrzała się po tych ludziach teatru, którzy ją otaczali, i zdała sobie sprawę, że od chwili, gdy znalazła się w bufecie, nie zdołała wypowiedzieć ani jednego spójnego zdania. Jeśli miała rozgryźć tę sprawę i znaleźć swoje nazwisko na pierwszej stronie „Chronicle”, musiała wziąć się w garść. Nie mogła pozwolić, by pędy laku wydostały się znów na zewnątrz. Powiedziała Hallidayowi stanowczo i jasno, że to jej sprawa, osiągnięcie samo w sobie, i jeśli zdołała wykrzesać z siebie dość odwagi, by bronić swoich racji przed człowiekiem, który przez lata spychał ją na ostatnie strony gazety, teraz musiała wygłosić zwięzły komunikat do tej teatralnej trupy.

Odstawiła kieliszek na najbliższy stół i przygotowała się do ujawnienia swojej rewelacji.

10

Ach, tu wszyscy jesteście — dobiegł ich głos Marklowa z korytarza. — Bardzo dobrze, niedaleko miejsca, gdzie staremu koledze wysiadło serce. Nie ma na nim żadnych śladów, wygląda tak spokojnie, jak sam chciałbym wyglądać w chwili spotkania ze Stwórcą. Chłopaki z prosektorium przyjrzą mu się dokładnie, a my musimy zadać państwu parę pytań.

— Inspektorze, jeśli wolno mi pozwolić sobie na śmiałość... — odezwała się Daphne, ale Marklow rzucił jej nietypowe dla siebie, ostre spojrzenie.

— Niech sobie pani pozwala, na co tylko zechce, panno King, ale dopiero gdy będę po godzinach. Teraz jest wpół do czwartej, za pół godziny skończy się moja zmiana.

To powiedziawszy, Marklow obszedł zebranych, zadając każdemu trzy pytania: kiedy ostatni raz widział zmarłego, gdzie był tego popołudnia oraz jakie go łączyły relacje ze zmarłym.

Zdawkowe odpowiedzi zdawały się nudzić inspektora, który nawet nie próbował powstrzymywać ziewania. Wszyscy, jak się okazało, widzieli Roberta tego popołudnia i nikt nie mógł wniesić do sprawy nic godnego odnotowania.

— No, tak to już bywa. Jestem śmiertelnie znudzony i wykończony — stwierdził inspektor Marklow. — Ludzie, naprawdę staracie się pomóc, ale nic to was w rzeczywistości nie interesuje; przykro to mówić... Lott, kiedy przyjadą chłopaki z prosektorium? Mamy tu uświerknąć, zanim się zjawią? Muszę się stąd zmywać. Nessa wejdzie na wojenną ścieżkę, cholernie wojenną ścieżkę...

— To... to znaczy? — wydukał Cecil Milford, przeciągając dłonią po swych trochę zmierzwionych złotych włosach.

Marklow zapiął płaszcz, mrucząc coś o konieczności wstąpienia do sklepów, nim je zamkną:

— Nessa potrzebuje na ten wieczór dodatkowej butelki sherry...

Daphne nie potrafiła już dłużej utrzymać języka za zębami:

— Nie, do cholery, nie! — warknęła, a jej słowa zmroziły wszystkich: — On nie wykitował tak po prostu, Marklow; ktoś mu w tym pomógł, ktoś go *otruł!*

Poprawiła okulary, odchrząknęła i wzięła solidny łyk wina z kieliszka podanego jej przez Alfreda. W następnych latach, choć na okładki gazet zdążyły już trafić dziesiątki historii sygnowanych jej nazwiskiem, to właśnie ten moment nappełniał ją szczególną dumą. Moment, w którym naprawdę przestała być niepozornym krzaczkiem kwiecistego laku.

Zapadła cisza. Na twarzach zebranych pojawiły się zdumione spojrzenia. Daphne przyjrzała się grupce naprzeciw niej. Irene Juniper zaczęła kręcić sobie loki ze wzrokiem utkwionym w podłódze. Donald Hartforth uniósł brwi, jakby rozbawiony. Alfred Burford dotknął wargi, jakby się namyślał, a Cecil Milford wydawał się nieporuszony. Chester tymczasem znów wyglądał na wstrząśniętego, jakby dotknęła go druga tragedia.

— Coś takiego... wypłynął jakiś kraken? — Donald się uśmiechnął.

— Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś tego wcześniej, King? — westchnął Marklow.

— Bo nikt mi nie dał dojść do słowa — odparła Daphne, wyglądając bluzkę i próbując się pozbyć uczucia, że wygląda jak pyskaty dzieciak.

Wyjaśniła potem dokładnie, co znalazła w garderobie Roberta (słuchacze unieśli brwi, słysząc te rewelacje, choć rozglądali się raczej wokół, niż skupiali na tym, co słyszeli) i jak się domyśliła, że te grzyby były trujące. Marklow niechętnie rozpiął płaszcz, przyznając, że słowa Daphne rzucają nowe światło na sprawę.

— Myśli pani, że Robert został... zamordowany? — Chester znów opadł na fotel. — Robert... zamordowany?

— Oczywiście to tylko domysły, Chesterze — powiedziała Daphne — ale te bóle brzucha, na które się wcześniej skarżył, potwierdzałyby tę hipotezę: symptomy zatrucia grzybem *Amanita virosa* ujawniają się po kilku dniach, ale są dokuczliwe. Ofiary zatrucia doświadczają biegunki, mdłości, lecz nie są to objawy alarmujące. Tymczasem toksyny atakują wątrobę, aż przestaje działać. No i po wszystkim, kaput, *finito*.

Wzięła kolejny łyk wina, stwierdziwszy, że rozgrzewa ją zarówno alkohol, jak i poczucie dumy ogarniające ją całą. Ci ludzie jej słuchali, naprawdę jej słuchali. Czulią się jak lokomotywa parowa, która po latach posapywania na jałowym biegu, hamowana przez procedury i ciężki ładunek, startuje teraz rażno naprzód — choć z uważnie kontrolowaną szybkością — ku jakiemuś nieznanemu jeszcze celowi.

— Cholera jasna! — Alfred przecesał swe lekko rozwichrzone włosy, a nerwowy uśmiech ukazał przerwę pomiędzy jego zębami. — To dopiero niespodzianka!

— Dziękuję za to różnorodzone wyjaśnienie, panno King — powiedział Donald — ale przyznam, że nie mam bladego pojęcia, dlaczego to właśnie *pani* mówi nam o tym. Czy mamy przyjąć, że za dnia pisze pani o teatrze, a wieczorem jest pani detektywem?

Daphne zaczerwieniła się lekko.

— No cóż, tak się po prostu złożyło, że mam pewne zdolności i wiedzę, które pozwalają mi rozwiązywać problemy tej natury. A jeśli już chodzi o ścisłość, skoro potrzebują państwo wiedzieć, to nie

zajmuję się pisaniem o teatrze — jestem redaktorką działu porad praktycznych.

Do diabła z tymi warunkami Hallidaya dotyczącymi anonimowości. Daphne była pewna, że nadszedł czas, by pozbyć się tej zasłony.

Donald parsknął śmiechem.

— Niech mnie... To już farsa. Kto pozwolił jej wtargnąć do naszej... *szczęśliwej* małej rodziny, Chesterze?

Twarz Chestera pociemniała.

— Kimkolwiek jest, zdaje się szczerze upominać o pamięć naszego zmarłego aktora. Lepiej niż wasza dwójka. — Skinął w stronę Donalda i Irene.

Ta ostatnia, jak zauważyła Daphne, zacisnęła kosmyk włosów na małym palcu tak mocno, że pobieleła.

— A skoro jesteśmy przy temacie talentów, to może mogłaby udzielić jakiejś dobrej rady panu, inspektorze Marklow? — Tym razem Chester skierował swój gniew przeciw oficerowi policji, tkwiącemu jakoś niezdecydowanie w korytarzu.

— Dzięki, Chesterze, ale nie potrzebujemy drzeć kotów z inspektorem Marklowem — ucięła szybko Daphne.

Nie zyskałaby wiele na zrażeniu do siebie Markłowa na tym bardzo jeszcze wstępnym etapie swej kariery dziennikarza śledczego. To byłby naprawdę wstyd, gdyby miała stracić dostęp do jego kontaktów i wyników śledztwa — rozumianych raczej jako informacje, a nie błyskotliwe wnioski z nich wysnuwane.

— No cóż, może i tak być. Panna King pomogła nam trochę, jak wiadomo, w pewnej sprawie z przeszłości. Tej księżnej... nie, hrabiny. Były tam pewne rzeczy, które wyciągnęłaś na światło dzienne, Daphne. Jednakże, tak... jednakże muszę przypomnieć, że panna King nie jest, w istocie, żadnego rodzaju profesjonalnym stróżem prawa. — Wzrok Markłowa myszkował po pomieszczeniu. — Mając jednak na względzie... te... nowiny dostarczone przez pannę King, słuszne będzie opuszczenie przez wszystkich państwa tego teatru, żeby moi chłopcy mogli dokonać dokładnego przeszukania budynku. Będziemy musieli zebrać państwa adresy na wypadek, gdyby trzeba było zadać jakieś dalsze pytania.

— Grzecznie i jasno powiedziane, panie inspektorze — stwierdził Alfred najwyraźniej zadowolony, że mógł coś wniesić do postępowania. — Wszyscy zatrzymaliśmy się w Regency Hotel, zaraz za rogiem Golden Lion Street. Nie jest to taki pierwszorzędny hotel, jakim kiedyś podobno był, ale wciąż uważa się go za przyzwoity.

Była to dla Daphne cenna informacja. Zgromadzenie wszystkich aktorów pod jednym dachem ułatwiało jej zadanie. Wyobraziła sobie, jak przemieszcza się od pokoju do pokoju z notesem pod pachą i arsenałem dociekliwych pytań na ustach. A cały hotel będzie szeptać: „Kim jest ta tajemnicza i sensowna kobieta szukająca prawdy i sprawiedliwości?”. Jakiś szczególnie dobrze poinformowany pracownik — może francuski sommelier — odpowie, że to ta słynna Daphne King, niegdyś dostarczycielka dobrych rad gospodarskich, a teraz wysłanniczka samej Temidy. Daphne z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że sommelierzy mają rozległą wiedzę o greckiej mitologii.

— Mogę, panno King, poprosić jeszcze panią na słówko? — Głos Alfreda przywołał Daphne do rzeczywistości.

— Oczywiście, Alfredzie. W czym mogę pomóc?

— Już mówię. Czy mogłaby pani towarzyszyć mi do mojej siostry? Zaszła się w swojej garderobie — no, teraz, ściśle mówiąc, to raczej gabinet pisarski — po tych wcześniejszych wieściach. Podejrzewam, że chciałaby poznać pani opinię na temat tego, co się wydarzyło. Może mogłaby pani jej coś opowiedzieć przy jednym czy dwóch dżinach, a potem poszlibyśmy razem odpocząć do Regency.

Daphne zastanawiała się przez chwilę. Dżin w towarzystwie jakiejś pisarki był kuszącą perspektywą. Ale miała swoje sprawy do załatwienia, więc podziękowała Alfredowi za propozycję i dodała, że będzie zachwycona, spotykając się z jego siostrą nieco później.

Alfred uparł się jednak, by wychylić jeszcze ostatni kieliszek czerwonego wina. Wypili za pamięć Roberta i rozeszli się każde w swoją stronę, do garderób, by zabrać rzeczy, których potrzebowali wcześniej, zgodnie z instrukcją Markłowa.

Irene i Donald wyszli razem, coś do siebie szepcząc. Alfred i Cecil wysuszili swoje kieliszki i wyszli wkrótce potem, a za nimi inspektor Markłow.

— No cóż, panno King, okazuje się, że ugryzła pani więcej, niż może przełknąć — zachichotał słabo Chester.

— Nie sądzę — odparła lakonicznie Daphne, sama siebie zaskakując własną stanowczością. Najwyraźniej lokomotywa mogła teraz ruszyć bez przeszkód. — W istocie chciałabym mieć jeszcze więcej do przełknięcia. Myślę, że nadszedł już czas, żebyś mi opowiedział wszystko o tych paczkach, które dostawałeś.

11

Chester westchnął i rozejrzał się po opustoszałym bufecie.

— Spodziewałem się tego.

Daphne się uśmiechnęła. Ten człowiek już był gotowy do poddania się jej zmysłowi do tego, co osobliwe i niewypowiedziane.

— Naprawdę?

— Tak. Nigel mi powiedział, że pani o nie pytała, to znaczy o te paczki.

Ego Daphne odrobinę sflaczało. Oczywiście. Nigel. Nigdy nie ufaj portierowi.

— Obiecuję, że powiem wszystko, co o nich wiem. Nie mam pojęcia dlaczego, ale ufam pani, panno King. To zabawne. — Zachichotał ponownie, tym razem z jakimś zmęczeniem w głosie. — Moja żona, Theodora... Muszę z nią pomówić najpierw. To wszystko było... cóż, czuję się tak, jakbym dostał porządny wycisk. Theodora zrozumie, co trzeba. Obawiam się, że bez niej nie dam sobie rady. Niech mnie pani za chwilę odwiedzi w mojej garderobie. Powiedzmy o czwartej.

Dało to Daphne chwilę do namysłu. Czy ktoś podejrzany, mający ważne informacje, stara się wystawić ją do wiatru? To był czas na wzmocnienie chwytu, na namówienie Chestera, groźbą czy pochlebstwem, do satysfakcjonującego i spójnego wyjaśnienia kwestii paczek. Daphne patrzyła na tego starego człowieka, na jego wodniste oczy i brodę, wciąż wilgotną po śmierci jego przyjaciela.

— Doskonale. Tak, w porządku — odparła. — Spotkam się z panem w pańskiej garderobie. Ale muszę uprzedzić, że jeśli pan zwieje, będę cholernie rozczarowana.

Odpowiedział jej ze słabym uśmiechem:

— Podejrzewam raczej, panno King, że czas na „zwiewanie” już był i przeminął. Jakiś czas temu, obawiam się.

bbAlfred kręcił się przez chwilę za wychodzącymi z bufetu, Daphne zaś miała teraz do wyboru czekać samotnie na godzinę czwartą albo przyjąć wcześniejsze zaproszenie Alfreda do odwiedzenia jego siostry.

Postanowiła skorzystać z tej oferty. Chester wydawał się jej ufać, ale jej obecność wśród ludzi teatru wywoływała różne reakcje — od łagodnego zaciekawienia do obojętności graniczącej z wrogością. Im bardziej była postrzegana jako obca, tym mniejsze były szanse, że usłyszysz od tych osób coś ważnego, a im mniej usłyszysz, tym dalej będzie od rozwiązania tej sprawy, mającej, jak przypuszczała, zawiły scenariusz.

Nie, samotne przesiadywanie w bufecie nic jej nie da; powinna zawierać znajomości, zbierać informacje. Alfred od razu rozpoczął chaotyczny monolog, przeskakując od prerafaelitów (jego profesor malarstwa szczególnie cenił Millaisa, jednak Alfred uważał go za nadętego świętoszka, preferując Rossettiego) do planów na Boże Narodzenie (miał je spędzić z siostrą, bo ich rodzice już odeszli). Na zakończenie zapytał Daphne, czy naprawdę myśli, że Roberta ktoś „załatwi”.

Daphne uznała nieszkodliwe (choć szczerze mówiąc, nieciekawe) wynurzenia Alfreda za świetny akompaniament do własnych przemyśleń. Ten dzień, a raczej te godziny, które upłynęły od chwili, gdy znalazła się w teatrze, obudziły w niej jakieś nieostre uczucie niepokoju. Miała dziwne i niedające się pokonać wrażenie, że coś może przegapiła. Musiała przy najbliższej okazji zanotować kłębiące się w niej myśli. Jej wcześniejsze wysiłki na polu śledczym nauczyły ją, że myśli czy obserwacje przelane na papier stają się bardziej znaczące — albo ujawniają swą błahość.

— No i jesteśmy na miejscu, panno King. — Alfred zatrzymał się przed drzwiami jakiejś garderoby.

— To takie strasznie belferskie, Alfredzie. Kiedy słyszę „panno King”, zaraz mam skojarzenia z jakąś wyjątkowo nieregularną łacińską koniugacją. Mów mi Daphne — powiedziała śmiałym głosem.

— Świetnie, a zatem, Daphne, jesteśmy na miejscu. Przygotuj się.

Z tym słowami Alfred wprowadził ją do garderoby po lewej. Daphne znalazła się w chmurze papierosowego dymu z charakterystyczną domieszką zapachu dżinu. Czyżby pozwoliła się Alfredowi zaciągnąć do jakiejś podejrzanego meliny? Słyszała o palarniach opium na obrzeżach Soho. Dosłyszała gramofon wygrywający z trzaskiem jakąś raczej nowoczesną wersję *Cichej nocy* (Daphne była pewna, że w oryginale brakowało improwizowanej solówki saksofonu). Okulary od razu jej zaparowały, więc je zdjęła i rozejrzała się wokół. Jakaś samotna postać siedziała w fotelu w rogu pokoju, z notatnikiem w jednej ręce i papierosem w drugiej. Szklanka z ciętego szkła, napełniona po części dżinem, stała na brzegu toaletki, a ślady szminki na brzegach zdradzały, że była niedawno w użyciu.

— Daphne, poznaj moją siostrę, w niedalekiej przyszłości czołową dramatopisarkę awangardy, Veronicę Burford. Najdroższa siostrzo, poznaj Daphne King z „Daily Chronicle” — zaanonsował Alfred tonem, którego nie powstydziliby się kamerdyner ogłaszający przybycie starej szlachty na jakiś wiejski zjazd.

Jednakże Veronica Burford była postacią, której przybycie do jakiegoś zanego majątku w Sussex wywołałoby niemałe poruszenie. Nawet nieprzywiązujący nadmiernego znaczenia do protokołu gospodarze oczekiwali by skromnej spódnicy, tymczasem Veronica miała na sobie sztruksowe spodnie, a zamiast schludnej bluzki jakąś koszulkę bez kołnierzyka, o nieokreślonym fasonie. Z półprzymkniętymi oczami wyglądającymi spod fryzury na pazia, okalającej jej kanciastą twarz, wydawała się ucieleśnieniem ducha Grety Garbo i emanowała chmurną niefrasobliwością, która — o czym Daphne przekonała się później — była równie irytująca, co odurzająca.

— Muszę cię ostrzec, Daphne — ciągnął Alfred — byś nie wierzyła w ani jedno słowo, które wypowie. Brać jej słowa na serio to tańczyć z diabłem.

— No wiesz, Alfredzie, to absolutnie nie fair z twojej strony — odezwał się przeciągły głos z rogu pokoju. — Jestem *znacznie* bardziej interesująca od Lucyfera, tego przereklamowanego szarlatana z marną inwencją i tanią złośliwością.

Veronica podniosła się z fotela, zabrała szklanekę z dżinem i położyła na jej miejscu swój notatnik. Kierując chłodne, nieodgadnione spojrzenie na Daphne, podeszła do niej wystudowanym, niespiesznym krokiem, dając jej okazję przyjrzenia się zarówno pokojowi, jak i jego lokatorce. Chociaż zespół zajął pomieszczenia Theatre Royale zaledwie pięć dni wcześniej, pokój pełen był przedmiotów zdradzających osobowość Veroniki; były wśród nich stos oprawnych w skórę książek, pusta butelka po winie z zatkniętą w niej gałązką ostrokrzewu, pognieciony afisz paryskiego, jak się zdawało, pochodzenia, powieszony na ścianie obok fotela, oraz osobliwie rozrośnięta gałąź jemioli przed lustrem.

— Miałam wrażenie, że to stary kochany Fabian wciągnął Chestera i Theodorę w jakiś rozstrój nerwowy parę dni temu — rzuciła Veronica. — Biegali w kółko jak kurczaki z odciętymi głowami; to musiała być robota *monsieur le Prince'a*. Korciło mnie wtedy, żeby od tego uciec, ale teraz jestem właściwie zadowolona, że tego nie zrobiłam. Trochę dżinu, panno King? Ostatecznie wypadaloby wznieść toast za pamięć naszego drogiego nieboszczyka Roberta Stirlinga...

— Veronico, musisz posłuchać, co ujawniła Daphne. To naprawdę coś, mówię ci... wymaga *przynajmniej* jednego dżinu. Daphne, dawaj i nie oszczędzaj żadnych krwistych szczegółów — nalegał Alfred.

— Ujawniła? A co tu jest do ujawniania? Powiedziano mi, że Robert przekreślił się na samej scenie. — Veronica zmarszczyła brwi, nalewając do trzech szklanek solidne porcje dżinu. — Nie ma co deliberować. Myślałam, że zjawiłaś się tu, żeby napisać jakiś słodziutki kawałek laskoczący ego Chestera i Theodory. *Ujawnianie* brzmi cudownie pioniersko. Powiedz mi, czy jako reporterka kulturalna dorabiasz sobie w charakterze bezwzględnego dziennikarza śledczego?

— To moja pierwsza wycieczka na obszar dziennikarstwa kulturalnego — odparła nonszalancko Daphne, przysiadając na stołku i odstawiając torebkę na podłogę. — Chleb z masłem mam z tego, że doradzam wszystkim w domowych kłopotach. Może widziałaś mój pseudonim owinięty wokół ryby z frytkami: Droga Susan?

Rodzeństwo wyraźnie się ożywiło. Ależ tak, słyszeli o Drogiej Susan; była przecież zbawczynią zrozpaczonych kobiet w całym kraju. Veronica wcale nierzadko bawiła się, cytując złote myśli Drogiej Susan swoim kolegom po piórze. Odgrywała wówczas panią w pewnym wieku, strojną w perły, z pudłem spoczywającym u jej stóp i z mężem (trzecim, jak sobie wyobrażała, bo dwaj pierwsi zginęli w jakichś heroicznych okolicznościach), koszącą trawnik przed domem. A teraz ta postać siedziała przed nimi, sącząc dżin, z niebyt uporządkowaną fryzurą, obgryzionymi paznokciami i pękniętą parasolką.

— Myślałam, że moja zdolność do dziwienia się została doszczętnie wyczerpana podczas tych trzech lat, gdy mieszkalam w Berlinie — powiedziała Veronica, zakładając lewą nogę na prawą i kręcąc głową z niedowierzaniem. — No, ale teraz to coś nowego, bardzo odświeżającego, panno King. Teraz musi pani przysiąc, że opowie nam pani o Hrabinie Hazardzistce, nie pomijając żadnych detali. Musimy się dowiedzieć, jak, kiedy, gdzie i jakim cudem domyśliła się, że została porwana do Monte Carlo i tak bardzo potrzebowała pomocy Drogiej Susan.

Daphne się uśmiechnęła. Może Droga Susan nie była tak do końca skończonym etapem.

— W zasadzie to było całkiem łatwe, odkąd... — Zamilkła. „Skup się, Daphne”. Branie się na lep pochlebstw dramatopisarki z kręgów bohemy *nie było* przewidziane w porządku dnia. — Tak właściwie to sądzę, że lepiej wykorzystamy ten czas, dyskutując o śmierci Roberta Stirlinga.

Powiedziawszy to, Daphne zdała Veronice więźlę — choć niepozabawioną barw — relację z jej odkryć dotyczących grzybów.

— No nie mów! Naprawdę wierzysz, że to było zabójstwo? Morderstwo? Że Robert Stirling został zamordowany? — Veronica porzuciła swą wystudiowaną nonszalancję, pochyliła się do przodu, ściskając szklankę z dżinem, i wpatrywała się w Daphne szeroko otwartymi oczami.

— Tak, właśnie tak uważam.

Veronica westchnęła.

— No cóż, wiele osób chciałoby zobaczyć Roberta gdzieś poza nawiasem. Nie powinniśmy się dziwić.

— Co takiego? — Daphne przypomniała sobie aluzje Irene Juniper: — Obawiam się, że będziesz musiała mi to wyjaśnić.

Alfred nalał im po nowej kolejce dżinu, a potem zmienił płytę na gramofonie.

— Nie, przepraszam cię, *Good King Wenceslas* wystarczy. Znajdź coś innego — poprosiła Veronica, nim obróciła się znów do Daphne i uniosła brew. — Cóż, między Robertem i — właściwie wieloma — tutejszymi paniami nie było wielkiej miłości. Z tego, co wiem, to był niezły roué.

Daphne uniosła brew.

— Kobieciarz? To masz na myśli?

— Tak to było. Zawsze lubił kobiety, delikatnie mówiąc — powiedziała Veronica, mieszając dżin w szklance. — Wszyscy wiedzieli, że drogi nieboszczyk Robert pozostawił legion porzuconych i, ogólnie rzecz biorąc, źle potraktowanych kobiet.

Daphne przypomniała sobie groźbę Irene: „...nie zostanę, jeśli on tu będzie!”.

— Powiedz mi, czy Irene Juniper jest jedną z tych źle potraktowanych kobiet? — spytała, utrzymując spokojne spojrzenie.

— Irene?! O Panie! Nie myśl tak! — wypalił Alfred. — Robert był kiedyś świntuchem, ale nie teraz... To znaczy: nie ostatnio.

Daphne wpatrywała się wciąż w Veronicę.

— To w końcu nie moja sprawa... Powinnaś porozmawiać z Irene — powiedziała Veronica, a jej głos po raz pierwszy od czasu, gdy Daphne ją poznała, wydawał się niepewny.

— Zamierzam to zrobić. — Czy Irene Juniper mogła być podejrzana? Zważywszy na to, co mówiła o Robercie Stirlingu, na pewno. Ale żeby go zamordowała? Daphne nie była pewna. Jednak właśnie z racji tych wątpliwości wiedziała, że nie może wykluczyć Irene z tej mgławicy podejrzeń, jaka kłębiła się w jej głowie. — Jeśli mogę zapytać... jaka jest właściwie twoja rola w tej produkcji, Veronico? — drążyła.

Veronica zebrała usta w ciup, nie próbując nawet skrywać pogardy. Alfred, o mało nie zakrztusiwszy się łykiem dżinu, parsknął:

— O Boże, teraz się zacznie!

— Jestem odpowiedzialna za... złożenie do kupy tej adaptacji *Opowieści wigilijnej* — zaczęła Veronica, chowając się znów w swoim fotelu. — Oczywiście to środek do celu. Chester jest starym przyjacielem rodziny. Słyszał, że w Berlinie... zabrakło mi szczęścia, więc zapytał, czy byłabym tak miła i zrobiła mu ten zaszczyt wyrzeźbienia od nowa *Opowieści wigilijnej*, wybebeszając ją i składając z powrotem. Nie mogłam przecież odmówić. Jak się powiedziało, tak się zrobiło. Poszły w ruch nożyce i wypadły dwie godziny bon motów, a liczba postaci skurczyła się do czterech. Nikt w Londynie nie był gotów wykonać tej mojej prawdziwej pracy — przynajmniej aż do dziś.

— Musisz wiedzieć, Daphne, że Veronica kilka ostatnich lat spędziła w Berlinie. — Alfred najwidoczniej przywykł do roli tłumacza co bardziej zagadkowych stwierdzeń swojej siostry. — Uwielbia

opowiadać wszystkim, że zajmowała się tam flirtowaniem z poetami i uczęszczaniem do nocnych klubów i burdeli.

— Dziewczyna musi się zabawić — zaczęła Veronica, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Potem zaczęła tłumaczyć ideę jej adaptacji: miał to być dziewięciogodzinowy cykl łączący kobiety greckiej tragedii — Elektry, Antygonę, Medeę i Andromachę — w zaświatach. Dziewięciogodzinny skowyt katharsis i udręki, zmierzający zarówno do ujawnienia sztuczności teatru, jak i nierealności rzeczywistości. — Ale cóż, coś takiego nie bardzo nadaje się na sobotnią popołudniówkę, tak bym to ujęła — zakończyła Veronica, kwitując swoją wypowiedź porządnym lykiem dżinu. — Poprosiłam Chestera, by miał na oku obsadę, by dobrał ją tak, żeby... się lepiej sprzedawała. Zrobił to już w przypadku *Łaskawej i gniewnej* i chociaż nie jestem skłonna do niepotrzebnych ofiar, nie jestem też niezdolna do kompromisów, jeśli mogą ukazać na scenie moją *prawdziwą* pracę. W każdym razie pilnowałam tego starego drania. Nie zależało mi na jego literackich radach.

— Skoro mówimy o Chesterze... — zaczęła Daphne, zerkając na zegarek. — Jestem z nim umówiona i już się trochę spóźniłam. Możecie mnie zaprowadzić do jego garderoby?

W rodzeństwie Burfordów było coś, co mówiło Daphne, że może polegać na ich szczerości. Musiała mieć nadzieję, że się nie myliła.

Zaraz potem, gdy Daphne po raz chyba siedemnasty tego dnia poprawiła swoją torebkę, drzwi pokoju otworzyły się z impetem. Stał w nich niewysoki, krępy mężczyzna z ciałem jakby stworzonym do walki.

— Na Boga! — wyrzucił z siebie z amerykańskim akcentem. — Jest już kwadrans po czwartej. Na co czekacie, głupole!

12

Daphne zerwała się z krzesła, najwyraźniej jednak osamotniona w swym poczuciu zakłopotania. Świadoma tej papierosowej chmury, wiszącej w powietrzu, i niewątpliwego dżinowego „chuchu”, bijącego od nich wszystkich, zarumieniła się, że tak daleko odeszła od profesjonalnego wizerunku.

Mężczyzna przyglądał się im z badawczością i przenikliwością godną rekina. Jego postawa sugerowała energię kinetyczną wyjątkowo złośliwego „diabła z pudełka”, oczekującego na pierwszy krok, który uruchomiłby — czy usprawiedliwił — eksplozję. Choć był niemal dziesięć centymetrów niższy od pozostałych obecnych, robił władcze wrażenie. Szeroką piersią w marynarskie granatowe pasy (choć różowa lilia w butonierce tworzyła dziwny kontrast) oddychał głośno, a na jego kamiennej twarzy widać było grymas niezadowolenia.

— No dalej! — rozkazał szorstko, zwracając wzrok na Daphne. — Chester powiedział ci, żebyś była o czwartej. Już się spóźniłaś. Chester i Theodora czekają.

Powiedziawszy to, odwrócił się energicznie, wydając ostry gwizd. Veronica westchnęła ciężko i podniosła się z fotela, Alfred zaś zwrócił się do Daphne z szeroko otwartymi oczyma, przygryzając dolną wargę:

— Droga Daphne, gdy pan Salter się zjawia, zawsze tak jest, bo wraz z nim zjawiają się inne przykre rzeczy — rzucił nerwowo.

Daphne była zaintrygowana. Jakich to „przykrych rzeczy” Alfred się spodziewał? Jakby w odpowiedzi na to niewypowiedziane pytanie Veronica odezwała się uspokajająco:

— Nie przejmuj się panem Salterem. Ma pewną skłonność do dramatycznych wejść i... gromkich proklamacji. Staramy się nie traktować go zbyt poważnie — i tobie sugeruję to samo.

— Wciąż to samo, Veronica — wtrącił jej brat. — Może powinniśmy wprowadzić Daphne w sytuację, zanim...

Minęła chwila, podczas której rodzeństwo wydawało się porozumiewać na płaszczyźnie całkowicie obcej dla Daphne. Veronica, opanowana i zrównoważona, wpatrywała się w brata wyważonym i stanowczym wzrokiem. Alfred tymczasem szybko mrugał oczami, wepchnął kciuki w szlufki paska, przebiegając nerwowo pozostałymi palcami.

— O jakiej sytuacji mówisz? — zapytała Daphne. — Musisz mieć na myśli tę sytuację związaną z paczkami, które Chester dostawał; rzucającymi jakiś cień na wszystkich, którzy o nich wspominali. Mam szczerą nadzieję, że nie spodziewasz się, by zapowiedź „przykrych rzeczy” wystraszyła dziennikarkę, której nie wystarczy bynajmniej przesiadywanie ze szklanką dżinu, gdy za kulisami teatru dzieje się tak wiele. Prawda?

Stanowczość Daphne sprawiła, że rodzeństwo nie siliło się już na dalsze wykręty. Alfred, ze zrezygnowaniem wzruszając ramionami, ustąpił miejsca siostrze, która naturalnym gestem wyprowadziła całą trójkę. Na twarzy Veroniki, po raz pierwszy od chwili, gdy ją poznała, Daphne dostrzegła jakiś cień niepewności, gdy ta przystanęła na zewnątrz swojego pokoju; jakiś ślad zdradzający, że jej pewność siebie nie była aż tak niewzruszona.

— Słuchaj, Daphne, lepiej, żebyś wiedziała — odezwała się ostrzegawczym tonem — że Theodora potrafi być nader... obrończo nastawiona do Chestera. Zwłaszcza w ostatnich tygodniach. Te paczki naprawdę ich wystraszyły. No, a teraz Robert... Możesz sobie wyobrazić...

Daphne kiwnęła niezobowiązująco głową, poprawiając okulary w sposób, który wedle jej wyobrażeń bardziej pasował do poważnej dziennikarki śledczej, na której dżin nie zrobił najmniejszego wrażenia, choć skądinąd nie miała w zwyczaju pijać go o tak wczesnej porze.

Stanąwszy przed sąsiednią garderobą, Veronica zerknęła na brata pukającego niepewnie do drzwi. Odezwała się zza nich przytłumiona odpowiedź, a barwa głosu wskazywała na dziarskiego pana Saltera. Odczytując ów głos jako zaproszenie do wejścia, Veronica uczyniła to jako pierwsza. Na jej widok cała trójka przebywająca wewnątrz — Chester Harrison z uśmiechem tak lodowatym, że nie mógł być wzięty za szczerzy, tajemniczy pan Salter ze zmruczonymi oczyma oraz budząca respekt władca Theodora D'Arby — raptownie przerwała rozmowę.

Pokój — większy od tego, który zajęła Veronica — wypełniała ciężka woń kwiatów; bukiety rozstawione były wokół szezlongu umiejscowionego pod ścianą w głębi. Nie dało się zaprzeczyć, że szezlong ten widział już lepsze czasy. Przez mocno wytarte pokrycie wizerwały pęki wypełnienia, a melanż ciemnych plam i wypalonych śladów po papierosach na podłokietnikach sugerował, że poprzedni użytkownicy tego mebla lubili czerwone wino i tytoń. Obok szezlongu stał, przykryty całkowicie szpetną serwetą, malutki stolik, zbyt niski, aby nawet odstawianie nań drinków było wygodne. Tłumaczyło to może plamy po winie na szezlongu.

Daphne zauważyła brak zwyczajowych drobiazgów i gadżetów świadczących o zakulisowym blichtrze. Żadnych flakonów z perfumami ani fotografii w pozłacanych ramkach na toalecie. Jedyne poobijane blaszane pudełko, obiecujące, że kryje w sobie wyborowe herbatniki firmy McFarlane & Sturgess. Wieszaki na kostiumy były puste; zauważyła jedynie tweedowy płaszcz z czerwonym szalem Chestera i lisią czapkę, która musiała, jak się domyślała Daphne, należeć do Theodory D'Arby. W pokoju panowała

atmosfera kłótni — może rodzinnej, może zawodowej, ale na pewno nierozwiązanej. Było to tak wyczuwalne i wszechogarniające, jak zapach lilii w powietrzu.

W dużym lustrze na przeciwnej ścianie Daphne pochwyciła własne odbicie i natychmiast zmieniła swoje skonsternowane spojrzenie na bardziej neutralne i pewne.

Chester przywitał ją, wyciągając swoją wydelikacaną dłoń.

— Daphne... panno King — zaczął. — Pani cierpliwość dzisiejszego dnia nie została przeoczona ani niedoceniona. Dziękuję, że pozwoliła mi pani na małą przerwę, bym mógł pomówić z żoną. Mam nadzieję, że teraz uzna mnie pani za... bardziej skorego do współpracy i dostarczenia pani wszystkich informacji, jakich pani potrzebuje. Śmierć Roberta sprawiła, że poczułem się... osamotniony. Przeegrany. Mam nadzieję, że zachowa pani swoją cierpliwość do mnie w tych najtrudniejszych chwilach.

Daphne skinęła głową na znak zgody.

Theodora D'Arby robiła teraz groźne wrażenie. Ze stalowym wzrokiem i zaciśniętymi pięściami zatrzymała się pośrodku pokoju w chwili, gdy weszli Daphne, Veronica i Alfred — najwidoczniej przechadzała się w tę i z powrotem. Brzeg jej ponurej zielonej sukni ciągnął się po brudnym dywanie; widać było buty ciśnięte pod szeszlą. Teatralny światek Londynu huczał od plotek o depresji, w jaką popadła, wróciwszy z Hollywood. Daphne oczywiście знаła tę paplaninę z magła. Teraz miała przed oczami ostateczny dowód, że budować należy na faktach, a nie na plotkach czy pogłoskach. Bo Theodora D'Arby, która skończyła już zapewne czterdzieści cztery lata, mimo wszystko emanowała skończonym pięknem, przywodzącym na myśl jakąś wróżbitkę ze starogreckiej wyroczni albo syrenę... Daphne nie mogła oderwać wzroku od tej kobiety, która w roli Joanny D'Arc, ponadczasowego przecież wcielenia eteryczności i siły zarazem, porwała widzów w początkach kariery.

— Dobry wieczór, pani D'Arby. Jestem Daphne King — przedstawiła się najprościej. — Przesłano mnie tu z „Chronicle”. Byłam świadkiem śmierci Roberta Stirlinga. I to ja znalazłam trujące grzyby w jego garderobie, o czym powiedziałam policji. Wiem, że dzieje się tu coś dziwnego, może parę rzeczy naraz — i na początku chciałabym się dowiedzieć więcej o tych paczkach.

Chłód Theodory wydał się lekko tajać przez to może, że Daphne nie zadrżała bynajmniej przed jej *froideur*. Obdarzyła Daphne chłodnym uśmiechem, ani zbyt entuzjastycznym, ani nazbyt wåtym; był to ten rodzaj uśmiechu, który dziennikarze mający to szczęście, by się z nią spotkać, opisywali — banalnie może, ale nie fałszywie — jako sfinksowy.

— Musi nam pani wybaczyć — powiedziała przeciągle. — Znalazła nas pani w trakcie... próby. Próbowaliśmy pewien epizod... — Przez „próbowanie” Theodora rozumiała, jak się zdawało, coś ponurego, przygnębiającego, potencjalnie morderczego.

— Dora, nie gadaj za dużo do prasy, dobra? — wtrącił się pan Salter, wypowiadając jakimś cieplejszym tonem tę skądinąd zaczepną uwagę.

W ten sposób Daphne została oficjalnie dostrzeżona przez tego dziwnego pana Saltera, czy też — jak mówiła Theodora — „drogiego, twardego George'a”.

— Nie może sobie pani wyobrazić, jak bym przetrwała to wszystko w Hollywood bez pomocnej i pewnej ręki drogiego i twardego George'a na sterze. Jak bym pokonała, metaforycznie mówiąc, te szatańsko zdradzieckie wody, panno King — wyjaśniła Theodora, przepływając z niebywałą gracją po tym zapuszczonym dywanie w kierunku szeszlą. — Człowiek mógłby utonąć w tych pomyjach i przejawach hysterii. Na szczęście George przyszedł mi z pomocą — rzucił mi koło ratunkowe, że się tak metaforycznie wyrażę. Muszę panią uprzedzić, że mam niejaką skłonność do metafor...

Ta żartobliwa uwaga Theodory wskazywała, że zapomniała już o tym „próbowaniu”, które ją tak pochłaniało. Ułożyła się wygodnie na szezlongu.

— Niech pani się nim nie przejmuj, panno King. Tymi jego wybuchami irytacji. To hollywoodzki agent rzucony do mokrego Londynu na Boże Narodzenie — ciągnęła Theodora z delikatnym westchnieniem. — I nie zdziwi mnie, jeśli ten drogi, twardy George uzna, że Londyn jest w porównaniu z Hollywood nudny i nieruchawy jak woda w sadzawce.

George pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech, wyciągając mankiety koszuli z rękawów swego garnituru w prążki.

— W waszym kraju nie jest wcale nudno, same zagadki. Kielbaski z ziemniakami, jabłka z gruszkami, policjanci w garnkach na głowach... Wy, Angole, i te wasze zagadki...

Chester i Theodora uśmiechnęli się ciepło na te niewątpliwie serdeczne w intencji uwagi pana Saltera. Uśmiechnęli się tak szczerze, jakby wyrzucili już z pamięci wspomnienie o martwym ciele Roberta Stirlinga, leżącym ledwie godzinę wcześniej na scenie za ich garderobą. Po raz kolejny i nie ostatni tego dnia Daphne przyszła do głowy myśl o zmienności aktorskiej natury. Dziwnej, choć niepozbowionej uroku.

— Wybacz mi, że mówię to tak otwarcie, Chesterze, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, co tu się właściwie dzieje? — odezwała się Daphne.

Theodora zerknęła na Chestera, ten zaś położył uspokajająco dłoń na jej ręce.

— Dora zachowuje ostrożność wobec pani, panno King. Mam nadzieję, że jej to pani wybaczy.

— Oczywiście — odparła Daphne. — Jestem dziennikarką i wiem, że dziennikarze cieszą się określoną reputacją: tandetnych łowców sensacji i bezwzględnych poszukiwaczy skandali. Ale mogę panią zapewnić, pani D'Arby, że szukam jednej i tylko jednej rzeczy — prawdy. Nie będę lukrować niczego niesmacznego ani też lubować się w tym. No i nie zgodzę się, by „Chronicle” wydrukowała coś, co nie jest prawdą.

Znów poczuła energię lokomotywy gotowej do drogi. Jednak ta elokwencja i pewność siebie mogły ją wyprowadzić na ślepy tor, jeśli nie skoncentruje się i nie zubożętnieje na wpływ dżinu.

— Możecie mi powiedzieć wszystko albo nic, ewentualnie coś pomiędzy — ciągnęła Daphne. — Mam jednak wrażenie — i myślę, że je podzielacie — że cokolwiek się stało albo wciąż się dzieje, dotrze w jakiś sposób do gazet. Pytanie, czy chcecie, bym to ja przekazała całą rzecz do prasy jako pierwsza, czy też wolicie poczekać na kogoś mniej godnego zaufania i bez skrupułów, żeby wyciągnął wszystko na światło dzienne.

Narastała w niej ekscytacja. Czowała, że owszem, może odkryć prawdę. Więcej nawet — że już zaczęła ją odkrywać. Oczywiście miała świadomość ryzyka, grała przecież o wielką stawkę, ale jeszcze nigdy w życiu nie była niczego tak pewna.

— Moja droga, minęłaś się chyba z powołaniem — powiedziała przeciągle Theodora. — Sprawdziłabyś się w handlu: mogę sobie ciebie wyobrazić jako sprzedawczynię w Selfridges, przekonującą hordy biednych i łatwowiernych gospodyń domowych, by oddały ci swoje pieniądze w zamian za jakieś cudowne panaceum. Wciąż nie możemy mieć całkowitej pewności, co rzeczywiście stało się z Robertem, ale mój mąż wydaje się żywić do pani pewną sympatię, Veronica zaś i Alfred najwidoczniej dzielają tę słabość. Na tej podstawie i ja odczuwam pewną inklinację, bym pani zaufała. Jest w pani jakaś determinacja, która przemawia do ludzi, a także inteligencja, jak sądzę, która może tu zdziałać coś dobrego.

Chester zakrztusił się lekko herbatą i odstawił filiżankę obok jednego z bardziej okazałych bukietów. Ocierając chusteczką usta, zaczął:

— Przyszło mi na myśl coś jeszcze: może nie musimy się niczego obawiać, a już szczególnie ze strony Daphne...

Theodora uniosła się z półleżącej pozycji — naprawdę „uniosła”, bo to jedyne słowo oddające tak dystyngowany ruch — i położyła czule dłoń na ramieniu męża.

— Kochanie, wierz mi, kiedy mówię, że bardzo bym chciała, aby to wszystko było już za nami, ale rzeczywistość jest taka, że najprawdopodobniej będziemy musieli zmierzyć się z zawartością tych... przesyłek, które otrzymywałeś od września, najpierw raz w tygodniu, a ostatnio... codziennie. — Theodora wyglądała na znużoną i na chwilę przymknęła oczy.

— Klnę się na Boga, że gdybym wiedział, kim jest ten łajdak, rozprawiłbym się z nim bez litości!

To cokolwiek archaiczne przekleństwo Alfreda odpowiadało sile wrogości, jaką ewidentnie czuł do sprawcy tych czynów.

— To skrajne łajdactwo tak was prześladować, Chesterze i Theodoro...

— Cóż, to po prostu chamskie i, powiedziałbym, mało pomysłowe dowcipy — rzucił lekceważąco Chester. — Nic więcej. Jakiś drań chciał się zabawić naszym kosztem.

Daphne, zmęczona już próbami poskładania tych wszystkich puzzli, zdecydowała, że nadszedł odpowiedni moment, by postawić sprawę jasno:

— A więc te paczki zawierały... co dokładnie?

— Brawo, panno King. Trzeba chwycić byka za rogi. — Theodora się roześmiała, ale bez złośliwości. — Nie mam zamiaru zniżyć się do wchodzenia w szczegóły, ale nie były to dowody podziwu ani wdzięczności, takie jak odbierałam wcześniej, gdy występowałam w Paryżu albo na Broadwayu. Te były całkiem inne — skrajnie niesmaczne.

— Na ogół wino i cygara — wtrącił Chester. — Także te drogie. Dobre. Smaczne. Ale zapakowane wraz z mniej przyjemnymi dodatkami. Martwymi karaluchami albo wyschniętym ślimakiem. W jednej był rozkładający się szczur.

— Dziwne, bardzo dziwne — powiedziała Daphne w zamyśleniu. — Karaluchy, ślimaki, szczury, wszystko to szkodniki. Ale drogie wina i cygara? To musiał być jakiś dowcipniś nieliczący się z pieniędzmi... A jakie to było wino? Bo nie sądzę, by ktoś zapamiętał markę cygar, chociaż byłyby to cenna informacja. Tak się składa, że mam przyjaciela, w zasadzie znajomego, w Green Park, który zna wszystkich ludzi z tej branży...

Z Daphne wylał się cały potok pytań. Czy paczki przychodziły przez pocztę, czy bezpośrednio przez posłańca? O jakiej porze dnia przychodziły? Zakładała, że człowiek zarządzający wejściem na scenę mógł rzucić światło na sposób dostawy, a nawet opisać tego kogoś, kto je przynosił. Przesyłki zdawały się mieć charakter wybitnie osobisty; czy Chester podejrzewał, kto byłby zdolny do takich działań? Chodziło o wyrównanie rachunków albo chęć przypomnienia Chesterowi o czymś? Czy to były zwykłe ślimaki ogrodowe, czy też jakieś bardziej egzotyczne? A karaluchy? Czy chodziło o zwykłe prusaki, czy też może o pręgowane *Supella longipalpa*? Czy szczur był śniady, czy też wędrowny?

— Specyfikacja ma kluczowe znaczenie — wyjaśniła Daphne. — Pomaga rozwiązać zagadki wszelkiego rodzaju.

W ustach wciąż wyczuwała nieświeży posmak dżinu. Naprawdę potrzebowała się napić wody.

— Wiesz, Daphne, poruszyłaś wiele naprawdę ważnych kwestii — zachwycił się Chester tak szczerze, jak tylko mógł. — Tylko że te prezenty były dla nas tak odpychające, że pozbywaliśmy się ich jak najszybciej. Wydaje mi się, że cygara były marki Imperial, ale wyrzucałem je od razu. Nie mogłem ich już więcej znieść.

Daphne zanotowała sobie w pamięci „już więcej”.

— A kiedyś *mogłeś* je znieść?

Chester zachnął się lekko.

— Wiele lat temu, naprawdę dawno temu. A co do... przeciwników. Dowolna liczba tych... rywali mogła poczuć, że zostali pokonani. Może to jakiś wielbiciel, jakiś nazbyt zagorzały wielbiciel, szukający łączności ze mną, choćby tak niepokojącej...

Chester strzelał sugestiami i aluzjami, które mogły być jego zdaniem prawdopodobne. Daphne jednak miała przemożne wrażenie, że coś przed nią ukrywał.

— A ta dzisiejsza paczka... już ją otworzyłeś? — zapytała.

13

Pokręciwszy głową, Chester sięgnął za szeszlony i wydobył tekturowe pudełko.

— Mogę? — spytała Daphne, wyciągając rękę po paczkę. Chester oddał jej pudełko.

Daphne otworzyła je tak ostrożnie, jakby obchodziła się z nowo narodzonego dzieckiem albo jajkiem Fabergé. Odłożyła na bok martwego karaczana — *Supella longipalpa*, jak zauważyła — i wyjęła najnowszy prezent. Nie była to butelka wina ani cygara, tylko wieczne pióro.

Obejrzała je dokładnie. Było drogie. W niemal nieskazitelnym stanie. Owszem, używane, ale mało; po stalówce nie było widać, żeby ktoś na nią naciskał przez dłuższy czas.

Wszyscy obecni w pokoju obserwowali ją, a umysł Daphne wiązał te skąpe fakty, z którymi dane jej było się zapoznać — a każdy z nich prowokował do zadania kilku naglących pytań. Spojrzała na Chestera. Twarz mu pobladała.

— To pióro... widziałeś je wcześniej, Chesterze? Czy coś dla ciebie znaczy?

Pokręcił żywo głową, ale nie wypowiedział ani słowa.

Kłamał. Daphne była tego pewna. To pióro miało znaczenie. Mogłaby za to dać głowę. Na twarzy Chestera znać było udręczenie, jak na twarzy Scrooge'a w konfrontacji z Duchem Wigilijnej Przeszłości. To pióro było jak wizyta ducha, przypomnienie. Jak podpowiedź. Pogróżka.

Daphne zwróciła teraz uwagę na pudełko, w którym dostarczono pióro. Nie było na nim żadnych napisów, znaczków ani stempli. Theodora wyjaśniła, że tak jak poprzednie przesyłki znalazł je Nigel obok drzwi na scenę. Jedyne szczegól, który świadczył, że nie było przeznaczone do wyrzucenia na śmieci, to schludna, ręcznie sporządzona etykieta, przymocowana do pudełka, z napisem: „Dla pana Chestera Harrisona, pisarza”.

Zdumiona Daphne spojrzała na Chestera i Theodorę.

— I żadnego dopisku, żadnego listu? Nic? I czemu tylko „Chestera Harrisona, *pisarza*”? Dlaczego nie „Chestera Harrisona, *pisarza i reżysera*”? Miałam wrażenie, no wiesz... że większy sukces odniosłeś jako reżyser...

Nieme wzruszenie ramion Chestera — nietypowe dla jego gadatliwości — wskazywało, że żadnego dopisku nie było.

— Bardzo to dziwne — wymruczała Daphne do siebie. Miała przemożne wrażenie, że ukrywa się przed nią fakty.

Chester i Theodora przymknęli na moment oczy, a Daphne machinalnie odwróciła wzrok. Jej instynkt śledczy przegrał z poczuciem taktu.

Veronica wypuściła powietrze, jakby wstrzymywała oddech podczas oględzin pióra.

— Moim zdaniem Chester ma pewnie rację. To jakaś stuknięta wielbicielka chce desperacko zwrócić na siebie jego uwagę. Pewnie to jedna z tych damulek noszących bliźniaki, sztywna stara wdowa imieniem Maud, która powoli już traci rozum i chce obsypać prezentami niemożliwie przystojnego Chestera Harrisona, nim sama kopnie w kalendarz. Pióro było zapewne rodzinną pamiątką, której jej syn — na pewno bankier — szukał po całym domu, aż w końcu zwolnił pokojówkę, podejrzewając, że spieniżyła je, by pokryć koszty ślubu z jakimś nicponiem, który złamie jej serce i ukradnie wszystkie srebra.

Daphne usłyszała jakiś chichot — i ku swojemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że to był jej chichot.

— Jeśli ujmujesz to w tak melodramatycznych ramach, nie mogę się wprost doczekać, by się przekonać, co ta tracąca rozum „wdowa Maud” zamierza jeszcze zrobić — powiedziała lekko, z cokolwiek wymuszonym uśmiechem.

Theodora i Chester byli ewidentnie mniej rozbawieni spekulacjami Veroniki. Wino, cygara — wzmianki o tych wcześniejszych prezentach nie robiły na Chesterze większego wrażenia. Jednak to pióro wydawało się rzucać całkiem nowe światło na bieg wypadków. A raczej nie światło, tylko cień. Daphne pomyślała, że to pióro zapowiada krytyczny punkt sprawy.

Chester wstał jakoś niepewnie, odstawiając filiżankę.

— Drodzy przyjaciele, czas nie jest naszym sprzymierzeńcem, niestety. Inspektor Marklow powiedział nam, byśmy wyszli stąd do wpół do piątej, a my już nadużyliśmy jego cierpliwości...

Podszedł do Daphne i ostrożnie zabrał pióro z jej dłoni.

— Będę to trzymał pod kluczem. Na wypadek gdyby zapukała „wdowa Maud”.

Składając pocałunek na policzku żony, Chester dał do zrozumienia, by wszyscy udali się na odpoczynek do baru w Regency Hotel. Przyznał, że sam nie był w dobrym nastroju, ale uważał, że parę drinków dobrze im zrobi. Dla ukojenia nerwów, no i za pamięć Roberta. Theodora przybrała maskę zobojętnienia. George odchrząknął i dopił szkocką ze swojej szklanki.

Daphne kiwnęła głową na znak zgody, choć czuła gdzieś w głębi swojego (wciąż pustego) żołądka, że coś przegapiła. A z jej ograniczonego doświadczenia wynikała jedna lekcja: gdy ktoś jest głodny i nie w sosie, zwykle bywa uczciwy i niezbyt czujny. Było to jednak teraz bez znaczenia. Miała szansę, by wy badać głębiej sprawę pióra i wszystkiego, co ją poprzedziło.

Alfred tymczasem zwrócił się do siostry i Daphne:

— Nie wiem, jak wy, ale mnie wydaje się, że powinniśmy się już położyć po tym, co przeszliśmy. Co wy na to?

14

Spacer zawsze działał na Daphne uspokajająco albo dodawał energii — zależnie od potrzeb. Wieczorami, gdy czuła frustrację albo żal, szukała ukojenia na zacisznych ulicach Camberwell. Rzadko był to zwykły spacer, a już nigdy na próżno. Daphne maszerowała energicznym krokiem, sprawiającym wrażenie ściśle celowego, nawet przy tych licznych okazjach, gdy wyruszała bez żadnej

określonej marszruty. Gdy oplotły ją macki jakiejś bolesnej sytuacji, mogła liczyć, że orzeźwiający marsz do Nunhead wybawi ją z opresji.

Tak było i tym razem. Zamiast udać się wprost do Regency Hotel, Daphne wzięła swój płaszcz i torebkę — i ruszyła do Soho.

Zapadła ciemność, śnieg przynajmniej na razie ustąpił. Skręciwszy zaraz na prawo za teatrem, dotarła do Shaftesbury Avenue. Trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia ulice upstrzone były spieszącymi się przechodniami; niektórzy szli obładowani torbami z zakupami, a inni wciąż desperacko dreptali z pustymi rękami. Gdyby Daphne poszła dalej na prawo, pochłonąłby ją tłum ciągnący w kierunku rozświetlonego Piccadilly Circus. Ale nie, postanowiła, że lepiej będzie skręcić w lewo, oddalić się od zgiełku i ruszyć w stronę Cambridge Circus.

Mijając teatry i rozmaite kioski, starała się uporządkować w myślach wypadki tego dnia. Upłynęło przecież niewiele godzin od spotkania z Martinem Hallidayem, a zdążyło się już ono prawie zatrzeć w pamięci. Teraz zajmowały ją nowe fakty: śmierć Roberta Stirlinga — i że został najprawdopodobniej otruty grzybami; tajemnicze przesyłki otrzymywane przez Chestera — i że coś w tej sprawie ukrywał. Że Robert miał zapewne kilkoro wrogów, którzy ucieszyliby się z jego nieszczęścia. No i były też niewiadome. Rozliczne i złożone. Kto wysyłał te paczki? Kto otrul Roberta? Czy była to jedna i ta sama osoba? A jeśli tak, to kto? I dlaczego? A jeśli nie, to kto? I dlaczego? „Niech to szlag trafi!” — pomyślała Daphne. Kręciła się w kółko.

W gruncie rzeczy, odkąd Martin Halliday poprosił ją o jakieś wnioski, cały czas zmagала się z powiązaniem jakichś słabiutkich przesłanek. Jej spotkania z Donaldem Hartforthem i Irene Juniper były przelotne i pobieżne; oceniła ich jedynie jako parę próżnych aktorów, upudrowanych i wypomadowanych. Cecil Milford zaś był przystojny, lecz cichy; choć Daphne była kobietą przenikliwą, nawet ona nie potrafiła sobie wyrobić przekonującego portretu psychologicznego tego człowieka. No, ale to może przyjść z czasem. Rodzeństwo Burfordów — poplamiony farbami i energiczny student malarstwa aspirujący do stanowiska inspicjenta oraz niebywale, aż niebezpiecznie pewna siebie awangardowa dramatopisarka w sztruksowych spodniach i z uszmiokowanymi ustami — było, owszem, interesujące na płaszczyźnie osobistej, ale Daphne nie miała pojęcia, czy mogli być w coś zamieszani.

Będzie musiała spędzić więcej czasu z całym zespołem. Nie miała wątpliwości, że niektórzy z nich wiedzieli więcej, niż mówili. Zawracając z Shaftesbury Avenue we Frith Street, przypominała sobie tę szczególną wizytę w garderobie Chestera i Theodory. Powróciło tamto wrażenie. W brzuchu znów poczuła motyle. Dziwnie lakoniczna reakcja Chestera, ewidentny niepokój Theodory. I ten protekcyjny stosunek George'a Saltera do swojej klientki.

Ponownie zaatakował ją głód, sprawiając, że zawahała się, czy iść dalej, ale zatrzymanie się na sandwiczka wydało się jej lekkomyślnością w sytuacji, gdy wciąż trzeba było zapytać o tak wiele spraw. Gdy się nad tym zastanawiała, w żółtym świetle ulicznych lamp znów zaczęły wirować ciężkie płatki śniegu. Daphne wreszcie znalazła odpowiedź, co dalej: musiała poszukać jakiegos schronienia i pocieszenia. Zaraz na wprost była herbaciarnia Lyons, czerwone światełka oplatwały okna zaparowane zachęcająco od ciepła wewnątrz. Filiżanka herbaty i jakaś kanapka — to wydawało się dobrym rozwiązaniem. Potem wyruszy do hotelu, gotowa na tamtejszy sznyt, manipulacje i dociekania — i w końcu na odkrycie, co, u diabła, znaczyło to pióro.

Chleb był nieco czerstwy, ale poza tym miejsce spełniło swoje zadanie, a Daphne musiała przyznać, że *mince pie* było bez zarzutu. Pół godziny później, przy wciąż padającym śniegu, Daphne postanowiła raz

jeszcze zboczyć z drogi do hotelu. Zrobiła pętlę i stanęła na rogu naprzeciwko Theatre Royale, gdzie zebrał się tłumek reporterów przepychających się w walce o najlepszy widok.

Rozniosło się już, że londyńska premiera *Opowieści wigilijnej* zostanie odwołana. W całym stołecznym światku teatralnym krytycy, którzy wcześniej jednocyli się w spekulacjach, czy inscenizacja skończy się sukcesem, czy też klapą, teraz zgodnie oddawali się rozrząsaniu tego smutnego faktu: że oto Robert Stirling zmarł na scenie, w trakcie próby. Historia była aż nazbyt teatralna — ale niestety prawdziwa. Gdy krytycy wystukiwali nekrologi zmarłego, szeregowi pisownicy najechali na teatr, węsząc krew — a przynajmniej licząc na komentarz kogoś z zespołu. Na chodniku przy wejściu na scenę fani Donalda Hartfortha zgromadzili się, pragnąc ujrzeć go na własne oczy. Tymczasem spoglądali na plakat przedstawiający Roberta Stirlinga z jego najbardziej zręczliwym i bardzo w typie Scrooge'a wyrazem twarzy.

Scena w Theatre Royale była świadkiem niejednego historycznego wydarzenia. To tu sir William Gosforth w roli Leara doprowadzał widzów do szczytów żalu i rozpaczki podczas legendarnej nieprzerwanej serii 297 przedstawień w 1903 roku. Podczas Wielkiej Wojny budynek zajęto na magazyn amunicji — i wierzono, że to z niego pochodziły pociski wystrzelone nad Sommą. Po zwycięstwie na froncie zachodnim występowała tu dość wątpliwa rewia, która jednak łączyła widzów ze wszystkich sfer w podziwie dla długonogich tancerek.

Przeglądając się zbiegowisku, Daphne dostrzegła Jamiego Jenkinsa, swojego podstępного wroga, jak otulony płaszczem węszył za jakimś skandalem, który mógłby sprzedać do „Chronicle”. Była ciekawa, czy wiedział, że ona, Droga Susan, traktowana w tej samej gazecie jak „ciotka-kłotka”, prowadziła w istocie własne śledztwo w sprawie wypadków, do jakich doszło w teatrze. I że właśnie ona, Daphne King, miała zamiar dotrzeć do samych ich korzeni.

15

Wewnątrz Regency Hotel Theodora spoglądała znad szklanki grzanego wina, którą hołubiła w dłoniach już od pewnego czasu, składając w ciup usta, noszące wciąż głęboko szkarłatny kolor, nałożony wcześniej tego dnia. Jakiś pianista, wyglądający na znudzonego, grał bez większego zapału *God Rest Ye Merry Gentlemen*² na instrumencie stojącym w kącie baru. Miejsce to wkroczyło w smutną fazę upadku w porównaniu z czasami, gdy Theodora bywała tu poprzednio. Ten stan rzeczy wprawiał ją w przygnębienie. Goście, kiedyś szykowni i pełni blasku, teraz wyglądali na poszarzałych i zużytych — podobnie jak umeblowanie hotelu. Będąc w Londynie, Theodora i Chester zawsze zatrzymywali się w Regency z uwagi na jego lokalizację w niezwykle spokojnym zakątku West Endu, rejonie, gdzie kiedyś nie dokuczały tłumy na ulicach, a lubiła go londyńska inteligencja. Theodora mogła tu niegdyś spotkać się z jakimś dramaturgiem przy koktajlu w hotelowym barze albo porozmawiać z producentem przy popołudniowej herbacie. Teraz jednak salę tę wypełniały dźwięki mocno ograniczonego repertuaru kolęd i paplanina par w średnim wieku, które w istocie bardzo niewiele miały sobie do powiedzenia.

Chester podzwaniał sygnetem o brzeg szklanki. Wokół Theodory siedzieli apatycznie aktorzy. Chester wydał jakiś dziwny dźwięk, coś pomiędzy chrząknięciem i chrumknięciem.

— Dopij już to swoje wino, Chesterze. Gdyby Robert widział, jak się cackasz z tą szklanką od trzydziestu pięciu minut, nabijałby się przez resztę twoich dni — rzuciła żartobliwie Theodora.

Chester uśmiechnął się do Theodory, gdy ta uspokoiła jego dłoń, oswobadzając szklankę spod ciągłych ataków mężowskiego sygnetu. Rozświetlona jak zawsze i kojąca jak zawsze. Wpatrywała się w niego przenikliwym spojrzeniem, którym podbiła go, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na scenie jako żarliwą Joannę D'Arc. Dwie prawdy uderzyły go w tamtym momencie, jakieś dwadzieścia lat wcześniej: że ta kobieta zostanie gwiazdą, ale i jego żoną. Chester sięgnął po aktualny numer „Standardu”, leżący na stoliku obok. W jakimś przypiływie masochizmu pstryknął palcami w stronę z tekstem Tyrone'a Bridge'a.

— Jest dla mnie zagadką, dlaczego „Standard” wciąż drukuje bzdury tej starej ropuchy — ciągnęła Theodora. — Towarzyskie ploteczki i teatralne anegdoty to jedno, a sianie wrednych pomówień to coś zupełnie innego. Ignoruj to, Chesterze. Ignorowaliśmy go przedtem i zignorujemy teraz. Chociaż przyznam, że nic nie sprawiłoby mi większej radości od powiedzenia mu, co o nim myślę, gdybyśmy mieli to nieszczęście spotkać się z nim osobiście.

Wzwała kelnera i podnosząc gazetę w koniuszkach dwóch palców, powiedziała przeciągle:

— Niech pan będzie tak dobry i usunie to gdzieś — najlepiej do rynsztoka. To będzie odpowiednie miejsce.

Kelner, którego obwisła czapka Świętego Mikołaja jeszcze podkreślała zdecydowanie niewesołą atmosferę panującą w barze, zabrał gazetę i się oddalił.

— Oczywiście będziemy musieli urządzić Robertowi piękne pożegnanie. — Głos Chestera odzyskał nieco ze swej siły; myśl o uczczeniu kariery przyjaciela ożywiła go. — Zbierzemy całą naszą starą bandę, to, co z nas zostało.

Daphne wmieszała się w tę grupę, obserwując przygnębienie, jakie ogarnęło zespół. Alfred i Cecil zatonili się w rozmowie, Veronica straciła humor, Irene zaś i Donald jak zwykle szepotali coś konspiracyjnie między sobą.

— Dobry wieczór wszystkim — przywitała się Daphne z obecnymi w barze, wywołując chór machinalnych odpowiedzi.

— Niech pani przysunie sobie krzesło, panno King — powiedział Chester. — Właśnie... właśnie mówiłem Dorze, że powinienem wyprawić Robertowi godne pożegnanie. Przynajmniej to mogę zrobić po tym...

— Stop, kochanie!

Czy w głosie Theodory był niepokój? A może sugestia zniecierpliwienia?

Daphne zmrużyła oczy, jakby mogło to jej pomóc w odczytaniu niuansów tonu Theodory.

— Nie mogłeś nic zrobić. Obwiniasz się... nie zdając sobie sprawy, że Robert sam się mógł wpakować w jakieś problemy. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Robert lubił... zadzierać z ludźmi. — Theodora, wyjaśniając to Daphne, pochyliła lekko głowę w jej stronę.

Twarz Daphne musiała zdradzać przelotne zaskoczenie tym oskarżeniem, tą aluzją do jakichś przewinień zmarłego, bo Theodora dodała pośpiesznie:

— Ale oczywiście o umarłych nie należy mówić źle.

Jakiś dziwny trąbiący dźwięk rozniósł się po barze. Wydała go Irene Juniper, która się... śmiała. Tak, śmiała. Zadziwiający obrót sprawy. Mówiąc, Irene wypływała słowa z nieskrywaną arogancją:

— Mówić źle o umarłym? — zaczęła, świadoma wrażenia, jakie wywołuje. — O Boże, lepiej tego nie robić, tak uważasz, Theodoro? Najlepiej nie kopać gniazda os, nie podcinać lawiny. Nie! Najlepiej cicho szal!

Theodora siedziała bez ruchu. Na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień; swe przenikliwe oczy utkwiła w Irene. Gdyby Daphne była bardziej skora do efektownych porównań, mogłaby nazwać to spojrzenie bazyliżkowym, ale w odniesieniu do swojej, bądź co bądź, gospodyni i rozmówczyni takie określenie zabrzmiałoby, jak sobie zdała sprawę, nie w porządku. Więc pozostało tylko puste spojrzenie. Irene ze swej strony wykrzywiła twarz w jakiejś okropnej parodii uśmiechu.

— Kochanie — odezwała się Theodora perfekcyjnie opanowanym głosem, choć nie mogła ukryć do końca tego lodowatego tonu, który groził wybić się na plan pierwszy. — Gdybyś pokonała tyle przeszkód, płaszcząc się przed tak wieloma nadętymi pijakami — albo i gorzej — mającymi wpływ w tej branży i gryząc się wciąż w język w obliczu głupoty i wariactwa, to zrozumiałabyś, kochana, że można puszczać mimo uszu jakieś uwagi, a czasem nawet przyznawać *trochę racji* różnym wyskokom najstarszych przyjaciół.

Theodora najwidoczniej uznała, że ta rozmowa jest skończona, i wróciła do mrużenia mężowi jakichś kojących słów. Przewrócenie oczami przez Irene świadczyło, że była mniej zadowolona z wyniku tej wymiany zdań. Wyszepiała coś do Donalda, a potem wyszła z baru.

„To do widzenia” — pomyślała Daphne, zanim zerwała się na nogi i ruszyła za Juniper.

Wychodząc na zewnątrz, zdała sobie sprawę, jak klaustrofobiczny był ten hotelowy bar. Z nieba sphywało księżycowe światło, a chociaż śnieg przestał padać, zrobiło się wyraźnie chłodniej.

Daphne owinęła się mocniej płaszczem i pobiegła tak szybko, jak tylko mogła, by złapać Irene.

— Poczekaj, Irene! — zawołała. Daphne zawsze uważała się za piechurkę o imponującej prędkości i wytrzymałości. Nie była jednak członkinią Ligi Pań na rzecz Zdrowia i Piękna, więc złapała zadyszkę, podczas gdy Irene nie wykazywała żadnych dostrzegalnych oznak zmęczenia.

— Panno King, chciałabym zostać sama — rzuciła Irene stanowczo, nie zwalniając kroku.

— Irene, proszę — zaczęła Daphne. — Myślę, że może mi pani pomóc. Sądzę, że dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego.

Irene się zatrzymała.

Ulga spłynęła na Daphne, która obawiała się już, że nie zdoła dotrzeć do Irene. Po prawej był skwer.

— Czy możemy usiąść? Porozmawiać? — zaproponowała.

Irene westchnęła, nim pozwoliła się zaprowadzić na skwer. Latem była to oaza zieleni pomiędzy Shaftesbury Avenue i Soho, a teraz rozpościwał się na niej zachęcający kobierzec świeżego puchu.

Oczyściwszy najbliższą ławkę ze śniegu, usiadły. Daphne skurczona z zimna, Irene zaś wyprostowana dzięki treningowi w Lidze.

— To jest banda kłamców, oni wszyscy — powiedziała Irene pogardliwym głosem. — Kłamcy i jeszcze raz kłamcy. Robert, Theodora, Chester — oni wszyscy.

Daphne słuchała uważnie. Irene mówiła teraz spokojnie, bez tej hysterii, jaka napędzała ją wcześniej.

— Ludzie ukrywają różne rzeczy. Myślą, że jestem głupia, że jestem jakąś pustą lalunią. A to nieprawda, Daphne. Widzę, co się dzieje. Słyszę. — W jej głosie wyczuwało się gniew.

— Mów dalej. Co się właściwie działo? Jeśli tylko coś widziałaś albo słyszałaś, może to nas zaprowadzić do zabójcy Roberta.

Irene parsknęła śmiechem.

— A co mnie to obchodzi. Zasłużył na to, co go spotkało. Zanosilo się na to. To był lubieżny staruch. Zawsze szukał okazji, żeby się dobierać. Nie tylko do mnie. Obrzydliwy staruch.

Daphne kiwnęła głową.

— Jeśli nie interesuje cię znalezienie mordercy Roberta, to czego *właściwie* chcesz?

— Chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, jacy oni są naprawdę. Nigdy nie ufałam Chesterowi ani Theodorze. To znaczy, owszem, z początku im wierzyłam. Wierzyłam Lilian, mojej agentce, a ona powiedziała mi, że jest robota, którą warto wziąć, że praca z dwójgim weteranów będzie cennym doświadczeniem. No i się zaczęło. — Irene się skrzywiła. — Chester wściekał się albo wpadał w depresję. Wiem, wiem, on jest reżyserem, a nie nazwałabym reżyserów najbardziej zrównoważonymi istotami na tej ziemi. Ale to, co robił, było... jakieś inne. Zawsze pierwszego dnia po przyjeździe na nowe miejsce znikał nam z oczu na długie godziny.

Daphne szybko sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej notes.

— Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli... — Gestem wskazała na pióro. — Powiedz mi, jakie to było tournée. Ja tu jestem od paru chwil, ledwie kogoś poznałam. Przyznam, że czuję się jak na wzburzonym morzu. Ale ty... jesteś w tym objeździe już od trzech miesięcy, prawda?

Irene kiwnęła głową, nim zaczęła mówić dalej. Siedziała z dłońmi na kolanach, bez ruchu.

— Donald i ja trzymamy się razem; znamy się od lat, przez Lilian. Atmosfera była... okropna. Cecil zdawał się tego nie zauważać, ale on w ogóle niewiele zauważa, żyje swoimi fantazjami. No a Robert, Chester i Theodora trzymali się ze sobą. Nie rozmawiali z nami wiele. Veronica i Alfred są w porządku; jej trochę odbija, ale ogólnie są w porządku.

Daphne poczuła, że jej własna ocena Veroniki doczekała się potwierdzenia przez Irene.

— To mocno frustrujące, szczerze mówiąc — ciągnęła Irene. — Tak, Donald i ja mamy siebie, a Lilian odwiedza nas w każdym nowym mieście i zabiera na uroczystą kolację. W każdym razie na taką, na jaką stać niektóre z tych dziur. Ale ja mam dwadzieścia pięć lat, jestem w najlepszym okresie życia. I co: czy mam za dziesięć lat, gdy będę stara i siwa, wspominać te lata jako zmarnowane na granie jakiegoś wiktoriańskiego urwisu w trzeciorzędnej produkcji?

Daphne powstrzymała się od uwagi, że w wieku trzydziestu pięciu lat nie musi być wcale siwa i stara (ona sama nie miała jeszcze żadnych siwych włosów), i od sprostowania, że Maleńki Tim nie był wcale urwisem. Poczucie taktu dyktowało jej, by nie sprzeciwiać się Irene i zachować życzliwy spokój. Powinna raczej grać rolę księdza, kiwającego ze zrozumieniem głową, gdy jakaś zagubiona dusza wylewa przed nim swoje skargi.

— Hmm, tak, mogę to sobie wyobrazić. — Chciała, by jej słowa zabrzmiały odpowiednio kojąco i dodawały odwagi. — Czy był może jakiś szczególnie incydent podczas tego tournée, coś, co specjalnie zapadło ci w pamięć?

— Nic takiego, czego bym nie widziała wcześniej. Jakieś sprzeczki tu i tam, no ale to do przewidzenia. Oczywiście frustracje. Wszyscy byliśmy sfrustrowani. Chester chciał być tak wielki, za jakiego się uważał, ale powiedzmy szczerze: on nie jest tym, za kogo się uważa. No, w każdym razie nie tym, za kogo uważa się zdaniem innych. Po prostu nie jest... tak dobry w swoim fachu. A Donald nie mógł znieść, że Robert dostał główną rolę. Theodora zaś... no cóż, ona przez większość czasu wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

Ambicja, zawiść, rywalizacja. Niewiele trzeba, by to uruchomić.

— No, a potem przyjechaliśmy do Londynu. Tu sprawy przybrały inny obrót. Wczoraj po południu Chester chciał jeszcze spróbować pewne sceny z naszą czwórką: mną, Donaldem, Cecilem i Robertem — i wszystko poszło gładko. Chester był jakby trochę rozkojarzony, ale ogólnie w lepszym nastroju niż zwykle. Potem mieliśmy przerwę, czas wolny. Mam zwyczaj ucinąć sobie drzemkę po południu. To jedna

z kluczowych zasad Ligi Pań na rzecz Zdrowia i Piękna. Zalecane jest dwadzieścia minut, ale dwadzieścia pięć też można.

Daphne traciła już czucie w palcach, a na nogach miała gęsię skórkę.

— Obudziłam się jednak po jakimś kwadransie, a to przez ten krzyk — powiedziała Irene rzeczowo.

— Krzyk? — spytała Daphne ze słabo maskowanym podnieceniem. Czują, że dokądsz to zmierzało.

— No tak. Garderoba Roberta sąsiaduje z moją. I to on klócił się z George'em. Nie mogłam dosłyszeć wszystkiego, nawet gdy przyłożyłam ucho do ściany. Ale słyszałam, jak Robert powiedział do George'a: „Tylko żeby on się nie dowiedział. Załatwię ci te pieniądze”. Powiedział to parę razy: „Tylko żeby on się nie dowiedział”.

— To znaczy kto? Kto nie mógł się dowiedzieć? I czego? — Daphne z nerwów wbiła stalówkę pióra w papier.

— Niestety, nie mam pojęcia — powiedziała Irene lekko. Wzruszyła ramionami. — Cóż, to wszystko, co usłyszałam. Ale to coś mnie uderzyło.

„To z pewnością było coś” — pomyślała Daphne. Siedziała jeszcze przez chwilę na ławce, rozważając wszystko, co Irene powiedziała. Poczwała, że musi się znów przejść. I to natychmiast.

— Dziękuję, Irene. To wszystko było niezwykle użyteczne — powiedziała, wstając. Odszedłszy pospiesznie, zatopiła się we własnych myślach, klębiących się niezbornie w jej umyśle.

Ta sprzeczka między George'em i Robertem miała jakieś znaczenie. Daphne była tego pewna. „Tylko żeby on się nie dowiedział. Załatwię ci te pieniądze”. Czy George szantażował Roberta? Co Robert ukrywał? Bez wątpienia George odkrył jakiś wybrk Roberta. Ale przed kim Robert chciał to utrzymać w tajemnicy? Czy tym kimś był Chester? A może ktoś inny?

Zatrzymała się. Kręciła się w kółko. Słowa Irene o tym świadczyły. Może i były użyteczne, ale poleganie tylko na tym, czym się podzieliła, było jak budowanie zamków na piasku. Nie, potrzebowała czegoś pewniejszego, bardziej namacalnego. Czego mogłaby się uchwycić. Musiała wrócić do hotelowego baru.

16

Ogarnęło ją przygnębienie, gdy zdała sobie sprawę, że pianista był właśnie pośrodku isticie pogrzebowej interpretacji *Cichej nocy*. Zauważyła jednak, że gdy nie było jej w barze, zjawił się tam ktoś nowy. Veronica rozmawiała z kobietą, której Daphne wcześniej nie poznała. Kobieta ta miała czarne kręcone włosy przyprószone siwizną, w niemal wyzywająco niemodnym stylu, a jej wygląd — sznur pereł na czarnej bluzce, ciemne okulary i czarne koronkowe rękawiczki — sytuował ją gdzieś pomiędzy ekscentryczną wdową milionerką a samotną francuską artystką.

Veronica skinęła głową na Daphne, która podchodząc, poprawiła okulary i zdjęła płaszcz.

— Daphne, niespodzianka! Gdzie masz drinka? — rzuciła Veronica. — Ale poczekaj, musisz poznać Lilian Rogers, zanim zrobisz następny krok. Lilian, przedstawiam ci Daphne King z „Chronicle”.

— No, no, to jedna z tej prasowej bandy, prawda? — usłyszała w odpowiedzi. — Rozmawiamy oficjalnie czy prywatnie, panno King?

— O, Daphne nigdy nie jest po godzinach, Lilian — zażartowała Veronica z mrugnięciem oka. — Daphne, Lilian jest agentką teatralną, która wie wszystko: kto jest kim i co jest czym.

— Musi pani prowadzić barwne życie, Lilian. Wyobrażam sobie te przyjęcia i wystawne lunche dzień po dniu — powiedziała Daphne, upiwszy nieco czerwonego wina z kieliszka, który pojawił się w jej dłoni. Niezawodny Alfred.

— Znasz jakiegoś weterynarza, Daphne? — odezwała się Lilian Rogers po króciutkiej przerwie, podczas której po raz pierwszy tego wieczoru zdjęła rękawiczki z czarnej koronki.

Zaskoczona Daphne pokręciła głową.

— A ja owszem. Otóż weterynarze spędzają cały swój czas, poza snem, zajmując się zwierzętami. Opiekują się słabymi, troszczą o te skomlące, opatrują poranione — powiedziała Lilian z wyrazem twarzy będącym ucieleśnieniem ironii. — Spytaj ich, czemu tak robią, a odpowiedzą ci, że takie mają powołanie. Spytaj ich, czy trzymają w domu jakieś zwierzęta, a dziewięćdziesiąt procent z nich roześmieje ci się w twarz i odpowie, że tylko głupiec będzie inwestował czas, pieniądze i uczucia w utrzymywanie nieprzewidywalnych, obciążających finansowo i emocjonalnie stworzeń.

— Rozumiem — odparła Daphne, zdając sobie powoli sprawę, dokąd prowadzi ten żywy opis zawodu weterynarza.

— Jestem agentką teatralną, Daphne, ale pod wieloma względami sama uważam się za weterynarza: zamiatam pod dywan, co trzeba; mam skłonność do przejmowania się różnymi problemami, które jakże często sama stwarzam; zapewniam moim podopiecznym komfortowe życie, bezpieczeństwo, ale z minimalnym udziałem w decyzjach, które podejmuję w ich imieniu. — Lilian zdawała się czerpać coraz większą przyjemność z tej apologii: — Przyjęcia i premiery są dla mnie tym, czym amputacje kończyn i cewnikowanie dla weterynarzy: nieuchronnymi zabiegami wymagającymi finezji i umiejętności, ale wyczerpującymi mnie i przynoszącymi bardzo mało przyjemności.

Powiedziawszy to, kiwnęła pustym kieliszkiem w stronę Donalda, zachęcając, by znów go napełnić.

— Lilian jest twarda. — Veronica podniosła się ze swojego krzesła i przycupnęła obok Daphne i Lilian. — Działa w tym biznesie od czasów, gdy ja jeszcze biegałam w krótkich majtkach. Nikt nie utrzymuje się tak długo, jeśli tego naprawdę nie kocha. Jak Lilian. Spytaj, kogo chcesz.

Lilian Rogers była słynna — czy może osławiona — w całym światku teatralnym. Na scenie zdominowanej przez mężczyzn, którzy przybijali piątki w prywatnych szkołach, nim zabrali się do recytowania jambicznych pentametrów w Royal Academy of Dramatic Art, była jak wyzywająco samotny kciuk. Jej życie to historia typu od pucybuta do milionera, tyle że prawdziwa. Opowiadano, że jej matka służyła w jakiejś wiejskiej posiadłości w Buckinghamshire, a ojcem był tamtejszy ogrodnik. Młodzi kochankowie, wiedzeni ambicją, przenieśli się do Londynu, gdzie ojciec Lilian zmarł tragicznie i przedwcześnie, zostawiając jej matkę samotną i ze złamanym sercem. Musiała harować dzień i noc w pralni. Później — co jest niemal nieuniknionym elementem takich historii — matka też umarła. Lilian miała wtedy jakieś piętnaście lat i musiała się zaopiekować młodszym bratem. Jako praktykantka krawiecka pracowała przy kostiumach teatralnych i stąd wzięła się jej miłość do teatru. Dzięki wytrwałości i charyzmie, a także protekcji starych wyjadaczy z West Endu, założyła w wieku dwudziestu trzech lat własną agencję talentów i stała się liczącą się firmą w tym biznesie.

Lilian wysłuchiwała tej nieomal hagiograficznej wersji własnej biografii, zaprezentowanej przez Veronicę, a potem wyjaśniła:

— Jestem kobietą interesu i znam swój biznes od podszewki. Wiem też, że mam reputację kobiety bezwzględnej. Szczerze mówiąc, sama taką reputację podtrzymuję. Widzę swoich aktorów takimi, jakimi są, i zapewniam im najlepsze angaże, na jakie ich stać. Nie ma w tym żadnego mistycyzmu ani sentymentalizmu. Po prostu wykonuję swoją pracę i robię to dobrze.

Daphne była zachwycona, Veronica zaś się roześmiała:

— Lilian, popatrz, aż ją zatkalo. Potrzebuje soli trzeźwiałych!

Daphne oblała się rumieńcem i zerknęła na Donalda, Irene i Cecila, zatopionych w żywej konwersacji.

— Więc reprezentujesz całą tę trójkę? — zapytała.

Co do Donalda i Irene sprawa była jasna.

— Cecilia ściągnięto tu z jakiejś marnej trupy grającej gdzieś na prowincji, bo Robert się uparł. Widział go w jakimś nudnym sztuczylde. Co to było, Veronico? Już nie pamiętam. Całkiem przyzwoity aktor, gwarantuję, ale nie ma siły przebicia.

Veronica przytaknęła:

— On jest za miły, żeby trawować konkurentów, i nie dość cwany, żeby się odkuć. Wszystkie pieniądze wysyła matce gdzieś tam; Alfred mi mówił.

— Uczciwy aktor to taka sama rzadkość jak rzetelny dziennikarz. Zgodzi się pani ze mną, panno King?

— Lilian powiedziała to z wieloznaczną miną, jakąś mieszkanką figlarności i szyderstwa.

— Skoro mówimy o ludzkich osobliwościach, to ktoś taki właśnie się tu pojawił, choć módlmy się, by jak najszybciej zniknął. — Veronica wstała, a całe towarzystwo zwróciło się w stronę postaci, która wemknęła się do baru.

Był to niski i przysadzisty mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Miał szkliste, trochę wylupiaste oczy, na czoło opadały mu kosmyki rzadkich włosów. Wyglądał dziwnie. Przylepiony do twarzy uśmiech odsłaniał wyszczerbione, pożółkłe zęby. Gdyby poprosić jakieś dziecko, by narysowało złoczyńcę z bajki w formie paskudnej ropuchy zamienionej w człowieka, to rysunek mógłby przypominać tego osobnika. Daphne nie widziała jednak do tej pory nikogo, kto by wyglądał na aż tak zadowolonego z siebie. Zapatrzenie w siebie Donalda Hartfortha to jedno, ale ten człowiek wprost promieniował samozadowoleniem, niewzruszonym przekonaniem, że właśnie on posiadał najwięcej inteligencji i polotu ze wszystkich obecnych w barze.

— Słyszałem, że jest tu mała impreza — odezwał się, a jego głos był równie obleśny jak fizjonomia. — To dopiero skandal!

Tyrone Bridge, filar londyńskiej krytyki teatralnej, ruszył slalomem przez gęstwinę stolików i krzesel.

— Chyba nie macie mi za złe, że tu wpadłem; jest dla mnie wiecznym źródłem rozczarowania to, że nie mogę być na *każdym* przyjęciu, ale poczytuję sobie za chlubę, że potrafię wywęszyć najlepsze. A temu nie mogłem się przecież oprzeć: oto zespół zebrał się, by oplakiwać śmierć swojego drogiego kolegi!

Zdjął czarny płaszcz, przewieszając go ostrożnie przez oparcie krzesła. Miał żółtą muszkę, nad którą piętrzyły się liczne podbródki, a zdobywszy kieliszek wina, rozpiął kamizelkę.

— Ty świnię, ty gnojku! — rzucił do niego Donald Hartforth, zerwawszy się na równe nogi. Potem przez zaciśnięte zęby wycedził: — Ja ci pokażę, ty pismaku-ścierwojadzie.

Lilian scenicznym szeptem wyjaśniła Daphne:

— Nasz drogi Donald nie ceni pracy Tyrone'a. Nie jest w stanie przelknąć nawet najdelikatniejszej krytyki. Nie a Tyrone nie uprawia delikatnej krytyki. I nie napisał ani jednego dobrego słowa o Donaldzie, odkąd ten rozpoczął karierę.

— Kochany, kochany Donnie — zaczął Bridge słodko jak ptaszek. — Wciąż się gniewamy! Nie przejmuj się, będziesz zachwycony moimi refleksjami o klęskach spadających na tę produkcję. Spiszę je w rekordowym tempie. Bądź pewny, że znajdziesz je w porannym wydaniu gazety.

— Nie. Mów. Do. Mnie. Donnie! — Donald walił pięścią w stół z siłą, która nawet jego zdumiała. Poprawiwszy się na krześle, wymamrotał: — Jesteś żalonym gnojkiem bez krzty talentu. Idź już sobie!

— Donaldzie, daj spokój! — wtrąciła się Lilian. — Przecież nie wyzwiesz go na pojedynek ani nie wywalisz na zbity pysk; to nie jest saloon z Dzikiego Zachodu. Daj mu się napić, a sam się uspokój.

Daphne dokonała szybkiego przeglądu sytuacji. Zastarzałe niesnaski, zjadliwe riposty, insynuacje. Wszystko to było dramatycznym, ale trywialnym mydleniem oczu. Nie mogła sobie pozwolić, by odwróciło to jej uwagę od meritum sprawy. Nie była tu przecież dla rozrywki, ale by obserwować, dowiadywać się, odcyfrowywać i wyciągać wnioski.

— No więc ogólna hipoteza jest taka: myślimy, że ktoś go sprzątnął, co? — Tyrone nie skierował tego pytania do nikogo konkretnego.

Alfred, kręcąc się na krześle, pokiwał głową.

— Na to wygląda.

— To bardzo wygodne dla Donniego. Wejść w buty głównego aktora, prawda? — stwierdził szyderczo Tyrone.

— Tylko że te buty powinny być właśnie jego — pisnęła Irene i czknęła, wylewając nieco marnego wina z kieliszka. — Niech wszystko znajdzie się na swoim miejscu. Czy nie mam racji, Donaldzie?

— Co takiego? — zdziwił się Alfred. Jego dyskomfort przemieniał się w niesmak.

— Nie, nic. Ona jest trochę wstawiona, nie słuchajcie jej — rzucił pospiesznie Donald. — Zaprowadzę cię do pokoju, Irene.

— Ale to oczywiście strasznie niewygodne dla Chestera — ciągnął Tyrone, jakby wybuch Irene przeleciał mu całkiem mimo uszu. — Kto będzie teraz strzegł wszystkich sekretów Chestera, gdy jego prawa ręka i totumfacki wykitował? Kiedy wyleżą dalsze jego... hmmm... wybryki, kto zamiecie je pod dywan? A z drugiej strony — można taki obrót spraw uznać za dość wygodny: Robert Stirling, strażnik Bóg wie jakich sekretów Chestera, zabierze je przecież do grobu.

Teraz pojawiły się poszlaki, na które Daphne liczyła, decydując się kontynuować ten wieczór, zamiast wrócić do domu.

— Wybryki, powiada pan? — spytała Daphne, zachęcając do kontynuowania tego wątku. Wiedziała z doświadczenia, że podobnym ludziom wystarczy nawet najslabsza zachęta, by wylali z siebie cały potok słów.

— O tak, to było dwóch dandysów. Można by bez końca opowiadać o sercach, które złamali — tokował dalej Tyrone. — Oczywiście mam w pamięci co smakowitsze epizody. Z tych pięknych czasów, gdy Chester i Robert byli jednymi z wielu łobuziaków węszących za niepochwytym aromatem sukcesu i perspektywą zdobycia jakiejś ładnej dziewczyny. Albo kilku.

— Czekaj, czekaj, Tyronie — wtrąciła się Lilian. — Opanuj swój sprośny jęzor; jesteś w towarzystwie pań!

— Oczywiście, madame Rogers. Pani życzenie jest dla mnie rozkazem — powiedział Tyrone z uśmiechem, skłaniając głowę w kierunku Lilian. Wykonał taki gest, jakby zamykał sobie usta na zamek błyskawiczny. — Wedle rozkazu kładę pieczęć na swoje usta.

— O, bez przesady, Tyronie — odparła Lilian. — Po prostu ogranicz się do plotek z obecnej dekady. Jestem przekonana, że nasz gość nie jest ani trochę zainteresowany twoimi rewelacjami na przykład na temat, kto rozlał czyje drinki w pubie Phoenix około 1910 roku.

— Ach, ten Phoenix... To tam Chester napisał wszystkie swoje wczesne utwory — bo zawsze gryzmołił poza domem. No i oczywiście nie tylko pisał. Gdyby te obskurne stare mury umiały mówić... Opowiedziałyby historie, od których splotłyby ci się włosy na głowie. Choć z twojego obecnego... stylu wnoszę, że sama orientujesz się w niemałej liczbie takich brzydkich historii. — Tyrone poruszył brwiami.

— Krytyk teatralny, handlarz plotkami, Svengali dla pań... czy lista twoich talentów nie ma końca, Tyrone? — rzuciła Lilian. — Niestety dla ciebie już w tamtych latach usunęły cię z tego ciasnego kółeczka. A ty wciąż nie możesz się pozbyć po tym, jak Chester i Robert stwierdzili, że nie chcą już się bawić z tym biednym małym Tyrone'em.

— Plotkarz! — wybuchnął Alfred, który ewidentnie podnosił sobie nastrój nadmiernymi dawkami czerwonego wina. — Czy to znaczy, że to ty wysyłałeś te paskudne prezenciki Chesterowi, panie Bridge?

— Co takiego?! — zainteresował się żywo Tyrone.

Nim Daphne zdołała go powstrzymać, Alfred wypalił:

— No tak! Jakiś maniak przesyłał Chesterowi dość dziwne prezenty. Cygara, wino, wspaniałe pióro...

Daphne, świadoma, że Alfred może wyśpiewać cenne informacje w obecności człowieka, który nie był specjalnie godny zaufania, odwróciła jego uwagę od Tyrone'a z powrotem na Cecila.

Rozmowa skręciła wkrótce na mniej kontrowersyjne tory. Daphne słyszała, jak Alfred opowiadał Cecilowi o objawieniu, jakiego doznał w obliczu obrazu Velázqueza w Prado, gdy odbywał minionego lata swój *grand tour* po Europie. Lilian wyjaśniała Veronice, że owszem, dziewięciogodzinne przedstawienie jest trudnym przedsięwzięciem scenicznym, ale bynajmniej nie niemożliwym. Donald cucił Irene wodą z kranu, a gdy spoglądał na Tyrone'a Bridge'a, jego twarz przybierała skrajnie kwaśny wyraz.

Daphne rozważała to wszystko. Zastanawiała się nad śmiercią Roberta, nad tym osobliwym piórem, nad tym, jak się tu właściwie znalazła — ona, Daphne King, w hotelowym barze, popijająca wino o wpół do jedenastej wieczorem, w środę, trzy dni przed Bożym Narodzeniem.

17

Ten promień światła był bezlitosny. Klął ją w czoło równie nieubłagany, jak niechciany. Daphne zaciągnęła wieczorem zasłony niezbyt starannie, a teraz musiała się obudzić, choć podciągała pierzynę i narzutę jak najwyżej. Światło słoneczne uparło się, by przebić jej kokon. Otworzywszy jedno oko, zobaczyła ów promień nie tyle tańczący, ile przebijający się śmiało przez wiszące w powietrzu drobiny kurzu.

Wydała z siebie głębokie jęknięcie, próbując obrócić się na bok i przyrzeć lepiej budzikowi, który zwykle budził ją o siódmej zero zero. Za pięć szósta? Co, u diabła, sprawiło, że obudziła się za pięć szósta?

Rozeźlona i zdziwiona, wybudzona bólem głowy jęknęła ponownie. Zepchnęła z siebie pierzynę i usiadła na łóżku. Czerwone wino nigdy jej nie służyło. Wręcz przeciwnie — a teraz ponosiła tego konsekwencje. Zwlekła się z łóżka i podreptała do okna. Bez przekonania spojrzała przez firanki, by się przekonać, że biały dywan bynajmniej nie zniknął. *Znakomicie!* Będzie musiała zmagać się nie tylko z dręczącym bólem głowy, ale też taplać w głębokim śniegu. Obróciła się w stronę bożonarodzeniowych kartek stojących na jej biurku i — jakby mszcząc się na tej świątecznej porze roku — przewróciła je wszystkie szybkim ruchem dłoni.

— Daphne, jaką idiotkę z siebie zrobiłaś — wymruczała, gdy odwróciła się do lustra wiszącego na ścianie.

Ciemne podkówki pod oczami świadczyły dobitnie, że w tę środową noc wypijała za dużo wina. Choć przynajmniej nie powiedziała czegoś skandalicznie niewłaściwego ani nie zachowała się rażąco nieprofesjonalnie... Tak jej się przynajmniej zdawało. Poprawiła sobie nastrój, stwierdzając, że był to w sumie owocny rekonesans w światku teatralnym. Być może mogła teraz uznać rozmowę z Martinem Hallidayem za swego rodzaju wciągające wejście do świata wieczornych eskapad do Soho, podlewanych winem. Pokręciła jednak głową. Jeśli miała sobie wyrobić markę poważnej dziennikarki, nie mogła zaczynać od opowieści o własnym braku ograniczeń i skłonności do taniego czerwonego wina.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Moment, pani Booth — odpowiedziała głosem, któremu próbowała nadać nieco dziarskości.

— Telefon do pani, panno King — usłyszała zza drzwi.

„Telefon?” Najpewniej to matka; chce się dowiedzieć, którym pociągiem dzisiaj przyjedzie. Daphne jęknęła raz jeszcze. Nie mogła przecież pojechać dzisiaj do Slough, kiedy ta sprawa dopiero się rozkręcała. No i na pewno nie z takim bólem głowy. Włożyła coś na siebie, powstrzymując mdłości, które próbowały ją pokonać. Ostatnie spojrzenie w lustro potwierdziło jej obawy: wyglądała jak nieszczęście. Nawet skorzystanie z kosmetyków nic by nie dało. Przekonując się z niewielkim zapalem, że jest jednak w stanie pokazać się światu, otworzyła drzwi swojej sypialni.

Stała tam pani Booth, w lawendowej bluzce i takiejż plisowanej spódnicy. Była to kobieta konkretna, sądząc po tym, że pod jej dachem próżno było szukać jakichś tandetnych bibelotów (porcelanowych piesków czy szydełkowanych poszewek na poduszki), tak charakterystycznych dla sąsiednich domów. Uczciwa i przyzwoita, żyła zgodnie ze swoją niewzruszoną zasadą: „Nie sprawiaj mi żadnych kłopotów, a ja nie będę ich sprawiać tobie”. Daphne ogólnie udawało się żyć w zgodzie z panią Booth, ale czuła, że było to stąpanie po linie; jeden fałszywy krok — i gorzko tego pożałuje.

— Dziękuję, pani Booth — powiedziała, schodząc szybko po schodach. Wzięła słuchawkę z miejsca, gdzie odłożyła ją pani Booth. — Tak, mówi Daphne King...

— Ach, panna King... — odezwał się w słuchawce ociekający samozadowoleniem pełzający głos. — Mam nadzieję, że pani nie obudziłem?

Tyrone? Pan Bridge? Co za diabeł sprawił, że ta ropucha zadzwoniła do niej tak wcześnie rano? I co dziwniejsze — skąd, do cholery, miał jej adres czy numer telefonu?

— Co... mogłabym dla pana zrobić?

— Sądzę, że to ja mogę więcej zrobić dla pani, panno King. Mam pewne informacje, które chętnie by pani poznała, jak sądzę. Związane z... ostatnimi wypadkami. A szczególnie z tym piórem, o którym wspomniał poprzedniego wieczoru pani podchmielony przyjaciel. Spotkajmy się więc w teatrze dziś po południu, tak o czwartej...

Powiedziawszy to, odłożył słuchawkę, zanim Daphne zdążyła odpowiedzieć.

18

Ta podróż autobusem z Camberwell do centrum Londynu była jak przejażdżka kolejką górską — głównie z powodu wykańczających mdłości — ale Daphne zniosła ją ze stoickim hartem ducha.

Wysiadła jednak nieco wcześniej, na Trafalgar Square, więc miała nieco czasu, by odzyskać równowagę.

Mijając kiosk z gazetami, przypomniała sobie uwagę — czy raczej pogrózkę — Tyrone'a, że napisze artykuł o wydarzeniach minionego dnia. Pomijając nagłówek na stronie tytułowej (*Aktor West Endu umiera na scenie*), przerzuciła pospiesznie szpalty „Standardu”, aż dotarła do strony siedemnastej. Przebiegając wzrokiem po tekście, poczuła, że się krzywi. Tyrone nie wyprowadzał żadnych mocnych ciosów. Była to jedynie niesmaczna i grubiańska refleksja na temat śmierci Roberta i dalszych losów produkcji Chestera teraz, gdy zabrakło głównego aktora. Ze szczególną satysfakcją ośmieszał Donalda Hartfortha. Jego żarty w rodzaju „Jeśli to przedstawienie ma iść dalej, to oczywiście ze sztywnym ciałem na scenie, które Donald Hartforth postara się zagrać” oraz „Kariera Donalda Hartfortha ma w sobie tyle życia, ile Robert Stirling teraz” były prostackie i niesprawiedliwe, ale dla Daphne największą ich słabość stanowiło to, że po prostu nie były zabawne. Gra słów i lekkość wypowiedzi to jej znaki firmowe jako Drogiej Susan, a takie docinki bez polotu nie nadawałyby się nawet na pieprzną przyprawę do jej kolumny.

Daphne przyspieszyła w drodze do teatru. Światło słoneczne, które rano tak brutalnie ją zaatakowało, było teraz miłym towarzyszem jej marszu przez Trafalgar Square, kładąc się miękko pod stopami. Umysł Daphne pracował, zajęty porządkowaniem myśli i zadań na dzień dzisiejszy.

Maszerując tak w zdwojonym tempie po Shaftesbury Avenue, miała przed oczami zbiegowisko przed teatrem i ziemistą twarz Roberta zapadającego się w oszukańczą sławę. Ale nie było czasu się roztkliwiać; czekało ją zadanie do wykonania.

Wzięła haust zimnego powietrza. Weź się w garść, Daphne. Jest 23 grudnia 1935 roku i masz dzisiaj dotrzeć do samych korzeni całego tego brudnego biznesu. Przywitała się kordialnie z Nigelem, ale drogę do wejścia zastąpił jej jakiś młody policjant.

— Przykro mi, ale nie może pani wejść, madame. Nadal trwa postępowanie policyjne — powiedział konstabl ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad głową Daphne.

— Myślę, że uzna mnie pan za upoważnioną do wejścia; znam inspektora Marklowa... — rzuciła Daphne. Obawiała się jednak, że to na nic. Policjant strzegący drzwi na scenę był znacznie mniej otwarty niż stary Nigel. Z kamienną twarzą, bez zmruczenia oka, odmówił życzeniu Daphne.

— Niech pan pomyśli; jeżeli nie pozwoli mi pan wejść, będzie pan miał... nieprzyjemności. — Próbowała chłodnego przekonywania i desperackich próśb, aż w końcu uciekła się do głośnych pogrózek: — Myślę, że chce pan pozostać na służbie jeszcze przez jakiś czas, prawda? Więc zastanów się, chłopie, kogo możesz mieć za przyjaciela. Inspektor Marklow dużo może, pozwól sobie powiedzieć. Nie chciałabym przecieżyć...

— Daphne, nie rób scen! — westchnął Marklow, podchodząc do niej.

— No i zobacz! — Daphne skierowała triumfalnie palec w stronę konstabla o kamiennym obliczu. — Inspektorze Marklow! Jak miło pana widzieć. Niech pan będzie tak uprzejmy i powie temu młodemu człowiekowi, żeby mnie przepuścił...

Marklow przewrócił oczami w stronę konstabla, wywołując na jego nieustępliwym obliczu leciutki uśmiech.

Gdy odsunął się na bok, otwierając im przejście, Daphne wymamrotała jakieś podziękowanie dla inspektora. Zdecydowała już, jakie sprawy będzie musiała dziś załatwić, więc zaczęła bez zwłoki:

— Jestem tu, żeby zajrzeć do garderób. Moja nowa przyjaciółka Veronica zostawiła tam... coś. Powiedziała, żebym to jej przyniosła.

— Bardzo dobrze, Daphne, nie będę stał na drodze pannie Daphne King w misji odzyskiwania... czegoś.

Kiwając głową w geście wyrażającym — jak miała nadzieję — pewność siebie przed funkcjonariuszami, których mijala, Daphne poszła wprost do swego celu: garderoby Chestera. Drzwi były uchylone, ale domknęła je zaraz, gdy znalazła się wewnątrz.

Bukiety ledwie się już trzymały, a w powietrzu czuć było zapach stojącej wody. Niektóre płatki opadły, zaśmiecając dywan.

W kącie pokoju stał sejf. Wewnątrz leżało może to pióro, które otrzymał Chester. Była pewna, że jeśli dobrze mu się przyjrzy, będzie mogła odkryć jakiś wiele mówiący szczegół, który rozjaśni sprawę.

Przykucnęła przed sejfem i wyciągnęła z torebki spinkę do włosów. Zajęcia ze skautingu, jakie przeszła w dzieciństwie, były wymagające i raczej nudne, z wyjątkiem tego jednego poranka, poświęconego na umiejętności survivalowe. Zajęcia te poprowadziła zaproszona instruktorka i Daphne była mocno rozczarowana, gdy dowiedziała się, że kobieta ta nie odwiedzi ich ponownie. Chociaż nazywali ją Dottie, była prawdziwą łowczynią przygód, która miała na koncie wyprawy na Ben Nevis, w Himalaje i do lasów Bawarii. Tego poranka 1911 roku Dottie podzieliła się z nimi niezliczonymi patentami, dotyczącymi zwłaszcza wykorzystania w trudnych sytuacjach zwykłych sprzętów domowych. Właściwie był to nie tyle instruktaż survivalowy, ile poradnik przestępczości dla nieletnich.

Daphne myślała o Dottie, gdy otwierała zamek sejfu. „Delikatnie, delikatnie... i voilà!” Usłyszała wiele mówiące kliknięcie i drzwiczki się otworzyły.

Zajrzała do środka. Niemożliwe! Nie było tam żadnego pióra. Tylko blaszana puszką na herbatniki, którą widziała poprzedniego dnia koło lustra. Czyżby Chester po tym wszystkim zabrał je ze sobą do hotelu? Rozejrzała się uważniej po sejfie. Ale nie, nie było tam żadnych piór. To przekonało ją jeszcze bardziej, że to pióro coś znaczyło.

Wyciągnęła puszkę herbatników. Dziwne, że Chester cenił swoje ciastka tak bardzo, że trzymał je w sejfie.

Daphne wzięła puszkę i usiadła na szezlongu. Blaszane pudełko było obite, a napis na wieczku porysowany i wyblakły. Otworzyła puszkę, mając nadzieję, że znajdzie tam pióro. A może jeszcze coś? Jakies poufne listy miłosne? Żądania szantażysty? Skandaliczne fotografie?

W środku był mały pakiet pocztówek. Przejrzała je — nadmorskie sceny z Blackpool, Scarborough, Brighton i Margate. Odwróciwszy wszystkie, stwierdziła ze zdumieniem, że zamiast zwyczajowego „Jaka szkoda, że cię tu nie ma” każda kartka zawierała jedno zdanie. Epigramatyczne i zagadkowe. Daphne wzięła notes i zapisała wszystko, by to przeanalizować, gdy nie będzie już ryzyka, że nakryje ją jakiś konstabl.

Schowala kartki z powrotem do puszek, a przy okazji zobaczyła w niej coś jeszcze. Była to fotografia z pozaginanymi brzegami. Wyciągnęła ją i przyjrzała się dokładnie.

W rogu odręcznie wpisano rok 1912, a więc zdjęcie pochodziło sprzed dwudziestu trzech lat. Na fotografii widać było grupkę ludzi w jakimś pubie. Wydawało się, że ich nastrój był bardzo pogodny i towarzyski. Na pierwszym planie widniały cztery osoby, obrócone plecami do baru. Oczy Daphne skupiły się na postaci w centrum. Robert Stirling. W tamtej chwili, zatrzymanej w czasie przez aparat Kodak, musiał mieć około trzydziestu pięciu lat. Z pintą piwa w jednej ręce opierał się o bar, ale wyraz twarzy miał skupiony. Obok niego, w podobnej pozie, stał Chester Harrison. Już wtedy jego broda błyszczała, a figliki w oczach były nawet wyraźniejsze. On również w jednej ręce trzymał szklanicę, ale drugą obejmował w talii uśmiechniętą młodą kobietę. Theodora? Daphne przyjrzała się kobiecie na zdjęciu. Choć niewątpliwie piękna — z włosami upiętymi w koronę, zgodnie z ówczesną modą, i ze srebrnym naszyjnikiem — to nie była Theodora. Zanim Daphne przyjrzała się czwartej postaci, zmarszczyła brwi.

Ten człowiek stał na prawo od Roberta, z szerokim uśmiechem przylepionym do twarzy. Daphne potrzebowała chwili, żeby go zidentyfikować. Nie dlatego, że następne dekady tak bardzo zmieniły jego wygląd; nie, te wylupiaсте oczy i przysadzistą figurę rozpoznała momentalnie. Trudność wynikała z początkowego niedowierzania w to, co widziała. Tyrone Bridge, ramię w ramię z Robertem Stirlingiem. Chester, Robert i Tyrone razem.

Wiedziała, że Chester i Robert przyjaźnili się od lat. Wiedziała też, że kiedyś, w odległej przeszłości, również Tyrone zaliczał się do ich przyjaciół. Jednak ujrzenie ich razem, jako młodych ludzi, było dla niej wstrząsem. Fotografia pochodziła z czasów, zanim Chester został uznanym reżyserem, gdy wciąż pałętał się po jakichś przeciętnych szekspirowskich produkcjach. Z czasów, nim zgryźliwe opinie Tyrone'a zyskały moc niszczenia albo nakręcania aktorskich karier. Zanim Robert... no cóż... umarł.

Daphne znów skupiła swoją uwagę na tej młodej kobiecie. Czy w jej oczach nie było czegoś znajomego? Ten lekko chmurny uśmiech?

Odwrociła fotografię i zaraz się zbesztiała, że nie zrobiła tego wcześniej, bo na odwrocie była notka:

Lipiec 1912 — wieczór premierowy *Snu nocy letniej*

Najdroższemu Robertowi,
na pamiątkę wspólnych chwil.
Całusy i wyrazy miłości od Twojej kochającej dziewczyny

Josie

Schowała zdjęcie do torebki i jeszcze raz przejrzała pocztówki. Żadnej wzmianki o nadawcy, nic, co mogłoby ukierunkować jej domysły. Chociaż... co to takiego? Żadna z pocztówek, z wyjątkiem jednej, z widokiem Brighton, nie miała nalepionego znaczka. Więc ta jedna nie została doręczona osobiście, lecz przesłana pocztą. I tylko na niej był znaczek ze stemplem Little Grinton. Nie miała bladego pojęcia, gdzie leżało Little Grinton. Ale wiedziała, że jeszcze dziś się dowie.

Włożyła kartkę z Little Grinton do torebki, obok fotografii, a w jej umyśle pływały i łapały gorączkowo powietrze, a w końcu tonęły — pytania. Czy kobieta na fotografii była dziewczyną Roberta? Czy pocztówki były jakimś przypomnieniem dla Roberta i Chestera? Czy ta Josie należała do kobiet skrzywdzonych przez Roberta? Nie było wątpliwości, że wszyscy oni ją znali. Daphne próbowała ułożyć z tego jakąś sensowną całość, ale wyglądało to tak, jakby do jednego pudła wrzucono dwa zestawy puzzli. Niektóre fragmenty w żaden sposób do siebie nie pasowały, a wielu nie można było znaleźć.

Usłyszała krzyczącego coś policjanta. Sumienie mówiło jej: „Daj tę puszkę Marklowowi. On jest detektywem, człowiekiem, które ma we krwi rozwiązywanie zagadek kryminalnych i łączenie dowodów. Przekaż mu to, opowiedz o tych kłótniach i docinkach”.

Ale sumienie Daphne było męczącą zrzędą. Na dodatek rozkojarzoną, bo najwidoczniej zapomniał, że istnieje ten padalec Jamie Jenkins, który ma w zwyczaju kraść jej sukcesy i przypisywać sobie całą chwałę. Jemu sumienie nie robiło żadnych wyrzutów, gdy przywłaszczał sobie efekty jej pracy, więc czemu ona miała wsłuchiwać się we własne?

Jej instynkt i ambicja tworzyły znacznie potężniejszy chór: „Weź tę puszkę, zatrzymaj fotografię, idź za swoim nosem”. Ta puszka była kluczem do wszystkiego; dobrze o tym wiedziała. Gdyby tylko miała więcej czasu, rozwiązałyby te wszystkie zagadki — nie miała co do tego wątpliwości. Wszystko odsyłało do Chestera, Roberta, Tyrone'a i tej „starej bandy”.

Podjęła decyzję: blaszane pudełko dołączyło do innych znalezisk w jej torebce. Ta chwila była punktem — z czego zdała sobie sprawę później — z którego nie było już odwrotu. Przestała być potulną Drogą Susan i nie mogła już do niej wrócić. No tak: uczciwość w poglądach i ocenach to jedno, a ukrycie dowodów — po prostu ich *kradzież* — było całkiem czymś innym. Daphne miała jasną świadomość, że jeśli instynkt ją mylił, mogła zmierzać nie do chwały i wymierzenia sprawiedliwości, ale do okrycia się hańbą i wyłudowania na bezrobociu. A jednak była pewna, że instynkt nie zaprowadzi jej daleko od prawdy.

19

Przekroczywszy chwilę potem drzwi do Regency Hotel, Daphne usłyszała znów smętne brzdąkanie na pianinie. Tym razem goście hotelu byli poddawani srogiej procedurze „kto jest kto”, gdy schodzili na śniadanie. Daphne wśliznęła się do jadalni, przeczesując wzrokiem otoczenie. Chciała porozmawiać z Veronicą, podzielić się swoimi odkryciami z kimś, kto miał jasny umysł i wydawał przenikliwe opinie.

— Witaj, Daphne! Obawiam się, że nikt jeszcze nie wstał. Mogę coś dla pani zrobić?

Daphne znalazła się w zasięgu szerokiego, szczerego uśmiechu Cecila Milforda, siedzącego przy stoliku. Jego biała koszula schludnie wpuszczona była w szare flanelowe spodnie. Złote włosy miał rozdzielone nienagannym przedziałkiem, a na nieskazitelnej twarzy nie było żadnych oznak tego, że on również siedział w barze do Bóg wie jakiej pory.

— Cecilu, wyglądasz świeżo jak stokrotka! Ja tymczasem wyglądam raczej tak, jakbym wąchała stokrotki od spodu — zażartowała Daphne, nim zdała sobie sprawę, że ten słowny żart, odnoszący się do śmierci, mógł być odebrany jako co najmniej niesmaczny. Zerknęła na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Dość wcześnie. Ale tyle było do zrobienia... „Poczekam tu na Veronicę”.

Cecil zaproponował, by usiadła przy jego stoliku, i w ten sposób znalazła się, popijając gorzką czarną kawę, obok absurdalnie przystojnego młodego mężczyzny. Piątka na przebudzenie — czy nie o tym mówiła jej Lilian Rogers ostatniego wieczoru? Cecil nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia dwa lata, miał więc nadzwyczajne szczęście, że wyrwał się z jakiejś głębokiej prowincji, by wyłudować na scenie West Endu u boku takich znakomitości, jak Chester Harrison i Theodora D'Arby.

— Rodzina już wstała? — spytała Daphne. Choć miała w głowie znacznie ważniejsze pytania, mała pogawędka nie była niczym złym.

— Tylko ja i moja mama — odparł Cecil, a jego oczy się rozjaśniły. — Ona zawsze była bardzo pomocna, naprawdę dobra dla mnie. Ciężko pracowała, żeby mi pomóc. Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie ona.

— Hmm... bardzo to piękne — stwierdziła Daphne, mieszając apatycznie swoją kawę. — A co teraz porabia twoja matka?

— Marnie jej się powodzi — odparł nieco drżącym głosem. — Ma za sobą raczej ciężki okres, szczerze mówiąc.

Daphne zauważyła jakąś zmianę w tonie głosu Cecila. Nie traktował już tak lekko jej prób nawiązania luźnej pogawędki; wydawało się, że chce się z nią czymś podzielić.

— Ciężki okres... a dokładnie? — spytała zachęcająco.

— No cóż, życiowo, można powiedzieć — odpowiedział Cecil otwarcie.

— Rozumiem — powiedziała Daphne, choć nie bardzo rozumiała, o co chodzi. Pewne sprawy muszą zostać niedopowiedziane.

— Przepraszam, panno King... mogło to panią zirytować. Ledwie mnie pani poznała, a ja opowiadam z samego rana o mojej matce. — Cecil uśmiechnął się melancholijnie. — To dlatego, że... nie mam sposobności, by porozmawiać z wieloma osobami. Alfred to kolega, prawdziwy kolega — niech mnie pani źle nie zrozumie — ale dobrze jest czasem porozmawiać z... kimś innym.

„O Boże” — pomyślała Daphne. Przystojny, samotny, wrażliwy. Jeszcze chwila i powie jej, że swój wolny czas poświęca na ratowanie kociąt niemogących zejść z drzewa.

— Alfred pokazał mi, jak malować, tak się składa — ciągnął Cecil. — To tylko martwa natura, nie zbyt nowoczesnego ani... *risqué*, wie pani. Aktorstwo może być... dość wyczerpujące. Ja zadowolam się, jak to mówią, cichą kontemplacją, którą daje mi malarstwo.

— O rany, cicha kontemplacja przydałaby się nam wszystkim w tych dniach — powiedziała Daphne i zachichotała. — Czy nie byłoby bosko przespacerować się wokół Royal Academy, zamiast tkwić... w takim miejscu. — Wskazała gestem dość już obdrapaną jadalnię hotelową.

Słyszając to, Cecil wypogodził się, strząsając z siebie trochę tej melancholii, w którą wpędziła go rozmowa o matce.

— Nie mogę pani zaproponować wycieczki do Royal Academy, panno King — nie jestem pewien, czy dysponuję dziś jeszcze czasem — ale mam trochę tych obrazów w swoim pokoju. Może zechciałaby pani rzucić na nie okiem? I wypowiedzieć się o nich krytycznie?

Jeśli Daphne się nie myliła, ten młody człowiek z nią flirtował. No i pięknie! Lecz na pewno nie powinna... Powinna się za to spotkać z Veronicą. Ale — cóż złego spojrzeć na te obrazy?

Krzywiąc się przy ostatnim łyku kawy — piekielnie gorzkiej, ale potrzebowała przecież kofeiny tego ranka — odstawiła krzesło i podążyła za panem Milfordem do jego pokoju, którego wystrój był, jak się od razu zorientowała, równie nijaki jak tego baru i jadalni na dole.

Cecil zaczął grzebać w stercie płócien pod oknem, dopytując się grzecznie, czy aby na pewno powinien pokazywać jej te pomarańcze albo jabłka, pomarańcze z wcześniejszych eksperymentów albo jabłka z późniejszych. A może byłoby lepiej podzielić się z nią serią kwiatową?

Kiedy Cecil rozvodził się nad swoimi wyborami, Daphne przebadala wzrokiem to wszechogarniające morze beżu panujące w całym pokoju wraz z umeblowaniem. Łóżko było poslane, pościel bez jednej zmarszczki, a na stoliku obok zauważyła egzemplarz *Wielkich nadziei* w miękkiej oprawie.

Otwarte drzwi do garderoby odsłaniały ubrania Cecila, a każda sztuka była nienagannie odprasowana i starannie powieszona. Małe lustro wisiało w rogu pokoju, nad stolikiem, na którym stały kosmetyki Cecila — brylantyna i jakaś woda kolońska.

Za ramę lustra Cecil zatknął, jak zauważyła, małą fotografię. Podeszła krok bliżej, by się jej przyjrzeć; na zdjęciu była jakaś młoda kobieta z małym chłopcem w ramionach; oboje siedzieli ze skrzyżowanymi nogami pod choinką, a na ich twarzach widniały szerokie, szczere uśmiechy.

— To taka mała pamiątka przesłana przez mamę. Tęskni za mną. — Cecil dostrzegł, że Daphne przygląda się zdjęciu. — Wspomnienie Bożego Narodzenia, gdy byłem jeszcze mały — żebyśmy przyjechali w tym roku do domu!

O ile przy stoliku na dole Daphne potrafiła wykrzesać z siebie zgrabne odpowiedzi na jakieś konwencjonalne zagadywanie Cecila, o tyle teraz nie była w stanie nic odpowiedzieć, a wpatrując się w tę fotografię, uniosła dłoń do ust. Bo na zdjęciu była ta sama promienna kobieta, którą widziała wcześniej — pomiędzy Robertem i Chesterem — na innej fotografii, tej, którą znalazła w sejfie Harrisona.

20

Jakiś facet przebrany za Świętego Mikołaja ustawił się na placyku na zewnątrz i bez przekonania podzwaniał dzwonkiem.

— Poczęstowałabym go kopniakiem za takie coś — wymruczała Daphne do siebie, spacerując w tę i z powrotem po kolejnym beżowym pokoju, tym razem zajęтым przez Veronicę Burford.

— Już, już, Daphne — nakazała Veronica spokojnie. — Nie przejmuj się tym hałasem Świętego Mikołajka. O co chodzi? Coś mi mówi...

— Właśnie... to nie może być jakiś cholerny przypadek! — rzuciła głośno Daphne. — Oczywiście, mogę uwierzyć w jakiś margines przypadkowości we wszechświecie. Coś w tym rodzaju, że spóźniasz się na pociąg, ale on też jest spóźniony i wszystko gra. Albo odkrycie, że zostawiło się portmonetkę w domu, a tu trzeba płacić — i znajdujesz dychę w kieszeni. Takie rzeczy. Ale dotarcie do fotografii sprzed lat, ukazującej Chestera i Roberta w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, która okazuje się matką Cecila Milforda — to, do cholery, nie może być przypadek, tylko jakieś zrzędzenie losu.

— Z pewnością — zgodziła się Veronica. — Ale nie do końca wiem, co mamy zrobić z tymi informacjami.

— Nie rozumiesz? Matka Cecila została sfotografowana w 1912 roku w towarzystwie Roberta Stirlinga i Chestera. Robert miał reputację kobieciarza. Dwadzieścia trzy lata po powstaniu tej fotografii Robert Stirling ściągnął Cecila Milforda na londyńską scenę, i to bez widocznego powodu.

— Dla ścisłości: Cecil jest całkiem dobrym aktorem — wtrąciła Veronica.

— Nie przeczę — przyznała Daphne. — Ale sprawa wygląda tak: jeśli Robert Stirling źle potraktował matkę Cecila... to Cecil miałby dobry powód, by go... skrzywdzić. Nie sądzisz?

Veronica uniosła brwi i przyznała, że owszem, coś w tym jest.

— No mówię ci! — Daphne wciąż przechadzała się po pokoju. — A teraz pytanie, co z tymi pocztówkami?

W całym tym zamieszaniu po opuszczeniu przez Daphne pokoju Cecila i zastukaniu do drzwi Veroniki kwestia pocztówek zesłała jakoś na dalszy plan. Veronica, wciąż w jedwabnej czarno-białej piżamie, posadziła Daphne na krześle, naląła jej szklankę wody i poradziła, by wzięła głęboki oddech, nim podzieli się z nią swoimi odkryciami.

Gdy Daphne to zrobiła, Veronica odpowiedziała jej bardzo spokojnym tonem:

— Hmm...

— „Hmmm” to wszystko, co masz do powiedzenia? — obruszyła się Daphne i znów zaczęła chodzić po pokoju.

— Kochana, musisz nad sobą panować — mruknęła Veronica.

Daphne zachwiała się i znów usiadła.

— Jakie to wszystko zagmatwane, Veronica...

— Wyobraź sobie, że mówisz do kogoś wyjątkowo tępego — wiem, że trudno to sobie wyobrazić, zważywszy na mój intelekt — ale spróbuj sobie wyobrazić, że nie mam błędnego pojęcia, co się tu, u diabła,

dzieje. I to już nie będzie tak dalekie od prawdy — powiedziała Veronica spokojnie. — Powiedz mi, co do tej pory wiemy o tych pocztówkach i co powinniśmy zrobić.

Daphne zamyśliła się na moment, a podszepty i mruknięcia w jej głowie zaczęły się układać w coś przypominającego uporządkowaną listę. Rejestr tego, co już wiedziała, wydłużał się, a szczególne znaczenie miała wiedza o pochodzeniu Cecila Milforda — a raczej o jego domniemanym pochodzeniu.

— Jeśli kartki były doręczane bezpośrednio, to za sprawą kogoś bliskiego temu towarzystwu, kogoś, kto był w każdym teatrze, w którym się zatrzymali. Z wyjątkiem Brighton, bo tam doręczyciel nie mógł najwidoczniej dojechać. Miał pocztówkę z Brighton, owszem, ale z jakiegoś powodu naszego tajemniczego kuriera *nie było akurat* w Brighton, by doręczyć kartkę do teatru.

— A więc coś powstrzymało naszego... doręczyciela przed udaniem się do teatru w Brighton. Choroba? Obawa przed rozpoznaniem? — zastanawiała się Veronica.

— To nieistotne, co powstrzymało go od zjawienia się tam — powiedziała Daphne. — Z jakiegoś powodu pojechał do Little Grinton. Powinniśmy same pojechać do Little Grinton. — Zerknęła na zegarek: było wpół do jedenastej. O czwartej miała się spotkać z Tyrone'em Bridge'em. — A gdzie, do cholery, jest to Little Grinton?

— Jakąś godzinę od Londynu, w stronę Surrey — odpowiedziała Veronica.

— Wszystkie pociągi są jak bierki o tej porze roku: rozkład bożonarodzeniowy to zwykła farsa. Słaba szansa złapania kogoś na czas. — Daphne znów zaczęła maszerować. — No chyba że masz samochód, Veronica?

Na twarzy Veroniki pojawił się uśmiech:

— Ja nie mam, ale znam pewnego uczynnego dżentelmena, który ma.

21

Po tym wszystkim powinna pani napisać coś naprawdę dobrego o mnie, panno King — rzucił rozpromieniony Donald Hartforth, gdy pokonał kolejny zakręt nieco za szybko jak na gust Daphne. Z dużym wysiłkiem odgoniła od siebie wyobrażenie tragicznej śmierci wskutek poślizgu na oblodzonej drodze.

Sklonienie Donalda, by im pomógł, było prawdziwym wyzwaniem, ale Veronica przyjęła wyrafinowaną kombinowaną strategię: odrobina pochlebstwa i flirtu plus parę pustych obietnic — i do przodu!

Te puste obietnice dotyczyły tego, co Daphne miała o nim napisać: cała stronica, ponadto dwie, a może i trzy fotografie Donalda (zaaprobowane, rzecz jasna, przez niego), no i pochlebne oczekiwanie, że już niedługo obejmie główną rolę Scrooge'a.

— To zupełna farsa, że nie umieścili mojego nazwiska na samej górze afisza. Wiem, wiem, Robert nie żyje, ale faktem jest, że był fatalnym aktorem. Bóg wie czemu pozwoliłem się namówić Lilian na zagranie „drugich skrzypiec” w tym nudziarstwie. Chociaż była to raczej niedźwiedzia przysługa, bo Robert Stirling — trzeba to powiedzieć — i tak nigdy nie błyszczał.

— Donaldzie, jeśli masz zamiar tak gadać przez całą drogę, to wywalimy cię na pobocze i zabierzemy samochód. Nie licz na to, że powstrzyma nas brak prawa jazdy i doświadczenia — odezwała się Veronica z tylnego siedzenia.

— A jak cię namówiła? — zainteresowała się Daphne, której zależało na wydobyciu od Donalda jak najwięcej informacji. Nie siedziała w tym aucie dla przyjemności, tylko z zawodowego obowiązku.

— To mam zacząć od nowa? — spytał Donald poirytowany, że Daphne próbowała odwrócić jego uwagę od ulubionych tematów: jego talentu i braku tegoż u innych aktorów.

— Jak się więc stało, że Lilian, twoja agentka, namówiła cię do zagrania w tej sztuce?

— Mówiła takie różne bzdury, że Chester to żywa legenda, a Theodora jest magnesem dla publiczności. Przekonywała mnie, że byłoby to cenne dla mojego „profilu”. No cóż, nie powiem, że się tak bardzo myliła, jeśli patrzy się z dystansu — przyznał Donald. — Irene, jak się pewno domyślacie, była mniej zadowolona ze swego udziału. Kuśtykanie w kółko jako Maleńki Tim nie jest najlepszą wizytówką dla jej talentu.

— W prawo! Skręć w prawo, Donaldzie! — krzyknęła Veronica pełniąc funkcję pilota, z mapą rozłożoną na siedzeniu koło niej. — Jesteśmy teraz na prostej drodze, panie i panowie. Myślę, że czas na świąteczne śpiewanie. To co: *Twelve Days of Christmas*? Wszyscy razem?

Daphne jęknęła.

— A musimy, Veronica? Sądzę, że powinniśmy raczej przedyskutować, co będziemy robić w tym całym Little Grinton.

Pochyliła się w stronę okna i wpatrzyła w zimowy krajobraz uciekający za szybą. Jeśli Little Grinton okaże się jakąś zwykłą dziurą bez znaczenia, jeśli to wszystko zaprowadzi ich donikąd, to może powinna poprosić Donalda, żeby wysadził ją w drodze powrotnej w Slough. Co teraz mogła robić jej matka, w poranek przed Wigilią? Najprawdopodobniej pakowała ostatnie prezenty i sprawdzała zawartość spiżarni, by się przekonać, że kupiła wszystko, co trzeba. Jej siostra Felicity miała przyjechać w porze lunchu. A tymczasem Daphne pędziła samochodem prowadzonym przez aktora teatralnego w kierunku... No właśnie: w kierunku czego dokładnie? Pokręciła głowę. Nie wolno jej było popadać w pesymizm. Powinna ufać swojemu instynktowi. Rozwiąże tę zagmatwaną sprawę precyzyjnie i z opanowaniem, a we właściwym czasie opowie o wszystkim mamie i Felicity.

— Daphne, spójrz na siebie. Nie bądź taka sztywna — zaczęła Veronica. — To całkiem proste: pójdziemy na wiejską pocztę i spytamy o wszystkich morderców, którzy kręcili się po okolicy, podrzucając ludziom trujące grzyby — wujowi Bobowi, ciotce Fanny i tak dalej. Sprawa od razu się wyjaśni, a my wrócimy do Soho na grzane wino.

Daphne się uśmiechnęła. Musiała przyznać, że sprawa ujęta w ten sposób wyglądała dość groteskowo.

— Oczywiście. *Wyjaśnię* tę sprawę do końca, a wy wypijecie swoje zasłużone grzane wino.

— Wybaczcie mi, drogie panie, że się wtrącam w wasze przekomarzenia, ale jak naprawdę to widzicie?

— Ty w każdym razie wylądujesz bezpiecznie w łóżeczku, czekając, aż Święty Mikołaj przyniesie ci prezenty, w tym błyskotliwy całostronicowy wywiad z tobą w „Chronicle”, kładący nacisk na twój niebywale przystojny wygląd i aktorski talent nie z tego świata — odparła Daphne.

Z tą całą jego bufonerią i narcyzmem zaczynała lubić Donalda Hartforth.

ale szczęście, że Veronica po paru zakrętach dała sobie spokój ze śpiewaniem i zaraz po wpół do Cdwunastej dotarli do Little Grinton. Z nieba znów zaczęły spadać płatki śniegu, a miejscowość wyglądała, jakby była z jakiegoś śnieżnego globu, malowniczego i zacisznego, oddalonego milion mil od londyńskiego zgielku.

— Chrystus się rodzi, a to miejsce wygląda, jakby ziewało — powiedział Donald, zaparkowawszy swój wóz przy czymś, co wyglądało na główną ulicę. Daphne i Veronica wysiadły, poleciwszy Donaldowi, by został w aucie — z czego był bardzo zadowolony.

— Z przyjemnością, drogie panie. Nie mam pojęcia, czego mógłbym szukać wśród tych wieśniaków.

— Jesteśmy w Surrey, Donaldzie. Trudno o gorsze zadupie — rzuciła zgryźliwie Daphne, zatrzaszkując za sobą drzwi samochodu.

Daphne i Veronica ruszyły przez śnieg, mijając sklep z zabawkami oferujący „najbardziej niewiarygodny zestaw kolejowy w Anglii” i „najnowszy model Baby Betty, z prawdziwym wełnianym kardiganem w komplecie”, a potem sklep z antykami ozdobiony z piękną lampą stojącą na wystawie („Nie jesteśmy tu na zakupach, Veronico”), i wreszcie sklep odzieżowy, w którego witrynie pyszniły się wełniane rękawiczki w pięćdziesięciu siedmiu kolorach i odcieniach.

Po dotarciu do urzędu pocztowego Daphne poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie. Co dokładnie zamierzały osiągnąć? Czy naprawdę myślała, jak sugerowała Veronica, że jakaś miła pani, która tu pracowała, powie jej, że owszem, tak się składa, iż był tu taki osobnik, który w zeszłym tygodniu opowiadał wszem wobec o swoim planie zamordowania jakiegoś mężczyzny nazwiskiem Robert Stirling? Wtedy nie wzięto tego na poważnie, ale teraz, gdy zapytała...

Daphne pokręciła głową, odpychając te myśli. Każdy ślad, każda poszlaka może im pomóc w ustaleniu, kto wysłał tę pocztówkę. Przecież to była mała miejscowość. Ktokolwiek to był, mógł być kimś miejscowym, a w tym wypadku urząd pocztowy był w stanie ją doprowadzić prosto do nadawcy.

Jakiś spatynowany dzwonek zadzwieczał, gdy wchodziły do środka. We wszystkich zakątkach wisiąły świcidelka, a mechaniczny Święty Mikołaj podzwaniał i wydawał z siebie sztuczne „Ho, ho, ho”.

— Najlepsze życzenia świąteczne! W czym mogę paniom pomóc? — odezwał się nadzwyczaj wesoły głos zza kontuaru. Kobieta miała na szyi świąteczne świcidelka, a jej różane policzki współgrały z czerwonym swetrem; uśmiech nie zdradzał żadnych oznak cynizmu ani znużenia tym nieustannym pohukiwaniem sztucznego Świętego Mikołaja.

Daphne już wiedziała: to była właśnie ta *miła pani* z urzędu pocztowego.

— Dzień dobry, mam nadzieję, że istotnie może nam pani pomóc — zaczęła Daphne, grzebiąc w torebce i podchodząc jednocześnie do kontuaru.

Veronica podążyła za nią z uśmiechem na twarzy, chętna posłuchać, o co zapyta Daphne.

— Widzi pani... mamy taką sprawę... i mamy nadzieję, że nam pani pomoże. Otóż... czy może pamięta pani człowieka, który nadał to. — Podała kobiecie pocztówkę. — Z tego miłego urzędu.

— Kochana pani, dobrze by było, żeby naprawdę był taki miły! — odpowiedziała kobieta. — Bardzo bym chciała pomóc, poważnie mówię, ale musiałabym mieć pamięć jak słoń, żeby zapamiętać, kto wysłał ode mnie jakąś kartkę. Gdyby chodziło o specjalną przesyłkę kwiatową albo telegram do Australii, to może bym sobie przypomniała, ale kartkę? Zresztą tu nie ma nic takiego, żeby to opisywać w kartce do domu — zaśmiała się z tego, co musiało być, jak domyśliła się Daphne, pocztowym dowcipem.

— Tak, tak, przypuszczam, że ma pani rację — przyznała Daphne z lekkim westchnieniem. Może gdyby wysłała tę kartkę jakaś piękna kobieta, na przykład Josie Milford, matka pięknego Cecila Milforda i porzucona kochanka Roberta Stirlinga, to fakt ten zapadłby komuś w pamięć. A tak...

— Daj spokój, Daphne — odezwała się Veronica. — Spróbowałyśmy. Wracajmy do Londynu, stawiam grzane wino, dobrze?

— Och, kropelka grzanego wina w taki dzień... Macie szczęście. Chociaż ja też dostanę swoją wigilijną kropelkę jutro, w Cartley Manor — powiedziała kobieta.

— Tak? — rzuciła machinalnie Daphne. — To jakiś miejscowy hotel?

— O Boże, nie! — wykrzyknęła kobieta ze śmiechem. — To dom starców. Ale całkiem porządy. W każdą Wigilię urządzają tam małe przyjęcie — taką potańcówkę dla starsuszków. Właściwie niektórzy z nich nie są tak bardzo starzy, tylko... podstarzali. Może stracili trochę rozumu, ale tylko trochę. Mamy tam krakersy, babeczki i takie tam... Na same święta jadą do swoich rodzin, ale jutro będzie tam miła wiejska impreza.

— Cudownie! — odparła Veronica, podczas gdy Daphne zatoneła w myślach. — Bardzo pięknie, wesołych świąt! I dobrego grzańca.

Gdy Veronica wyprowadziła koleżankę na ulicę, Daphne odwróciła się i wykrzyknęła:

— Dom starców!

Veronica zdumiała się tym wybuchem.

— Zastanów się! — ciągnęła Daphne, gdy Veronica, rozcierając dłonie w rękawiczkach, zmierzała z powrotem do samochodu. — Ta pocztówka została wysłana z Little Grinton; tyle wiemy. Wysłana stąd, ponieważ nadawca był raczej tu, a nie w Brighton. Wszystkie inne pocztówki były doręczane osobiście do teatrów.

— Poczekaj... chyba za tobą nadążam...

— Osoba wysyłająca te kartki nie mogła doręczyć kolejnej w Brighton, bo utknęła tutaj.

Veronica ruszyła truchtem, by nadążyć za Daphne, która zrobiła wielki krok.

— Była tutaj, w Little Grinton. Na pewno. A teraz, nie wiem jak ty, ale ja nie mam ochoty wędrować tymi zaśmieczonymi ulicami i pukać do każdych drzwi, przeszkadzając rodzinom w przeddzień Wigilii i rozpytując, czy ktoś z nich nie wysłał tych dziwnych paczek do Chestera Harrisona — wyjaśniła Daphne. — Przypuszczam, że osoba, która wysyłała te kartki, wysyłała również paczki. Wszystkie były pieczołowicie doręczane — do każdego teatru, do każdego miejsca, gdzie się zatrzymali.

Veronica pokiwała zgodnie głową, ale wyraz jej twarzy świadczył, że nie całkiem nadążała za tokiem myśli Daphne.

— Mamy ustalony wzorzec: paczki i pocztówki dostarczano bezpośrednio do każdego teatru. — Daphne mówiła teraz wolniej. — A jeśli mamy do czynienia z jakimś ustalonym wzorcem zachowania, to każde jego naruszenie, każde odstępstwo musimy wziąć pod lupę. Takiego wzorca nie łamie się od tak. Musiało się zdarzyć coś znaczącego, że nasz nadawca porzucił swoją rutynę. Może został gdzieś wezwany, w jakiejś sprawie niecierpiącej zwłoki, i dlatego nie był w stanie udać się do Brighton?

— A może nadawca nagle zachorował? — zapytała Veronica.

Daphne pokręciła głową.

— To możliwe, ale pomyśl o tym, że w Little Grinton nie ma żadnego szpitala. A jeśli nadawca nie był w stanie pojechać do Brighton, to dlaczego zjawił się akurat w Little Grinton? Wiemy, że jest tu dom starców. To fakt. Może nadawca został wezwany do domu starców w jakiejś naglącej sprawie. Może kogoś tu odwiedził?

— A może nadawca tu po prostu mieszkał? — spytała Veronica, przyjmując rolę adwokata diabła.

— Och, ty *naprawdę* jesteś irytująca, Veronica. Gdyby nadawca tu mieszkał, miałybyśmy przed sobą cholernie trudne zadanie odnalezienia go. Natomiast jeśli coś łączy tę sprawę z Cartley Manor... to odnalezienie tej igły w stogu siana będzie znacznie łatwiejsze, prawda? — Uśmiechnęła się szeroko do Veroniki. — Skoro nie mamy nic pewniejszego w Little Grinton, to na pewno warto sprawdzić Cartley Manor, nie sądzisz? Dzięki temu albo wyeliminujemy to miejsce z pola naszych poszukiwań, albo potwierdzimy jego znaczenie.

— Umiesz myśleć pozytywnie! — stwierdziła Veronica. — Obawiam się tylko, że jeszcze jedno takie śledztwo, a kupisz sobie fajkę i zaczniesz do mnie mówić per „Watsonie”.

— Powinnaś się z tego cieszyć — zażartowała Daphne, wsiadając do samochodu.

23

Donald Hartforth musiał już wybrnąć z niejednej niezręcznej sytuacji. Gdy grał w 1931 roku Jagona (była to inscenizacja, w której bez skrępowania wcielił się w postać napuszonego lajdaka), jego partner obsadzony w roli Otella uparł się, by wprowadzić do sceny z rękawiczką dziwaczne interludium taneczne; jako Merkucjo w *Romeo i Julii* stał się celem ostrzału damską bielizną, spadającą na niego przy podniesieniu kurtyny. Był dumny z faktu, że przyjmował takie sytuacje z otwartymi rękoma, gdyż jak twierdził: „Gdybyśmy nie stawiali sobie wyzwań i nie przyjmowali wyzwań od innych, nie rozwijalibyśmy się zawodowo”.

Dlatego też zgodził się uprzejmie i bez zbędnych pytań, gdy Daphne King poprosiła go, by zawiózł je do domu starców, żeby mogły tam sprawdzić listę pensjonariuszy. Oczywiście. Bo co innego miał tego dnia do roboty?

Budynek Cartley Manor, pomimo swych rozmiarów, nie wyglądał ani imponująco, ani wspaniale; była to raczej swojska i zachęcająca budowla z czerwonej cegły. Daphne zauważyła, że każde z jej licznych okien udekorowane było od wewnątrz papierowymi płatkami śniegu. Nad kominami tańczył dym, a obok podjazdu prowadzącego do samego budynku stały krzewy ubrane w coś, co wyglądało na bożonarodzeniowe dekoracje własnej roboty, które choć nieco mokre z racji pogody, wyglądały jednak sympatycznie i podkreślały świąteczny nastrój: były tam cokolwiek koślawe drewniane gwiazdy i pomarańcze ponadziewane goździkami.

Zaimprovizowana scena Narodzenia Pańskiego — ogrodowe krasnale udające Trzech Króli, pluszowy miś leżący w żłóbku — witała nadjeżdżający samochód, a specyficzny aromat piekących się pierników przenikał powietrze. Dom otaczały akry pokryte śniegiem ziemi; pośrodku jednego z pól sterczał zagajnik, a w innym miejscu lśniła jasno tafla zamarzniętego jeziora.

— Widzę tu siebie. Całkiem przyjemne miejsce — powiedziała Veronica, gdy Donald zaparkował wóz.

Daphne znów poinstruowała kierowcę, by pozostał *in situ*, ale tym razem Donald zaoponował.

— Nie mogę powiedzieć, że jest dla mnie jasne, co zamierzacie — zaczął — ale wydaje mi się, że w takim miejscu nie zaszkodzi wam jakaś męska obstawa. Może wykorzystacie jakoś moją dobrą prezencję, co, Daphne? Gdy Robert umierał, okazała się zupełnie bezużyteczna, więc może teraz na coś się przyda?

Donald po raz pierwszy wspomniął, że nie był w stanie nic zrobić w chwili śmierci Roberta. Daphne zmarszczyła czoło. Oto Donald Hartforth odmieniony. Tak się przynajmniej zdawało.

Uzgodnili, że całą trójką wejdą do środka. Następnie zgodzili się co do tego, że jest mało prawdopodobne, by kierownictwo tego domu okazało się aż tak uczynne i udostępniło Daphne listę pensjonariuszy. Zatem zgodzono się po raz trzeci, tym razem że będą udawać rodzeństwo zapoznające się z tym domem jako potencjalnym miejscem zakwaterowania starszego się ojca.

— Dzień dobry! — powitał Donald mężczyznę siedzącego za biurkiem. — Chcielibyśmy pogadać z panem w sprawie naszego staruszka, jeśli będzie pan tak miły. No i *keek*, to znaczy zajrzeć, *ben the hoose*, do środka domu...

Daphne i Veronica spojrzały na siebie. Nie uzgodnili, że będą udawać szkockie rodzeństwo. Ale mogły się spodziewać, że Donald doloży wszelkich starań, by znaleźć się w centrum uwagi. Stąd ta komedia ze szkockim akcentem i słownictwem.

Mężczyzna za biurkiem przedstawił się jako Francis i ciepło uściśnął im dłonie. Był niższy od Daphne i wydawał się człowiekiem w dziwnie nieokreślonym wieku. Na jego dobronasznej twarzy nie widać było żadnych zmarszczek, ale z czubka głowy wyrastały rzadkie kosmyki siwych włosów. Za nim stała wspaniała choinka, a jeszcze dalej Daphne dostrzegła grupkę starszych osób grających przy stole w karty. W powietrzu unosił się aromat gorącej czekolady i pomarańczy. Ten zapach był tak wszechobecny, że Daphne podejrzewała, iż rozsiewano go specjalnie, by stworzyć przytulną atmosferę.

— Mój brat — powiedziała Veronica, spoglądając na Donalda — który urodził się w Szkocji, stąd ten jego... akcent, chciałby, żeby nasz ojciec został pensjonariuszem tego znamienitego zakładu. Natomiast ja i moja siostra, któreśmy się urodziły w Anglii, stąd *nasz* akcent, nie możemy się zdecydować. Czy mogłybyśmy uzyskać od pana nieco informacji?

Donald skrzywił się na tę niechęć Veroniki do dalszego odgrywania Szkotów.

— Noo, tak... chcielibyśmy popatrzeć, jak spędzają tu swój *lousin' time*, życiowy fajrant.

Daphne miała nadzieję, że Francis nie posiadał żadnych krewnych ani bliskich przyjaciół w Szkocji, bo inaczej na pewno zdumiałby się tym szczególnym akcentem Donalda. Na szczęście przystąpił do sumiennego i pełnego entuzjazmu przedstawiania porządku dnia w Cartley Manor, a oczy Daphne powędrowały w tym czasie do książki, na której spoczywały dłonie Francis'a. Dostrzegła podpisy i daty — najwidoczniej była to księga gości. *Aha*.

— A może zechciałby pan nas oprowadzić po zakładzie? — spytała Daphne pogodnym głosem.

Francis ściągnął nieco usta.

— Teraz byłoby to trochę trudne; święta tuż-tuż i brakuje paru osób z obsługi... To oczywiście nie znaczy, że nie pracujemy, ale nie bardzo mogę opuścić to biurko. Telefon może zadzwonić albo zjawi się jakiś gość — na pewno mnie państwo zrozumiecie.

Daphne uśmiechnęła się przymiłnie.

— Oczywiście, oczywiście rozumiemy.

— To może brat i ja moglibyśmy zrobić sobie rundkę. — Veronica zrobiła jakiś nieokreślony gest w stronę, gdzie pensjonariusze grali w karty. — Byłoby pięknie złapać trochę tej atmosfery. Myślę, że moja siostra ma jeszcze parę pytań, więc może mogłaby tu z panem zostać?

Znaczące spojrzenie Veroniki i jej wyraźne ruchy głowy były dla Daphne wskazówką, że szykuje się jakiś spiszek; ale dla Francis'a znaczyły, że tej obcej kobiecie wyjątkowo zależy na obejrzeniu zakładu. Wyrażając zgodę, przeniósł uwagę na Daphne.

— W czym jeszcze mógłbym pani służyć?

— No tak... Myślałam o tym otoczeniu. Wygląda bardzo pięknie... Czy pensjonariusze mogą poruszać się po okolicy? — W tej chwili tylko to przyszło Daphne do głowy, ale wybór akurat tego pytania na chybił

trafił miał się okazać nadzwyczaj owocny.

— Tak, mamy w Cartley Manor to niezwykle szczęście — odparł Francis. — Pola otaczające zakład są otwarte dla pensjonariuszy przez okrągły rok, a oni uwielbiają wprost spacerować po okolicy. Piękne widoki, naprawdę wspaniałe... Dostęp do lasu i jeziora jest nieco bardziej ograniczony — pensjonariusze mogą tam chodzić od marca do sierpnia, ale pod opieką naszych pracowników.

— Bardzo słusznie, oczywiście, żeby nikt nie wpadł do wody — stwierdziła Daphne, zastanawiając się, co, u licha, knują Veronica i Donald.

— Właśnie, właśnie. No i oczywiście te grzyby. Posłaliśmy tam ogrodników, wszystkiego próbowali, ale teraz nie ma komu tego przypilnować. Jak się je usunie z jednego miejsca, wyrastają zaraz w innym. Musieliśmy z tego powodu odciąć pewne części lasu.

— To znaczy z jakiego powodu? — spytała Daphne, starając się zdradzić jak najmniej zainteresowania słowami biednego Francisca.

— Z powodu tych grzybów, niebezpiecznych grzybów — stwierdził rzeczowo.

Żołądek Daphne podskoczył. Wzięła głęboki oddech.

— Oj, to szkoda. Czy one są bardzo niebezpieczne?

Nagle jakiś hałas rozległ się za plecami Francisca, powstrzymując go od odpowiedzi. Już za jego plecami Daphne posłała Veronice ostentacyjny grymas. Po podłodze w głąbi rozsypały się karty, a Donald, wraz z mocno podstarzałymi pensjonariuszami, padł na kolana, by je zebrać.

Francis pobiegł im na pomoc, krzycząc:

— Normanie, Normanie, zbieraj się z podłogi. Wiesz, że twoje kolana ci za to nie dziękują.

Daphne tymczasem szybko obeszła biurko i sięgnęła po księgę, odrzucając strony aż do daty widniejącej na pocztówce — 16 grudnia. Z palcem na stronie przejrzała ją, poszukując jakiegoś znanego nazwiska, czegoś, co zadzwoniłoby w jej umyśle. Ale nic takiego nie znalazła. A już zwłaszcza żadnej Milford. Cholera. Ponieważ awantura się tymczasem uspokoiła, pozostawało tylko jedno: wyrwała kartkę z książki i wepchnęła ją do torebki. Niczym zachłanna sroka złodziejka zbierała swoją kolekcję osobliwości: pocztówki, fotografię, a teraz i kartkę wyrwaną z książki gości w Cartley Manor. Gdyby jeszcze miała to cholerne pióro, dysponowałaby kompletem dowodów, które mogłaby poskładać w logiczną całość.

— Dziękuję za pomoc — powiedział Donald, gdy Francis odprowadzał go do swojego biurka. Karty zostały ponownie potasowane i Norman wyglądał, jakby nic się nie stało.

— Tak, dziękujemy panu, Francisie — dodała Daphne. — Okazał się pan bardziej pomocny, niżby się pan spodziewał.

Francis uśmiechnął się do całej trójki i zapytał, czy Donald nie pochodzi aby z Dundee albo z wyspy Skye. Hartforth wyjaśnił, że w istocie urodził się na zamku Dunsinane. Daphne wtrąciła się w tę rozmowę, dopytując, czy mogłaby być tak nieznośna i zajrzeć do lasu koło zakładu. A jeśli tak, to czy mogliby wypożyczyć jakieś kalosze.

Veronica spojrzała na nią z porozumiewawczym uśmiechem. Nie wiedziała, co chodziło Daphne po głowie, ale mogła się założyć, że zanosilo się na przedni numer.

— No cóż, obawiam się, że kaloszy nie da się załatwić, ale skoro tak bardzo zależy pani na tej wycieczce, to mogę pozwolić na pójście aż do północnego skraju lasu — jednak obedzą mnie ze skóry, jeśli złapią panią nad jeziorem. Pani Dundridge zawsze mówiła wszystkim, że mieszkają tam syreny, co skutecznie trzymało ludzi z dala od brzegu — zdradził Francis.

Daphne ruszyła do wyjścia, a za nią Veronica. Donald niezdecydowanie podążył za nimi.

— Słuchajcie, nie nadaję się do włóczęgi po błocie, w dosłownym tego słowa znaczeniu! — zawołał, gdy obie panie wysforowały się do przodu.

— Ciszey, Donaldzie. Nasz przyjaciel Francis będzie się zastanawiał, gdzie się podział twój szkocki akcent — zganila go Daphne.

— Donald wrócił do samochodu — rzuciła Veronica, dysząc ciężko, by dotrzymać kroku Daphne.

Śnieg skrzypiał im pod stopami, buty szybko przemokły, ale szły dalej przez czysto białe, nietknięte pole. Gdyby Daphne nie była tak zafiksowana na znalezieniu tych grzybów, mogłaby dostrzec piękno scenerii: sposób, w jaki grudniowe słońce, wyglądające teraz nieśmiało zza chmur, rozświetlało ten niepowszedni krajobraz. Veronica, dzielnie podążając za nią, powiedziała:

— Przypomnij: jak to się stało, że jesteś taką specjalistką od rozpoznawania śmiertelnie trujących grzybów?

— Ano, takie to już jest fantastyczne i barwne życie redaktorki rubryki porad domowych, chociaż muszę przyznać, że każdy z elementarną chociaż wiedzą o grzybach mógłby zidentyfikować te świństwa — powiedziała Daphne, odbijając nieco w lewo, w stronę lasu. — Jeśli ich tam nie ma, to cóż... będę musiała przelknąć tę żabę.

— Widząc cię dziś w akcji, dochodzę do wniosku, że raczej ci to nie grozi. — Veronica dodała Daphne odwagi, wchodząc za nią do lasu.

Wśród drzew było ciemniej, a powietrze szczypało w policzki. Daphne pośliniła palec i uniosła go w powietrze.

— Tędy — zakomenderowała, ruszając w stronę wysokiego dębu górującego nad północnym skrajem lasu.

Znalazszy się przy nim, Daphne zaczęła rozgrzebywać śnieg u podstawy pnia i znalazła grupę małych białych trzonków, prawie niedostrzegalnych dla niewprawnego oka. Przykucnęła, by przyjrzeć im się dokładnie.

— To one, wszystko się zgadza — wyszeptła, jakby zapominając o obecności Veroniki. — Teraz, zimą, nie są największe ani najbardziej zjadliwe. Ale to one. To one zabiły Roberta.

24

Wracając do Londynu, Daphne czuła się tak, jakby leciała, a nie jechała. W takim była uniesieniu. Więc miała rację: klucz do sprawy był w Little Grinton! Nie tylko klucz tam był, ale i te grzyby. Oto miała bezsporny dowód, który łączył wszystko inne: z Little Grinton była ta pocztówka i z Little Grinton były grzyby. Zbliżała się do wykrycia sprawcy, osoby, która wysyłała paczki Chesterowi i otrula Roberta.

Teraz miała się spotkać z Tyrone'em Bridge'em. Którego enigmatyczny poranny telefon obiecywał rzucenie światła na najbardziej nieuchwytny element tej układanki — wieczne pióro. Pióro, które teraz gdzieś zniknęło.

Chociaż próbowała ukryć rozpierającą ją radość, nie mogła się powstrzymać od dokładnego opowiedzenia Veronice i Donaldowi, co udało jej się ustalić.

— Bystra z ciebie sztuka — powiedziała Veronica z uznaniem.

Donald pozostał dziwnie milczący.

— Teraz należy tylko uważnie przestudiować listę gości. Musi na niej być to nazwisko. To tylko kwestia nazwiska.

— Czy ty naprawdę wierzysz, że uda ci się rozwiązać tę sprawę? Tak? — zapytał Donald zaskakująco wąpiącym tonem.

— Tak, do cholery, Donaldzie. Ściągnęła nas w to miejsce. I lepiej nie marudź — wypaliła Veronica.

Daphne wyrzała za okno, na pola po obu stronach przesuwające się za szybą, gdy pędzili drogami Surrey z powrotem do miasta. Cholernie chciała, by wszystko ułożyło się po jej myśli.

25

Veronica i Donald życzyli jej powodzenia, gdy wyruszała spod hotelu w stronę Theatre Royale. Daphne nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Bridge uparł się na spotkanie właśnie tam. Możliwe, że chciał zaznaczyć teatralność tego wszystkiego: odsłonić jakąś wielką i ważką prawdę w blasku reflektorów i w obłokach dymu.

Przy drzwiach na scenę nie było teraz żadnego policjanta.

— Widać nie jest to już potrzebne — wyjaśnił Nigel, wzruszając ramionami. — Pani znajomy Marklow pomyślał chyba, że nie będzie tu więcej musiał przychodzić. Wpadłem do pubu, bo nie mogłem wysiedzieć, czując na plecach oddech tego młodego konstabla. A jak wróciłem, to tego gnojka już nie było.

Daphne też wzruszyła ramionami na znak solidarności z zaskoczeniem Nigela.

— Widziałeś może Tyrone'a Bridge'a?

Garderoba Donalda wydała się Daphne dziwnym miejscem dla Tyrone'a, ale — jak wyjaśnił Nigel — właśnie tam czekał na nią Bridge.

Ta garderoba znajdowała się na końcu korytarza, obok magazynu kostiumów i żałośnie małej kuchenki, której jedynym przeznaczeniem było, jak się zdawało, pomieszczenie nieskończonych zasobów szklanek i kieliszków, a także paru połamanych otwieraczy do butelek. Donald oczywiście uważał się za pokrzywdzonego faktem, że przydzielono mu to miejsce, i w minionych dniach dawał o tym znać przy licznych okazjach.

— Halo, Tyronie? To ja, Daphne.

Zapukała lekko do drzwi. Nie było odpowiedzi. Może poszedł do bufetu albo, co było bardziej prawdopodobne, włóczył się po teatrze w poszukiwaniu jakichś brudów, które mógłby wyciągnąć na łamach swojej zjadliwej kolumny. W końcu zebrała się na odwagę i zastukała mocniej, przykładając ucho do drzwi. Ze środka doszedł do niej jakiś niewyraźny pomruk.

— Tyronie? Mam nadzieję, że jesteś ubrany, bo wchodzę...

Gdy otworzyła drzwi, pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to bałagan. Przewrócony bukiet róż — a kwiaty rozrzucone po podłodze. Buteleczki i pudełka z balsamami i eliksirami, kremami i kompresami leżały w nieładzie na białej toaletki, a stółek przed nią był przewrócony.

Gdy oczy Daphne przyjrzały się temu wszystkiemu, ogarnął ją niepokój. Poczula chłód. A wręcz zmroził ją widok jakiejś ludzkiej sylwetki leżącej w kącie. Sylwetka ta się poruszała.

Daphne zbliżyła się do niej ostrożnie, ale zdecydowanie. Był to bez wątpienia Tyrone Bridge. Nogę miał nienaturalnie wykręconą w stronę Daphne. Przyklękla szybko i wyciągnęła ku niemu drżące ręce.

Tyrone Bridge wpatrywał się w nią z odwróconą twarzą, a jego usta otwierały się nienaturalnie w jakimś przerażającym owalu. Na jego szyi widniała strużka krwi. Nawet więcej niż strużka. A z jego krtani coś wystawało... Daphne wzięła głęboki oddech, gdy zdała sobie sprawę, co to było: właśnie to pióro. Dźgnięto go piórem z paczki dla Chestera, piórem, które wykradziono z sejfu.

Wylupiaste oczy Tyrone'a były nieruchome, a twarz śmiertelnie blada. Nie był jednak martwy, w każdym razie nie całkiem. Z jego ust wydobywał się słaby oddech. Wydawało się, że poznał Daphne.

— Tyrone! Panie Bridge! — wykrzyknęła. — Niech się pan trzyma, zadzwonię po karetkę!

Złapał jej ramię jedną ręką, a uścisk ten był zadziwiająco silny. Walczył, by coś powiedzieć — zdała sobie sprawę. Pochyliła się nad nim tak nisko, jak tylko zdołała. Coś powiedział, wysapał jakieś słowo. Ledwie je usłyszała. Nic nie powiedziała, tylko poprosiła, by powtórzył, ale niczego już nie usłyszała. Sapnął raz jeszcze. Potem nic. Cisza.

Daphne patrzyła na Tyrone'a Bridge'a. Leżał martwy na podłodze teatralnej garderoby.

Podniosła się, ciężko oddychając i próbując nie ulec przerażeniu. Został zabity, nie mogło być co do tego wątpliwości, a przed śmiercią wypowiedział tylko jedno słowo: „łaskawa”.

Musiła wezwać pomoc. Odwróciła się w stronę otwartych drzwi. Pojawił się tam jakiś cień. Morderca? Chciał jeszcze raz zabić? Zmartwiała. Jej puls, już dudniący, jeszcze przyspieszył. Rozejrzała się po pokoju i chwyciła pustą butelkę po szampanie. Gdyby walnęła nią tego kogoś w głowę, miałaby szansę uciec. Nie zamierzała ustępować bez walki. Ostatecznie nazywała się Daphne King, do cholery.

Cień urosł. Ten ktoś się zbliżał. Zacisnęła dłoń na szyjce butelki, uspokoiła się i zwolniła oddech.

Gdy postać się zbliżyła, dosłyszała jakieś pomruki. „Już ja ci pomruczę, draniu” — pomyślała.

Wreszcie postać wypełniła drzwi.

— Inspektor Marklow?! — wykrzyknęła z niedowierzaniem. — Jakim cudem zjawił się tu pan tak szybko? Nawet nie...

— Daphne, gdzie jest Hartforth? — Bezpośredniość inspektora uświadomiła jej, że nie czas na zadawanie pytań.

— Hartforth? M-m-ma pan na myśli Donalda? — wydukała Daphne, odstawiając butelkę. — Nie wiem. Właśnie tu przyszedłem, żeby porozmawiać z Tyrone'em, i... — Wskazała na martwe ciało Tyrone'a Bridge'a.

— Jezu! — wypalił Marklow. — Jeszcze jeden!

Zanim Daphne miała szansę zadać inspektorowi następne pytanie (istotne dla niej, niedorzeczne dla niego), Marklow wezwał posterunkowego Lotta i kazał mu pilnować tego miejsca.

— Niech nikt się nie zbliża do ciała, bo łeb urwę. Mam na myśli twój. Daphne, chodź ze mną. To miejsce jest jak labirynt, ale ty zdajesz się w nim orientować. Musimy znaleźć Hartfortha.

Z narastającą konsternacją, ale opanowawszy się, Daphne wyminęła zgrabnie Markłowa i poprowadziła go przez niekończące się korytarze.

Czuła kropelki potu spływające jej z czoła, suchość w gardle, swędzenie skóry i węzeł zaciskający się na wewnętrznościach. Euforia wywołana odkryciami, motyle w brzuchu domorosłego detektywa gdzieś się ulotniły. Nie było żadnych motyli. Gdyby zjawiła się w garderobie nieco wcześniej, ona też mogłaby leżeć bez życia na podłodze. Zabójca wpadł w amok — i Daphne ujrzała się na jego ścieżce.

Nagle, zaraz przed nimi, ukazał się Donald, a za nim Irene.

— Co to za zamieszanie, Daphne? Czy to Robert powstał z martwych, by nas odwiedzić? — rzucił Donald, przyglądając fryzurę. — O, twój przyjaciel z policji znów tu jest. Dzień dobry, inspektorze, co możemy...

Marklow wysunął się naprzód, przygważdżając Donalda do ziemi w sposób, który Daphne uznała za cokolwiek brutalny. Gdy Donald się wywił, żądając wyjaśnienia, co, u diabła, się dzieje, Marklow poinformował go, że jest aresztowany. Irene zaniósła się jakimś przeciągłym krzykiem, który wedle obaw Daphne mógł trwać jeszcze nie wiadomo jak długo.

— ...za morderstwo Roberta Stirlinga — ogłosił Marklow. — No i prawdopodobnie jeszcze jednej ofiary w pańskiej garderobie.

Daphne nie mogła już dłużej zapanować na sobą. Zgięła się wpół i zwymiotowała na dywan.

26

W tygodniach, miesiącach, a faktycznie latach, które przyszyły później, to zwymiotowanie było jedynym szczegółem, który Daphne pomijała, opowiadając po wielokroć o wydarzeniach z grudnia 1935 roku. Pozostałe relacjonowała drobniaczko i żywo, a każda kolejna wersja przynosiła jakieś nowe i elektryzujące rewelacje: o poszlakach, na jakie wpadała wcześniej, o intonacji głosów, zdradzających mimowolnie jakieś fakty, o pytaniach, których nie zadała na czas.

Marklow brutalnie postawił Donalda na nogi i założył mu kajdanki.

— Nie rozumiem, Marklow. Myślisz, że to on zabił Roberta? — spytała Daphne z niedowierzaniem, wycierając sobie chusteczką kąciki ust. Ale już wypowiadając te słowa, zrozumiała, że są bez sensu.

— Niech mnie... panno King — powiedział Marklow, posapując, gdyż ta szamotanina zmęczyła go. Spojrzał na bajoro wymiocin. — Już w porządku?

Daphne zmarszczyła brwi i gestem dłoni odwróciła jego uwagę.

— Oczywiście, że go nie zabiłem! — zaprotestował Donald z grymasem przerażenia na twarzy. — Czemu miałbym go *zamordować*? To nonsens!

— No właśnie, Hartforth... Czemu? — powtórzył Marklow. — Spróbuj nas oświecić, tylko wiedz, że nie jesteśmy tacy głupi, jak myślisz.

Daphne zachwiała się lekko. To wszystko wydawało się wysoce nieprawdopodobne.

— Marklow, dlaczego... Jak wpadłeś, że to Donald?

— Nie jestem upoważniony do ujawniania tej informacji, panno King.

W chwilach napięcia Marklow przechodził na oficjalny ton. Daphne zauważyła ten zwyczaj już przy wielu wcześniejszych okazjach, ale nigdy nie irytowało ją to tak bardzo jak teraz.

— Śledztwo jest w toku i wszystko, co potrzebuje pani wiedzieć, to to, że mamy mocne podstawy, by uważać, że pan Hartforth ma krew na rękach. I dlatego zostanie umieszczony w areszcie.

— No ale *dlaczego* Donald miałby zabić Roberta? — spytała Daphne bardziej siebie niż Marklowa.

— Anonimowe doniesienia nie zajmują się zwykle tym jak i dlaczego — powiedział Marklow z wyraźnym rozdrażnieniem.

Więc to był ten policyjny dowód — anonimowy donos.

Nic z tego nie pasowało do jej hipotezy. Donald nie miał powiązania ani z grzybami, ani z pocztówkami, ani z piórem... A na dodatek był z nią przez cały dzień, więc jak, u diabła, mógł zabić Tyrone'a? Zaczęła więc:

— No, ale popatrz, Marklow, to jest absurdalne. On nie jest mordercą, tylko zwykłym, niezbyt mądrym aktorem!

Marklow ją zignorował i zaciągnął Donalda do drzwi od sceny, a potem wyprowadził go z teatru, gdzie ku łącznemu zdumieniu inspektora, Daphne i Hartfortha powitał ich tłum reporterów i fotografów. Podniosły się okrzyki: „Donaldzie!”, „Czy to prawda?”, „Czemu chciałeś, by umarł?”.

— Jestem niewinny. Niewinny, zaręczam wam! To jest jakaś parodia sprawiedliwości! — odkrzykiwał im, odrzucając włosy z czoła.

Marklow próbował przepchnąć go przez cizbę w stronę policyjnego samochodu, ale Donald opierał się, skandując:

— Sprawiedliwość dla Hartfortha! Sprawiedliwość dla Hartfortha!

Nie dało się zaprzeczyć absurdalności tej sytuacji. Daphne nie mogła nazwać żadnej pojedynczej emocji, jaką odczuwała; była jednocześnie zbulwersowana i wstrząśnięta; niezdolna uwierzyć w to, co się działo. Była też koszmarnie zmęczona i wciąż czuła się nie najlepiej. Zamordowano Roberta Stirlinga. Zamordowano też Tyrone'a Bridge'a. Donald Hartforth został aresztowany. A w sercu tego wszystkiego była ona.

27

Daphne patrzyła bezsilnie, jak Marklow i jego kolega wrzucają Donalda do policyjnego samochodu. Inspektor odwrócił się do niej.

— No i co? Wydajesz się taka pewna, że pan Hartforth nie jest sprawcą... A masz jakieś własne dobre pomysły? To oświeć mnie. Jak widzisz, mamy 23 grudnia, a ja wciąż jestem poza domem. Przez tę krwawą sprawę. Dlatego wszystko, co uczynisz, żebym mógł wrócić do swojej wkurzonej żony, będzie cudowne.

Daphne się zawahała. Marklow zawsze był otwarty, gdy męczyła go o jakieś informacje. A ona zawsze mu się rewanżowała. Często chodziło o jakieś podsłuchane komentarze albo obserwacje, które policjanci skłonni są przegapić, a pochodzące od służby domowej czy sprzątaczek — ludzi, zwykle kobiet, którzy dla policji wydają się niewidzialni, choć stanowią źródło cennych informacji. Tworzyło to owocną relację zawodową, w której Marklow ujawniał stanowisko policji w danej sprawie, Daphne zaś oferowała dowody, które oni przegapili. Jednak w tej szczególnej sprawie Daphne nie była skłonna do dzielenia się swoimi odkryciami.

Nie miała ochoty opowiedzieć mu o paczkach adresowanych do Chestera, o tych oczywistych kpinach pod adresem Harrisona i Theodory, o kłótni pomiędzy Robertem i George'em Salterem ledwie parę godzin przed śmiercią Stirlinga. O tej fotografii Chestera, Roberta, Tyrone'a i matki Cecila Milforda. O domu starców w Little Grinton i tamtejszej kolonii trujących grzybów.

Nie miała też chęci, by powiadomić inspektora Markłowa o ostatnim słowie umierającego Tyrone'a i o swym przynębiającym wrażeniu, że ten morderczy proceder jeszcze się nie skończył. Wszystko to czuła... ale w jakiejś równowadze. Delikatnej. Poinformowanie o tym Markłowa byłoby zdarciem czerwonej płachty z oczu byka i skierowaniem go wprost do składu porcelany. Nie, lepiej już było trzymać wszystko, czego się dowiedziała, pod korcem. Na razie.

— Nie, niestety, jeszcze nic nie mam, strzelam na razie ślepekami — odparła Daphne. — Ale jestem absolutnie pewna, że Donald jest niewinny.

Irene wyszła za nimi na ulicę. Wciąż zawodziła, ale teraz zwróciła się do Marklowa i Daphne:

— On jest niewinny. Donald niczego nie zrobił. To ci ludzie, to ci cholerni ludzie! Od pierwszego dnia maczali w tym palce, a teraz oczywiście cieszą się, rzucając na niego te dzikie oskarżenia! — Zaczęła bić bezsilnie w pierś Marklowa.

— Daj spokój, Irene. Pozwól się stąd zabrać — powiedziała Daphne. — Nie możemy tu zrobić nic więcej.

Potwierdził to Marklow. Cały teatr został ogłoszony miejscem przestępstwa, a kto wiedział, gdzie Donald — zabójca — mógł ukryć narzędzia zbrodni albo kto ukrywał jakieś dowody, narażał się na działania policji. Nikt nie mógł wchodzić do środka i nie było mowy o ruszaniu czegokolwiek.

Dziennikarska sfóra wciąż kręciła się koło drzwi na scenę, nakręcana widokiem kawkalkady policyjnych samochodów przyjeżdżających i odjeżdżających spod teatru.

— To wszystko jakieś bezwstydne typy — powiedziała Daphne, prowadząc ślaniającą się Irene przez tę cizbę. — Tylko nie mów nic nikomu z nich.

Ale ta banda pismaków była już zaspokojona, nie potrzebowała żadnych słów Daphne i Irene. Fotografowali udręczone kobiety, przepychające się do ulicy, żeby zrzucić zdjęcia na łamy następnego wydania. Wigilijnym rankiem — bo następnego dnia przypadała Wigilia Bożego Narodzenia — czytelnicy mieli się przyjrzeć tej Irene, która robiła karierę na West Endzie. Mieli zauważyć jej zgarbione ramiona, jej zgnębienie. Ci sami czytelnicy mieli się też przyjrzeć kobiecie obok, w okularach i z potarganą nieco fryzurą. Niektórzy, najbardziej spostrzegawczy, mogli dostrzec determinację w oczach tej drugiej kobiety — nie była tak oszołomiona czy nawiedzona jak jej towarzyszska, ale wyglądała jak ktoś, kto ma przed sobą zadanie do wykonania.

28

Do czasu, gdy Daphne dotarła do Regency Hotel, w barze zebrała się już cała kompania. Nigel zawiadomił telefonicznie o zabójstwie Tyrone'a i aresztowaniu Donalda. Choć wydawało się to z gruntu niestosowne, Daphne czuła jakieś rozbawienie. Ponury i szary bar w Regency Hotel był bez wątpienia najodpowiedniejszym miejscem w całym Londynie do roztrząsania kwestii, które pochłaniały zespół *Opowieści wigilijnej*. Przygotowała się na atak, który niezawodnie miał nastąpić.

Panika, strach, smutek... niezależnie od tego, w jakich proporcjach mieszały się te uczucia, mieszanica ta wypuklała osobowości każdej z zebranych osób; byli niemal karykaturami samych siebie. Beztraska Veroniki wyglądała na sztuczną, narzuconą pod wpływem atmosfery panującej w barze. Chester siedział z popielatoszarą twarzą w fotelu, który, jak się wydawało, upatrzył sobie na takie okazje. Theodora stała obok, z dłońmi spoczywającymi opiekuńczo na jego ramionach. Blask tej pary przygasł pod wpływem wydarzeń; wyglądali znacznie bardziej prozaicznie: jak czterdziestopięcioletnia kobieta próbująca uspokoić swego znacznie starszego męża.

Alfred, przywożdzony do stołka, był niczym wystraszony ptaszek, a jego nogi podskakiwały mimowolnie. Irene znów zaczęła szlochać, a Cecil siedział obok niej ze skrzyżowanymi nogami; wyglądał na wycofanego. George Salter dołączył do towarzystwa, a jego oczy przeszukiwały pomieszczenie, wyglądając ofiary; był jak rekin wężący za krwią.

Veronica podeszła do Daphne i ucisnęła jej ramiona.

— A niech to! Daphne, wszystko u ciebie w porządku? Nigel powiedział, że to ty znalazłaś Tyrone'a...

Daphne kiwnęła głową.

— Owszem, to prawda. Takie odkrycia stały się moim nieszczęsnym zwyczajem.

— Zalóżę się, że twój naczelny jest całkiem innego zdania... Znaleźć się pośród dwóch morderstw... — rzuciła Veronica, mrugnawszy okiem.

Towarzystwo zaczęło dyskusję o tym, co dalej robić. Theodora twierdziła, że powinni się po prostu rozejść, każdy do swojego pokoju. Bo i co dobrego miałoby wynikać z tego duszenia się w ponurym sosie *tych wydarzeń*, jak to eufemistycznie określiła. Veronica sprzeciwiła się, postulując, że powinni wystąpić razem — i dotrzeć aż do sedna tej „zgnilizny”. Powiedziała to z jakimś smakowitym akcentem, ale ugryzła się zaraz w język.

Chester wygłosił finalne słowo:

— Jeden z naszego zespołu nie żyje. Donald został aresztowany. Tyrone'a Bridge'a znaleziono zamordowanego w *naszym* teatrze. Ukrywanie się w pokojach nie pomoże w wyjaśnieniu, co tu się dzieje — powiedział.

Znużenie w jego głosie nikogo nie zaskoczyło. Natomiast słyszalny w nim smutek udzielił się wszystkim. Nie było w tym żadnego melodramatyzmu, podgrzewania atmosfery, żadnej hysterii.

Wobec podjętej decyzji — że powinni tu siedzieć i nadal się dusić we własnym sosie — pozostawała kwestia, czego się napić. A gdy debata ta przybrała surrealistyczny obrót, Daphne raz jeszcze miała dziwne wrażenie, że patrzy na siebie z oddali. Zamordowano przecież człowieka... nie, *dwóch* ludzi — a tu spierano się gorąco, ile butelek wina zamówić. Zauważono już dawno, że w chwilach kryzysowych duch ludzki ucieka się do sfery najbardziej przyziemnej i praktycznej, wtłaczając nieład w jakąś formę przypominającą porządek. Koniec końców po czasie, który wydawał się wiekiem, zamówiono wino u barmana, który wydawał się mocno przygnębiony swoim zajęciem.

Rozdysponowano kieliszki z alkoholem, ale nikt nie był całkiem pewien, jak powinien się zachować. Spojrzenie Daphne przelatywało po tym swobodnie usadowionym kręgu, nie mając ochoty, by spocząć na kimś na dłużej.

— No to za Roberta — odezwała się Theodora — aktora do samego końca.

— I za Tyrone'a — dodał Chester — który kochał prawdziwy dramat do samego końca.

Unosząc kieliszki i biorąc serdeczne łyki wina, towarzystwo zdawało się kolektywnie wzdychać z ulgą.

— Przykro mi, ale to się nie mieści w głowie! Przypomnijcie mi, dlaczego jestem tu z wami wszystkimi — odezwała się Irene głosem zachrypniętym od długiego płaczu. — Żaden z was nie ruszył nawet palcem, by pomóc Donaldowi, a ty — skierowała oskarżycielski palec w stronę Daphne — napuściłaś na niego gliny.

Daphne poczuła potrzebę wyjaśnienia i uporządkowania wszystkich minionych wydarzeń: śmierć Tyrone'a — morderstwo, śmierć Roberta Stirlinga — morderstwo. Wyjaśnienia Markłowa dotyczące aresztowania Donalda. Robiła ten rachunek trzeźwym i obojętnym tonem. Oszczędzając sobie i swoim słuchaczom najbrutalniejszych aspektów sceny w garderobie Donalda, prześliznęła się nad pewnymi szczegółami. Nikt nie potrzebował słuchać o groteskowym wyrazie oczu Tyrone'a Bridge'a, łpiących z przerażeniem. Ale z zupełnie innych powodów postanowiła zachować dla siebie jeszcze jeden szczegół — że Tyrone w ostatnim tchnieniu wypowiedział „łaskawa”.

Chester kręcił głową, szukając właściwych słów, lecz żadnych nie znalazł.

— Nic tu nie ma sensu, nie pasuje jedno do drugiego. To jakaś głupota — powiedział Alfred.

— To więcej niż głupota, Alfredzie. To kompletne szaleństwo — odparła jego siostra.

Alfred mówił dalej:

— Czemu Donald miałby zamordować Roberta? I Tyrone'a?

Daphne była stanowcza:

— On tego nie zrobił. Mam swoje podejrzenia co do tych wydarzeń. Ale potrzebuję jeszcze... upewnić się w paru sprawach. Dam jednak głowę, że Donald nie ma absolutnie nic wspólnego z tymi morderstwami.

Theodora odpowiedziała zmęczonym głosem:

— A może jednak ma? Może zazdrościł Robertowi? Może był zły na Tyrone'a? Niezbyt szlachetne motywy, ale sam Donald nie jest nazbyt szlachetną osobą. I na dodatek niezbyt utalentowaną — co do tego chyba wszyscy się zgodzimy.

— To matoł — rzucił George Salter. — Tacy zabijają z byle powodu. Chciał, żeby jego nazwisko błyszczało najmocniej, i wysiadać Roberta. Ten Bridge to też był niezły numer, ale wydaje mi się, że Donald miał dość jego kpin, więc pozbył się i jego. Proste.

— Nie bardzo, panie Salter — zaoponowała Veronica. — Został przecież aresztowany. A w Wormwood Scrubs nie może za bardzo liczyć na gwiazdorskie role. Nie zrobiłby czegoś tak głupiego.

— Właśnie dlatego wydaje mi się całkiem możliwe, że jednak to *zrobił*. Oczywiście to głupota, ale Donald Hartforth jest *głupi* — stwierdziła Theodora.

Daphne uderzyła porywczosć Theodory. Pani D'Arby przebiegała palcami po sznurze pereł, a jej charakterystyczna *froideur* mniej była wyczuwalna niż zwykle. Kiedy Daphne zastanawiała się nad tym niezwykłym poruszeniem Theodory, kotary nad wejściem do baru rozstąpiły się, by ukazać Lilian Rogers. Ubrana identycznie jak wczoraj, ewidentnie nie odczuwała potrzeby okazywania grzeczności, idąc prosto przed siebie.

— W niezłą kabałę wciągnęłaś mojego klienta — powiedziała, zdejmując czarne rękawiczki. — Wiadomo: prasa kocha takie rzeczy — dodała, rzucając w stronę Daphne spojrzenie nie całkiem może pogardliwe, ale niedalekie od tego.

— Daphne nie jest tu z tego względu — odparła Veronica. — To ona znalazła Tyrone'a w garderobie Donalda. Zapewne policja zabierze ją zaraz w celu złożenia zeznań, bo tak to już jest, gdy ktoś znajdzie się w pobliżu umierającego.

— W pobliżu umierającego? — zainteresowała się Lilian.

— Gdy go znalazłam, był już umierający — potwierdziła Daphne, pociągnawszy łyk wina. — Umarł wkrótce potem. Zakładam, że zgodnie z czyjąś nadzieją. — Upiła jeszcze trochę wina, by się uspokoić.

— Fakty wyglądają tak, że policja wydaje się cholernie pewna, że Donald zabił Roberta. Kto by pomyślał, że ten człowiek był do tego zdolny — rzucił Chester, jakby te słowa mimowolnie wypłynęły z jego ust.

Daphne zmarszczyła czoło. Pomyślała, że to domniemanie winy Donalda zostało aż nazbyt chętnie podjęte przez obecnych.

— Dlaczego tak szybko gotowi jesteście zwalić winę na Donalda? — wybuchła, nim zdążyła się opanować.

Nikt nie odpowiedział, ale w tej ciszy, jaka zapadła, czuła się coraz bardziej nieswojo.

— Jeśli nie Donald, musiał to zrobić ktoś inny. Masz jakieś pomysły, Daphne? — W głosie Cecila nie było żadnej złośliwości, żadnej ironii. Właściwie nie dało się w tym pytaniu wyczuć żadnych emocji.

Spoglądał na Daphne z uśmiechem, który choć niewinny, a może właśnie dlatego, był tak rozbrajający.

— Nie wygaduj głupstw, Cecilu — wypaliła nieoczekiwanie Theodora. — Ona tylko mieszka ludzimi w głowach, jak to dziennikarka.

— Theodoro, myślę, że to najzupełniej rozsądna linia rozumowania. Daphne zadała tylko pytanie, które, jeśli jesteśmy cywilizowanymi, racjonalnie myślącymi istotami, powinniśmy sobie wszyscy zadać. W końcu żyjemy w świecie, gdzie każdy jest niewinny, póki nie udowodni mu się winy — wtrąciła Lilian. — A gdy wina jest udowodniona, tam musi przyjść kara.

— Właśnie! — Daphne poczuła się zrehabilitowana, choć i nieco zaskoczona obroną ze strony Lilian. — A skoro Donald jest niewinny, policja wkrótce się w tym zorientuje, więc nie będzie miał się czego obawiać.

— O, akurat co do tego nie mogę się zgodzić — odparła Lilian. — Niewinny ma na tym świecie może więcej powodów do obaw niż inni. Jednakże w tej sprawie musimy mieć nadzieję, że policja dojdzie do prawdy. Można chyba w tej sprawie polegać na twoim przyjacielu Marklowie?

Zanim Daphne zdążyła odpowiedzieć, Cecil skonał:

— Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak czekać.

— Czekać? Na co? Czekać, aż Donald zostanie ostatecznie zamknięty, a klucz od celi wyrzucony? Niech mnie szlag trafi, jeśli będę tu siedziała *z wami wszystkimi* — krzyknęła Irene, a lzy pociekły jej po twarzy. Nagle zerwała się i ruszyła do wyjścia z baru. — Coś tu się wyprawia, wszyscy to wiecie!

Daphne zerknęła na Veronicę. Czy zauważyła to ledwie dostrzegalne kiwnięcie głowy, delikatne rozwarcie oczu, podniesienie brwi? Daphne pomyślała, że tak, i przeprosiwszy zebrane towarzystwo, również wyszła z baru — a za nią Veronica.

29

W porządku. Włóż płaszcz. Wyjdziemy z tego piekielnego hotelu — i masz mi powiedzieć wszystko o tym, co się stało od czasu, gdy wróciliśmy z Little Grinton, rozumiesz? — Veronica wyszczeekała swoje żądania ze stanowczością pani sztorcującej służącą.

Na zewnątrz grupy kołędników ciągnęły ulicą, a ich uśmiechnięte twarze miały zwiastować pokój i radość, ale w oczach Daphne ostrzegały tylko przed dotkliwymi niepowodzeniami tego popołudnia. A może wieczoru? Spojrzała na zegarek: była dopiero czwarta. Zdawało się, jakby minęły dni od czasu, gdy przemierzała Little Grinton, niesiona dumą z powodu własnej pomysłowości.

— Myślę, że powinnam się zatopić w tym wszystkim, zanim... podzielę się tym z kimkolwiek — powiedziała Daphne w jakiś mało przekonujący sposób.

Veronica oparła się o mur na zewnątrz hotelu. Z jedną ręką w kieszeni spodni, a drugą uniesioną, z papierosem w dłoni. Daphne podejrzewała, że była to poza, którą Veronica doprowadziła do perfekcji przez lata wałęsania się po świecie. Poza nastawiona na zastraszenie, zdenerwowanie, a w każdym razie narzucenie swojego zdania.

— Fascynujące... Szkoda tylko, że tak szybko cię przegłosowano. A jakie masz kontrargumenty?

Daphne zarumieniła się z... zakłopotania? Irytacji? Tak się akurat stało, że przed jej nosem doszło do dwóch morderstw, a ona — niosąc pochodnię dziennikarskiej dociekliwości — wciąż usiłowała zebrać to

wszystko do kupy. Wiedziała, że to się zdarzyło tutaj, że było w zasięgu ręki, ale za każdym razem, gdy chciała tę prawdę uchwycić, wymykała jej się z dłoni.

— Tak właściwie, Veronica — wykrztusiła jakimś dziwnie piskliwym głosem — to nie jest twoja sprawa, co tu się stało. Nie mam obowiązku otwierać przed tobą mojej duszy, choć może tak ci się wydaje. Ale mogę ci powiedzieć, że doszłam do czegoś konkretniejszego; i nie wyżywaj się na mnie i nie wymachuj mi tu papierosem, żeby jakimś magicznym sposobem wydobyć ze mnie najskrytsze myśli... Co ty robisz? Dokąd mnie prowadzisz?

Veronica zarzuciła rękę na ramię Daphne i zaczęła ją odciągać od hotelu.

— Idziemy do pubu, a ty powiesz mi o wszystkich swoich najskrytszych myślach, a zwłaszcza o tym, do czego doszłaś.

Daphne bez entuzjazmu pozwoliła się prowadzić Veronice przez zatłoczone ulice Soho. Czwarta po południu była najwidoczniej porą, którą okoliczni mieszkańcy uważali za najodpowiedniejszą, by wyjść z domu i załatwić swoje sprawy; Daphne ogarnęło uczucie rezygnacji zmieszanej z ulgą. Obawiała się, że skupiona na drzewach nie widzi lasu. Może bliższa znajomość z Veronicą mogła rozjaśnić jej umysł, sprawić, by niektóre puzzle trafiły na właściwe miejsca.

Pub, do którego Veronica ją zaprowadziła, był zatłoczonym miejscem, ale stolik w kącie dawał pewną dozę prywatności. Ściany wyłożone były panelami z głębokiego mahoniu, przerywanymi zamglonymi lustrami. Jedynym ustępstwem na rzecz Bożego Narodzenia była skromna miniaturowa choinka, już opadająca w donicy na barze.

„Kolejny pub, kolejny dżin” — pomyślała Daphne.

— Pasztecik z mięsem i orzeszki. — Veronica postawiła jedzenie na stoliku, zmiatając przy okazji trochę okruszyn. — Nikt nie może powiedzieć, że Veronica Burford nie umie ugościć swoich pań.

— Byłoby miło, gdybyś pominęła ten zaimek dzierżawczy, panno Burford — powiedziała Daphne, sięgając dość bezceremonialnie po garść orzeszków.

— A teraz jak będzie: powiesz mi sama, co tam wywęszyłaś, czy może mam to z ciebie wycisnąć? — zapytała Veronica.

Daphne westchnęła. Głęboko. A potem opowiedziała Veronice wszystko. O tych nadzwyczajnych zbiegach okoliczności, które do tej pory wzburzyły stojącą wodę wątpliwości i podejrzeń. O tych pytaniach bez odpowiedzi, których było zbyt wiele, by je zliczyć. Dlaczego Robert i George Salter klócili się o pieniądze? Kto wysyłał te tajemnicze kartki i paczki do Chestera? Nie mówiąc już o Little Grinton i tej cholernej fotografii przedstawiającej Chestera, Roberta, Tyrone'a i matkę Cecila. O grzybach i piórze, dwóch niecodziennych narzędziach zbrodni.

Nagle coś ją uderzyło: ta książka gości z domu starców. Do tej pory nie sprawdziła dokładnie wyrwanej kartki. Wyciągnęła ją z torebki i rozprostowała przed miseczką z orzeszkami.

— Coś kojarzysz, jakieś nazwisko? Cokolwiek? — spytała Veronicę.

Veronica uniosła brwi i pokręciła głową:

— Nic. Żadne z tych nazwisk nic mi nie mówi, przykro mi, Daphne.

Coś w tym jednak musiało być. Wspując sobie do ust kolejną porcję orzeszków, Daphne nie przestawała przyglądać się liście nazwisk. Na kartce były kolumny z datami i godzinami przybycia każdego odwiedzającego, jego nazwiskiem i nazwiskiem pensjonariusza, do którego przyjechał.

„Pani Plumber” odwiedziła „Boba P.”; jakaś „Isobel” odwiedziła „Russella R.”, a „Edward Smythe” przyjechał do „Nancy D.”.

Alle nic z tego nie wynikało. Daphne czuła się zdołowana. Po tym, jak instynkt okazał się jej nie mylić w kwestii pocztówek, spodziewała się, że z nieba spadną jej prosto na kolana odpowiedzi na wszystko.

Po pubie przetoczyła się fala pozdrowień. Do lokalu weszła grupa gości, a jakaś kobieta wyciągnęła z torby koronę zrobioną z kolorowego papieru.

— Zobaczmy, co już mamy — zaczęła Veronica, ale gdy dostrzegła uniesioną brew Daphne, szybko się poprawiła: — Co ty masz, oczywiście.

Najpierw pocztówki. Daphne wyłożyła je na stół, skończywszy naprędce pasztecik, by zrobić więcej miejsca.

— Jak już ustaliliśmy, pocztówki odpowiadały przystankom w podróży. Scarborough, Margate itd. To nad ich treścią musimy się teraz dokładniej zastanowić. Są naprawdę zagadkowe.

Teksty spisane były schludnie i bez charakterystycznych cech, żadnych zawijasów ani chwiejnych liter. Ich znaczenie było niejasne, ale utrzymane były niewątpliwie w jakimś ogólnym klimacie pogroźek.

Blackpool — Robactwo wraca, ale czas nigdy.

Margate — Kobiety wpadające w furię lądują w domach wariatów, a szalejący mężczyźni dostają klucze.

Scarborough — Uczciwy święty jest bardziej niebezpieczny od kłamliwego grzesznika.

— *Łaskawa* — powiedziała Veronica. Po raz pierwszy tego popołudnia — a możliwe, że i od chwili, gdy Daphne ją poznała — wydawała się wytrącona z równowagi.

Daphne była nawet zadowolona, że Veronicę wreszcie coś ruszyło.

— Co takiego? — spytała.

— Te... mogę się mylić — odparła Veronica — ale wydaje mi się, że są to cytaty z *Łaskawej*.

— Nie bardzo rozumiem...

— Z *Łaskawej i gniewnej* — sztuki Chestera.

Tej sztuki. Sztuki, którą Chester napisał i wyreżyserował ponad dwadzieścia lat wcześniej. Sztuki, która po latach wędrówek po bezdrożach teatralnej przeciętności i obojętności krytyków wyniosła go z dnia na dzień do sławy. To była jedyna sztuka, którą napisał.

— To było ostatnie słowo Tyrone'a! — wykrzyknęła Daphne, rozlewając swojego drinka i o mało nie przewracając stolika. — *Łaskawa!* Myślałam, że chciał, bym przekazała komuś to słowo — ukochanej, matce, sama nie wiem. Ale on mówił o tej sztuce!

Veronica zmarszczyła czoło.

— A więc to ta sztuka jest łącznikiem. Ta sztuka naprowadza nas na coś.

— Nie, nie tak. — Daphne zdjęła okulary. — Ta sztuka nic nam nie daje. To *morderca* naprowadza nas na sztukę, Veronico. Ten ktoś, kto zabił Roberta i Tyrone'a, ktoś, kto wysyłał kartki do Chestera. To one tworzą przekaz.

Daphne obracała szklankę z dżinem, wpatrując się w szybko topniejące kostki lodu na dnie, jakby tam kryła się odpowiedź — albo odpowiedzi. Wahała się przed wyciągnięciem jakiegoś wniosku, nie chciała spłacać wątych pasemek w nić, która mogłaby pęknąć pod jakimkolwiek obciążeniem. Te pocztówki i ostatnie słowo Tyrone'a, sztuka napisana przez Chestera... Wróciła myślami do fotografii — to tam musiała się kryć jakaś wskazówka.

Stali całą czwórką na tle tętniącego życiem baru. Uśmiechnięci, West End był jeszcze przed nimi. Chester nie napisał jeszcze *Łaskawej i gniewnej*. Tyrone nie miał jeszcze nazwiska budzącego obawę i podniecenie w sercach aktorów, których wziął na cel, a rozbawienie albo rozdrażnienie wśród

czytelników jego recenzji. Phoenix zaś, bo taka była nazwa tego pubu, o którym Tyrone wspomniał ostatniego wieczoru, był świadkiem owych młodzieńczych eskapad Chestera i Roberta.

Wyjęła fotografię z torebki i położyła obok pocztówek.

— A tak, matka anielskiego Cecila — zauważyła Veronica, zerkając na zdjęcie. — Nic dziwnego, że taka piękność urodziła prawdziwego przystojniaka.

Daphne zmarszczyła czoło.

— Daruj sobie teraz takie uwagi, Veronica. Szukamy wskazówek.

Daphne ze skupieniem na twarzy wpatrywała się w zdjęcie. Z pierwszego planu, który do tej pory przeszedł drobiazgowo, wyciągnęła wszystko, co mogło powiedzieć coś o ludziach stojących przy barze. Lewe sznurowadło Chestera było niezawiązane; Josie Milford miała dwa klipsy w lewym uchu, a tyłko jeden w prawym; Robertowi, jak się domyślała, utkwilo odrobinę szpinalu pomiędzy zębami na przodzie; muszka Tyrone'a jak zawsze była lekko przekrzywiona w lewo. Jednak drugiemu planowi do tej pory porządnie się nie przyjrzała, poświęcając całą uwagę kwartetowi z przodu.

Teraz spojrziała głębiej, na konstrukcję baru. Nie była całkiem pewna, czego szukała. Jakiejś wiadomości nabazgranej szminką, która powiedziała by jej, kto jest mordercą? Nie, pomyślała, to nie może być takie proste, a nawet — z czego zdała sobie sprawę — sama tego nie chciała. Butelki z alkoholem na półkach za czwórką z pierwszego planu niczym się nie wyróżniały, nie dostrzegła żadnych zaszyfrowanych naklejek ani hieroglifów. Na końcu baru stało parę pustych szklaneczek do piwa. Nad popielniczką unosiła się smużka dymu, a obok leżało pudełko cygar.

— Cygara Imperial — wymruczała Daphne. Ktoś już wcześniej wspomniał o cygarach Imperial. — Chester... Chester powiedział, że cygara przysłane mu przez tego... żartownisia były marki Imperial.

Robiło się cieplej. Wiedziała to. Desperacja ustąpiła podnieceniu. Ciepło, coraz cieplej. Nad barem wisiało godło pubu: feniks w płomieniach górował majestatycznie i groźnie nad barmanem.

Coś zadzwoniło w głowie Daphne.

Jakiś czas później Veronica miała opowiadać, że w tamtym momencie z twarzy Daphne odpłynęły wszystkie kolory, że wydała jakiś niezrozumiały odgłos, a jej oczy rozbleśły.

Podniosła fotografię i przytrzymała bliżej twarzy. Zmrużyła oczy. „Czy to naprawdę było to?” Jęknęła. „Za małe”. Pogrzebała znów w torebce. Zdecydowała, że nadszedł czas, by pokazać Veronice, jakim poważnym detektywem była.

— Daphne, czy to jest... lupa? — spytała Veronica z niedowierzaniem, a w jej oczach zamigotało rozbawienie.

— Naturalnie — potwierdziła Daphne obojętnym głosem. Rzadko posiłkowała się tym przyrządem, ale teraz cieszyła się, że nadeszła chwila, by z niego skorzystać. Lupa z rączką wyłożoną macią perłową i okolona mosiądzem kosztowała całkiem sporo, ale dawała jej poczucie elegancji.

— Veronica, chciałabym, żebyś przyjrzała się bliżej, jak najbliżej, temu barmanowi — poprosiła Daphne z wypiekami na twarzy. — Powiedz, co widzisz... w kieszonce jego koszuli. — Wręczyła lupę Veronice.

Veronica wpatrzyła się w zdjęcie przez lupę, coś pomruczała, a potem wykrzyknęła:

— A niech mnie! Daphne! To jest to pióro, to przekłete pióro. Jest w kieszeni barmana! — Spojrzała z podziwem na Daphne. — Masz rację, to wszystko się łączy. Bystra z ciebie sztuka!

— To znaczy, że ta fotografia, to pióro... są kluczem do sprawy. Razem z trującymi grzybami, oczywiście. Wiedziałam! Matka zawsze mi powtarzała, żebym słuchała swego serca. Myślałam, że to takie

gadanie, ale to prawda. Serce mi to wypowiedziało! — Zdawszy sobie sprawę, co właśnie powiedziała, wpadła znów w zakłopotanie.

— Moja kochana Daphne! Matki, serca czy coś innego... ale do rozwiązywania zagadki kryminalnej trzeba się po prostu porządnie przyłożyć, czyż nie?

Ta krótka riposta sprawiła, że obie się uśmiechnęły. Daphne, natchniona odkryciem pióra, wróciła do fotografii. „Tu musi być coś jeszcze, coś, co rzuci więcej światła”.

Wyraz twarzy Veroniki oscyływał pomiędzy niedowierzaniem i podziwem.

— Są tu cygara i pióro, ale w innej paczce dla Chestera była butelka jakiegoś sikacza. Nie mów mi, że odnajdziesz też identyczną butelkę na fotografii.

— Nie potrzebujemy jej: cygara i pióro wystarczą, Veronico. Te prezenty zostały wysłane przez kogoś, kto chciał przypomnieć Chesterowi ten pub — przez kogoś, kto też znał dobrze ów lokal. To było ostrzeżenie — można powiedzieć: groźba. Na samo wspomnienie tego pubu, w którym bywał przed dwudziestoma laty, miały go przejść dreszcze. Pytanie brzmi: o czym dokładnie te prezenty miały mu przypomnieć?

Daphne pograżyła się w myślach, słowa wydobywały się z niej machinalnie:

— Tyrone, Robert nie żyją. Musieli wiedzieć, co się tam stało. *Musieli*. A jeśli znali ten sekret, tylko śmierć mogła ich uciszyć na zawsze...

— Wiesz, Daphne... czy nie robisz się trochę za bardzo... podekscytowana? Czy nie stawiasz zbyt wiele hipotez?

Daphne spojrzała na nią poważnie:

— Veronico, proszę cię, nie jestem w nastroju na jakieś lekceważenie czy paternalizm. Gdybym tego chciała, to autobus do redakcji „Chronicle” zatrzymuje się zaraz za rogiem. Od ciebie oczekuję teraz skupienia!

Veronica jakby się zawstydziała, ale również zirytowała tą odpowiedzią. Uplynęła chwila milczenia, w czasie której Daphne zreflektowała się, że nawet najbardziej zdeternowany śledczy potrzebuje przecież mieć pod ręką uczynnego pomocnika. Nie mogła sobie pozwolić, by takiego pomocnika stracić.

Odwrociła się do Veroniki i westchnęła:

— No dobrze, skoro mamy już za sobą tę malutką sprzeczkę, to co powiesz o dotrzymaniu mi towarzystwa w pewnej drobnej sprawie?

30

Ta szczególna sprawa wymagała od Veroniki, by towarzyszyła Daphne w drodze do pewnej londyńskiej instytucji, która — jak wyznała — dostarczała jej od lat pomocy i godzin wytchnienia: do Foyles. Daphne bardzo polegała na tej księgarni. Czerwony napis nad wejściem zapowiadał oazę niebiańskiego spokoju pośród gorączkowego ruchu na Charing Cross Road. Regały pełne książek pociągały ją i uspokajały. Tu mogła znaleźć emocje i wiedzę, które zanosily ją daleko od jej pokoiku w Camberwell. Przeczytawszy o dziennikarskich wyczynach Nellie Bly, Daphne męczyła co tydzień znękanych księgarzy, polując na wszelkie pozycje związane choćby odlegle z Bly i jej śledztwami.

Gdy weszły do środka, jakaś profesjonalnie wyglądająca kobieta poinformowała je, że księgarnia zostanie zamknięta za godzinę.

— Niech się pani nie obawia, wiemy dokładnie, czego szukamy — odpowiedziała jej Daphne z uśmiechem.

Zatrzymując się tylko na chwilę przy dziele popularnych powieści (Daphne robiła sobie w pamięci notatki, do jakich tytułów wróci później, w spokojniejszym czasie), skierowała Veronicę w górę schodów.

— Słyszałam już opowieści o kobietach twojego pokroju: zwabiają swoje ofiary do podejrzanych księgarni i wciągają je w jakieś niegodziwości, od których nie sposób uciec — zażartowała Veronica.

— Co do niegodziwości, masz całkowitą rację, Veronico. To prawdziwe bagno moralne. Ale powinnaś się już z nim dobrze zaznajomić — odparła Daphne, wskazując napis w głębi korytarza, zapowiadający dzieła dramatu.

Veronica zrozumiała aluzję i się roześmiała.

— Zatem pozwoli mi pani towarzyszyć sobie od drogiego starego Eurypidesa, choć nie mamy dziś czasu na jego dionizyjskie bachanalia. Idźmy zatem dalej, nie zatrzymując się przy Johnie Fordzie. No i jesteśmy: H — jak Harrison. *Łaskawa i gniewna*.

Obie usiadły na podłodze przed regałem, z książką, którą musiały przejrzeć.

— Powiesz mi, czego właściwie szukamy, Daphne? — zapytała jej towarzyszka, gdy zdała sobie sprawę, że demonstracyjne westchnienia ani powtarzanie, że butelka wina ułatwiły im bardzo zadanie, nic nie dadzą.

Daphne oderwała wzrok od książki i przygryzła dolną wargę.

— No cóż, to jest pewien problem... nie potrafię dokładnie powiedzieć, na co teraz polujemy. Będę to wiedziała, jak już znaję. Chodzi o coś osobliwego, coś, co cię uderzy jako... godne uwagi — odparła.

— Godne uwagi, no tak... Dziękuję, panno King, za tak ściśle ukierunkowane i szczegółowe instrukcje. Może dla większej ścisłości powinnyśmy się bardziej skupić na wróżeniu z fusów albo z kart tarota — rzuciła Veronica, wertując na chybił trafił książkę. — Wiesz, że przeczytałam to już parę razy? Chester był dla mnie bohaterem po napisaniu tego. Ja byłam wtedy podlotkiem, miałam ze trzynaście albo czternaście lat, ale ta sztuka zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Tak więc nie patrzę na ten tekst całkiem obiektywnie.

Daphne uśmiechnęła się szeroko.

— Właśnie dlatego potrzebna jest tu twoja obecność. Zważywszy, że spędziłaś lata, ślęcząc nad słowami Chestera, będę ci wdzięczna za interpretację każdej linijki, która wyda mi się...

— ...godna uwagi — skończyła Veronica.

— Właśnie. A skoro jesteśmy przy temacie pisarstwa... Czy Chester, czytając twoją sztukę, udzieliłby ci jakichś warsztatowych rad, których potrzebujesz? — zapytała Daphne obojętnym głosem, patrząc na fotografię Harrisona na przedtytułowej stronie książki. Miał na sobie czarny sweter i apaszkę na szyi. Pięścią podpierał sobie szczękę, a od sygnetu odbijało się światło.

— Hmm... Doszłam do wniosku, że Chester raczej nie maczałby palców we współczesnym teatrze europejskim — odparła Veronica.

Kilku klientów przeszło obok ich zaimprovizowanej czytelnicy, co przypomniało Daphne, że goni je czas.

— No tak. Czytając to, nie można powiedzieć, żeby styl Chestera jakoś szczególnie pasował do twojego... ze zgrzytaniem zębami i jeżeniem włosów na głowie — zauważyła Daphne. — Moim zdaniem mnóstwo to moralizowania i poczkania. Myślałam, że Chester był za młodu... trochę rozrabiaką, a nie takim kaznodzieją: „Gdzie wina udowodniona, niech spadnie tam kara”.

— Myślę jednak, że te sceny po francusku są pikantniejsze. Ale po francusku uchodzi więcej, *n'est ce pas?* — Francuski akcent Veroniki był niemal równie przekonujący jak szkocki Donalda w Little Grinton.

— Możesz powtórzyć? — Daphne strzeliła oczami do Veroniki.

— *N'est ce pas.* To znaczy...

— Wiem dobrze, co to znaczy. Ale o jakich francuskich scenach mówisz? Gdzie są francuskie sceny? — Daphne wertowała strony, aż Veronica wskazała jej scenę czwartą w akcie trzecim:

Isobel: *Est-ce que ça peut être toi? Mon cher frère?*

Rostand: *Ma sœur! Bien que nous ayons été séparés, nous nous élèverons ensemble, forts!*

Daphne poczuła szum w głowie. Więź między rodzeństwem, żal, siła — tym tematom poświęcona była sztuka. Różne pomysły tasowały się w jej głowie, wskakując w końcu na swoje miejsce.

— Veronico, nie musisz już dłużej szukać — powiedziała. — Musimy za to odwiedzić jeszcze dwa miejsca: posterunek policji i pub Phoenix. Niekoniecznie w tej kolejności. *Allons-y!*

31

W ciągu poprzednich dwudziestu czterech godzin Daphne zyskała taką wiarę w swoje zdolności i ufność w swój instynkt, jakich nie doświadczyła nigdy wcześniej. Z dala od dusznych pomieszczeń „Chronicle” i tego protekcjonalnego uśmiechu, jakim kwitował jej wszystkie propozycje Martin Halliday, poczuła się wyzwolona. Była pewna, że jej szalony plan zadziała. Wszystko, co powiedziała jej Veronica, wszystko, co zebrała, wszystko, co wyczytała, prowadziło ją do jednego wniosku.

Pub Phoenix znajdował się niedaleko Charing Cross Road i najzupełniej w stylu Daphne pojechały tam autobusem. Ta niedługa jazda pozwoliła Daphne i Veronice rzucić okiem na witryny sklepów i pubów ozdobione bombkami i świątecznymi dekoracjami. Daphne zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w ostatnich dniach czuje bożonarodzeniową atmosferę. W jakiś dziwny sposób to rozwiązywanie kryminalnej zagadki, ta pogoń za mordercą wydawały się budzić w niej cieplejsze świąteczne emocje.

Wyskakując z autobusu, Daphne przypomniała Veronice swój plan — nie tylko co do ich odwiedzin w pubie, ale i późniejszych godzin wieczornych. Plan ten obejmował telefoniczne złapanie Alfreda w Regency i zapoczątkowanie ostatecznych kroków, które należało teraz podjąć.

— Wiesz, Daphne, wszystko to brzmi dla mnie trochę... niedorzecznie — mruknęła Veronica, gdy Daphne dzieliła się z nią nowo przyjętą strategią. — Ale masz szczęście, bo niedorzeczność to też charakterystyczna cecha moich pomysłów. I znam swojego brata — on z radością na to przystanie. Przyzwyczył się do takich rzeczy w teatrze.

Wewnątrz pubu czuło się mocno atmosferę Bożego Narodzenia. Pianino w rogu otoczone było gośćmi wywijającymi nad głowami swoimi pintami piwa i dołączającymi do pianisty, gdy ten zawodził: „*Oh, what fun it is to ride in one-horse open sleigh!*”. Daphne przyszło do głowy, że byłaby szczęśliwsza, gdyby nie atakowały jej tak często świąteczne piosenki.

Lokal, który chlubił się wysokim sufitem i efektownymi żyrandolami, wydawał się ugiąć pod ciężarem dekoracji świątecznych. Nie było ani jednego kąta bez girlandy albo srebrnych aniołków grających na trąbkach. Daphne i Veronica musiały się wprost przepychać przez rozbawiony tłum do baru.

Za kontuarem barman i barmanka zwijali się jak w ukropie przy realizacji zamówień, co czyniło daremnymi wszelkie próby porozumienia się z nimi. Daphne przyjrzała się twarzom ludzi z obsługi. „Za

młodzi, o wiele za młodzi, o wiele... Aha!” Ten gość około sześćdziesiątki, z przerzedzonymi rudymi włosami i starannie przystrzyżonym wąsikiem, był w odpowiednim wieku. Daphne zamknęła oczy i wzniosła ciche błaganie do bogini Temidy: niech to będzie mężczyzna, który pracował tu w 1912 roku!

Daphne zwróciła w końcu jego uwagę i zbliżył się do niej, nadstawiając ucha.

— Bardzo przepraszam, czy mogę pana prosić... — zaczęła przekrzykiwać tłum.

Veronica przerwała jej, wzięła z jej rąk fotografię i pokazała mężczyźnie.

— Zna go pan?

— Jego? No pewnie! — wykrzyknął bez potrzeby dłuższego przyglądania się zdjęciu.

— Można na słówko? — krzyknęła Veronica, wciskając parę szylingów w dłoń mężczyzny. Kiwnął głową, wskazując Daphne i Veronice jakieś drzwi, a one przepchnęły się tam przez tłum pijących.

Mężczyzna podążył za nimi do składziku, niosąc butelkę wina i trzy kieliszki.

— Jeśli się nie mylę, wydajecie się panie szukać jakichś pikantnych informacji — powiedział. — Przy okazji: jestem Gary. Miło was poznać.

Kiwając głową w stronę obu pań — gdyż kiwanie głową wydawało się jego zasadniczym sposobem komunikacji — napełnił kieliszki ciemnoszkarlatnym winem. Zza drzwi doszedł odgłos jakiegoś upadku, a potem nastąpiły toasty.

— Muszę się tym zająć, bo nie wiadomo, co się tam wyprawia. Więc jeśli będą panie tak miłe i powiedzą mi, o co wam konkretnie chodzi, to postaram się was zadowolić i tak dalej... — powiedział Gary z jakimś sprośnym lypnięciem okiem.

— Interesuje nas wszystko, co może nam pan powiedzieć o tym człowieku — wyjaśniła Daphne z wystudiowaną obojętnością. Spotykała już mężczyzn typu Gary’ego. Wszelka reakcja była dla nich zachętą. Tak to już był urządzony ten świat. Westchnęła, ale tylko wewnętrznie.

— O tak! Pamiętam go dobrze. Myślę, że przez jakieś cztery lata spędzał tu mnóstwo czasu. Zawsze wygłaszał jakieś poetyckie trele-morele. I zawsze coś tam gryzmołił. Zdolny gość. Na pewno zdolniejszy od tej hałasty, co się tu kręciła. A co się z nim stało?

Daphne i Veronica wymieniły spojrzenia.

— No właśnie, Gary, to jest dobre pytanie — odparła Daphne.

32

Gdy znalazły się znów w autobusie, Daphne poprosiła Veronicę o ciszę. Siedząc obok siebie, rozważały wydarzenia minionej doby. Veronica nie mogła się nacieszyć sytuacją, w której teraz się znalazła: była swego rodzaju Watsonem towarzyszącym umysłowi działającemu z niepojętą sprawnością i precyzją. Operacje myślowe Daphne wykraczały po prostu poza rozumienie Veroniki. Zwykła się uważać za najbystrzejszą dziewczynę w towarzystwie — i wielokrotnie było tak w istocie. Ale gdy pojawiła się Daphne, Veronica musiała sobie zdać sprawę, że przyjdzie jej grać drugie skrzypce. Niektóre wydarzenia rozumiała, łapała związek pomiędzy tym grzybami, pocztówkami i domem starców. Innych faktów, które przed nią ujawniano, nie mogła pojąć mimo najszczerzych starań — dotyczyło to niektórych związków w sprawie, ustalonych przez Daphne, która tłumaczyła jej wprawdzie znaczenie tych krzyków podsłuchanych przez Irene — kłótni pomiędzy Robertem i George’em Salterem — a mimo to nie potrafiła

się połapać, co z tego wynikało. Jak Daphne do tego wszystkiego doszła? Veronica spoglądała na nią ze zmarszczonym czołem, przygryzając swoją dolną wargę.

Umysł Daphne pracował na pełnych obrotach. Dziś podjęła już kilka ryzykownych decyzji, ale wszystkie były starannie przekalkulowane. Niedługo, bardzo niedługo podejmie największe do tej pory ryzyko — konfrontacji z mordercą.

— No i jesteśmy! — stwierdziła wesoło, gdy autobus zwołnił przed komendą policji na Central West End. Jakby na przekór tej dumnej nazwie komenda — bezbarwny aż do bólu gmach, pozbawiony wszelkiego charakteru — działała odpychająco na wszystkich przechodniów.

— O Boże — westchnęła Veronica — nie mogę się wprost doczekać spotkania z naszym kochanym chłopakiem!

Pytając w recepcji o inspektora Marklowa, Daphne kołysała się na piętach.

— Dobrze się czujesz? — spytała Veronica, pochylając się ku niej. — Możesz być zadowolona z siebie, ostatecznie wszystko idzie po twojej myśli.

— Tak, po mojej myśli... dziękuję ci, Veronica.

Zegar za kontuarem recepcji pokazywał już prawie wpół do siódmej. Czas leciał, nie zważając na czyjeś plany.

— A, jest pan, inspektorze — powiedziała Daphne, widząc nadchodzącego Marklowa. Minę miał nieszczególną. — I jak tam przesłuchanie pana Hartfortha?

Marklow westchnął:

— Wiesz dobrze, jak to się odbywa — beznadzieja. Ten człowiek jest zasmarkanym wrakiem. Powtarza tylko w kółko, że to nie on, że tylko... — Marklow zerknął do swojego notesu — „chciał się trochę zabawić”. No dobrze, wiem, co takie teatralne typy uznają za „zabawę”. Nasłuchałem się aż za dużo takich bredni, że bym wypuścił go z rąk. Wydobędziemy od niego wszystko.

Daphne odchrząknęła:

— Marklow, nie cierpię ci się przeciwstawiać, ale to nie Donald.

— Ciągłe to powtarzasz, King. Ale nie ma nic, co by go uratowało od stryczka. Nie ma alibi w przypadku obu morderstw, no, oprócz zeznania tej młodej Juniper.

— Pozwól mi pospekulować o tym anonimowym donosie — wtrąciła się Daphne. — A może nie było tylko jednego telefonu, tylko dwa telefony do komendy?

Marklow nie odpowiedział, ale twarz mu się zachmurzyła.

— Zalóżę się, że jeden z tych telefonów, ten pierwszy, został odebrany o... jakiejś jedenastej przed południem. Z budki telefonicznej poza Londynem, może... z Surrey? Niech mi będzie wolno zaryzykować hipotezę, że ten drugi telefon nastąpił około wpół do czwartej — z aparatu, którego numer, tu już mocno zaryzykuję, należy do Regency Hotel? — Daphne wydawała się tak zadowolona z siebie, że nie potrzebowała już gratulacji w postaci potwierdzenia przez Marklowa jej domysłów.

— Jak ty, do diabła, na to wpadaś? — warknął Marklow.

— Bo, inspektorze, Donald Hartforth wykonał te telefony sam, pokazując, jakim jest głupkiem — wyjaśniła Daphne. — Był ze mną przez cały ranek, słuchając mnie, drugiego głuptasa, chełpiącego się całkowitą pewnością co do możliwości wytopienia prawdziwego zabójcy.

Veronica dostarczyła Marklowowi brakujących elementów tej układanki:

— Donald zrobiłby wszystko, żeby się znaleźć w blasku fleszy. Słyszał pan to jego wykrzykiwanie: „Sprawiedliwość dla Hartfortha!”. Ten człowiek ma szajbę na punkcie sławy. A będąc fałszywie

oskarżonym o morderstwo, a następnie wypuszczonym po zdemaskowaniu przez naszą bystrą Daphne prawdziwego zbrojcy, ten nasz kochany głupi Donald znalazłby się na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Daphne wyjaśniła, że wiedziała to w zasadzie już po jakichś dziesięciu minutach zastanawiania się nad aresztowaniem Donalda i towarzyszącym temu okolicznościom. Oczywiście nie spodobało się to bardzo Marklowowi. Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę, ile czasu i policyjnych środków zostało zmarnowanych na takie głupstwo? Jakiej apopleksji dostała Nessa, gdy przez dwa kolejne wieczory nie zdołał wrócić do domu w porze herbaty?

— Tak — przyznała Daphne, drapiąc się w głowę. — Przykro mi z tego powodu. Musiał pan dostać za swoje. I dlatego przynoszę dobre wiadomości: wiem, kto jest mordercą. Proszę mi dać godzinę i dostarczę sprawcę do pana rąk własnych. A teraz: czy moglibyśmy odzyskać naszego drogiego pana Hartfortha? Proszę...

33

Na polecenie Daphne Veronica zadzwoniła do Regency Hotel, by porozmawiać z Alfredem. On zaś, zastosowawszy się do jej instrukcji, zebrał innych, pukając do ich drzwi albo namierzając ich w barze. Oczywiście niektórzy byli oporni — Irene nie mogła znaleźć żadnego powodu, by spędzić jeszcze jakiś czas w tym towarzystwie. Alfred jednak wykorzystał swój wrodzony urok, który czynił go doskonałym wysłannikiem w tej sprawie, i wszyscy dali się namówić, by ostatni raz pójść do Theatre Royale. Policja opuściła już budynek, skończywszy przeprowadzanie przeszukiwań i zbieranie dowodów.

Pusty teatr jest jak nawiedzony dom, jak okręt widmo. Rozsiadłszy się wokół opuszczonej sceny, zespół czekał jak dusze czyścicowe. Jakby w zgodzie z nastrojem chwili nierozbrane nagrobki na scenie tkwiły tam jak niemi świadkowie spektakli, które miały nastąpić. Spektakli urażonej niewinności, spektakli zaskoczeń, spektakli zarzutów.

W jednym z tych spektakli miał wystąpić Cecil — z ramionami założonymi na piersi na znak zniecierpliwienia. Gdy Alfred ich zwotywał, Theodora popijała sherry w hotelowym barze w towarzystwie Lilian Rogers. Teraz panie czuły się nieswojo: Lilian machinalnie poprawiała swoje czarne rękawiczki, a przygnębienie Theodory pogłębiało się z każdą chwilą. George Salter, skwaszony i nieporuszony jak zawsze, zajął miejsce po lewej stronie sceny. Chester przywitał się kordialnie z Daphne i Veronicą.

— Tkwimy tu w niewiedzy. Co tym razem wysmażyłyście?

Veronica i Daphne wymieniły spojrzenia.

— Chciałybyśmy, żeby wszyscy wysłuchali najnowszych wiadomości...

Jak przewidywała, ten gambit był tak enigmatyczny, że przyciągnął uwagę wszystkich.

— Rozmawiałam wcześniej z policją, z inspektorem Marklowem — kontynuowała Daphne, rozglądając się po twarzach słuchaczy. Ile winy zdradzą? Kto zamruga odrobinę za szybko? Jej podejrzenia skupiły się na tej właśnie chwili. Puste twarze przed nią nie dawały jednak żadnych oznak, że jej hipotezy były trafne. — No i ten człowiek przekazał nam wieści, dobre wieści. Można powiedzieć: cudownie uspokajające.

— Kochanie, bardzo nie chcę tego powiedzieć, ale grasz nam na nerwach — powiedziała Theodora. — Wyrzuć to wreszcie z siebie, proszę.

— No więc: to nie był Donald — powiedziała Daphne z chłodnym wyrazem twarzy, ciągnąc to przedstawienie. — Śmierć Roberta, śmierć Tyrone'a... te morderstwa... Donald nie miał z nimi nic wspólnego.

Irene, która siedziała na wprost sceny, podskoczyła triumfalnie.

— Mówiłam ci, *mówiłam!* Nigdy ci nie wybaczy, kiedy się dowie, jak łatwo połknęłaś tę policyjną podpuchę. Jeden wielki nonsens. Kiedy go wypuszczą?

— Jest pewien szkopuł — wtrąciła się Veronica. — Nie jest już w areszcie za morderstwo — trzeba się cieszyć z tego powodu — ale trzymają go za utrudnianie śledztwa i marnowanie czasu policji. Marklow mu tak łatwo nie przepuści. Będzie go chciał podduśnić jeszcze przez jakiś czas.

Lilian Rogers obruszyła się na to:

— No i co takiego ten nasz kochany chłopak zbroił? Tyle że zrobił z siebie kompletnego głupka.

— No właśnie, tak się stało. Donald... no cóż, sam się w to wpakował. Ubzdurał sobie, że będąc niesłusznie aresztowanym za morderstwo, zdobędzie większą popularność. Dlatego tak wrzeszczał: „Sprawiedliwość dla Hartforth!” i tak dalej. Ta jego zagrywka z Marklowem miała kilka faz. Najpierw zadzwonił anonimowo na policję, donosząc na siebie. Ale nie bardzo wiedział, co dalej robić. Wpadł w panikę, gdy zdał sobie sprawę, w co się wpakował — chodziło w końcu o dwa morderstwa. Wszystko to naprawdę głupie — wyjaśniła Daphne, wzbudzając odgłosy niedowierzania.

— To jest z gruntu niedorzeczne — zachnął się Chester. — Co on sobie, u licha, myślał?

— Myślał o rozwoju swojej kariery, tak mu się przynajmniej wydawało — powiedziała Veronica.

— Trudno o bardziej idiotyczny plan — powiedziała Lilian głosem pełnym pogardy.

Ku zaskoczeniu wszystkich zebranych Irene znów zaczęła krzyczeć:

— Nie mów tak o nim, Lilian. To przede wszystkim *twoja* wina, że wpakowaliśmy się w to bagno. To ty przekonywałaś nas, żebyśmy w tym zagrali! A żadne z nas nie chciało! To twoje gadanie o cennej lekcji od doświadczonych mistrzów — co za bzdury! To było szambo od samego początku do końca. Jeśli wysłał za to Donalda na stryczek, to jego krew zostanie na twoich rękach. — Irene, z twarzą czerwoną z emocji, wskazała na Lilian.

— Kochanie, jeśli już skończyłaś... — odparła spokojnym tonem Lilian — to sędzę, że najważniejsze, byś zrozumiała, że nie wieszają ludzi za imbecylizm. Przynajmniej pod tym względem Donald jest bezpieczny.

Theodora zachowywała milczenie, a jej oczy utkwione były od samego początku w Daphne.

— Powiedziałaś, że były to dobre wieści, „cudownie uspokajające”. Mogłabyś to uściślić?

Daphne była tak pochłonięta intensywnym śledzeniem twarzy zgromadzonych — a zwłaszcza jednej twarzy — że potrzebowała chwili, żeby odpowiedzieć.

— No tak: Donald nie zamordował Roberta i Tyrone'a... Zrobił to ktoś inny — tak ogólnie mówią na policji. Marklow podejrzewa, że to był ktoś, kto żywił do nich jakąś mocną urazę. Analizuje informacje, które mu podaliśmy.

Theodora miała teraz wściekłe spojrzenie.

— Brawo! Pan inspektor to istny jasnowidz. Cóż za wróżbita! Oczekujemy z zapartym tchem jego następnych wizji!

Nastrój w teatrze zrobił się jeszcze mroczniejszy. Wydawało się, że całe towarzystwo nie wiedziało, gdzie czy podziąć, nie mówiąc już o spoglądaniu jeden na drugiego.

— Nie masz żadnych przemyśleń na ten temat, Chesterze? — Daphne próbowała utrzymać swoje pytanie w nonszalanckim tonie, jakby to była myśl, która przebiegła jej mimochodem przez głowę. Ale nie zabrzmiało to całkiem przekonująco.

Chester nawet nie bardzo się starał ukryć swoje zaskoczenie. Wystraszony zerknął zaraz na Theodora, która odpowiedziała mu spojrzaniem bez zmrużenia oka.

— Przemyśleń? O co ci chodzi? Jakich przemyśleń?! — wybuchnął Chester. — Nie wiem, co pani sugeruje, panno King, ale sądzę, że wszyscy mamy już tego dość. Wysłuchaliśmy pani wieści i myślę, że najlepiej będzie, jeśli powrócimy teraz wszyscy do Regency. Im szybciej opuścimy Londyn i pojedziemy do domu, tym lepiej.

Daphne wzięła głęboki oddech. Nadszedł *ten* moment.

— Oczywiście. Chociaż na twoim miejscu byłabym bardzo ostrożna, Chesterze — stwierdziła. — Morderca nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I sam o tym wiesz.

Szloch Irene nagle się urwały. Kamienny wyraz twarzy Cecila raptownie się załamał pod ciężarem szoku. Nawet Alfred przestał kołysać nogą. Chester z oburzeniem spytał Daphne, co sobie, u diabła, myśli, rzucając wokół oskarżenia.

— Co ty właściwie sugerujesz, Daphne? — spytał cicho Cecil, podchodząc do Chestera i kładąc mu dłoń na ramieniu w uspokajającym geście.

— Sugeruję, Cecilu, że Chester wie znacznie więcej o tym, co się wydarzyło, niż do tej pory powiedział. Że zawsze wiedział o tym znacznie więcej. Nikogo nie zabił, ale jest przynajmniej częściowo odpowiedzialny za śmierć tych dwóch ludzi — odparła Daphne równie spokojnym głosem.

Chester milczał, strzelając tylko oczami to w stronę Daphne, to swej żony. Theodora uniosła dłoń do twarzy, zasłaniając oczy w geście wyczerpania.

— Gra skończona, Chesterze — powiedziała, nie odrywając dłoni od oczu. — Popatrz tylko, jak nasza panna King cię wywęszyła. Mówiłam ci, jaka to fatalna głupota pozwolić jej tak długo kręcić się tutaj.

Alfred był zupełnie skonfundowany.

— Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co tu się właściwie dzieje?

— Właśnie, czy moglibyśmy wreszcie przestać owijać wszystko w bawełnę? — Lilian stała z rękoma założonymi do tyłu. — Chesterze, czy mógłbyś nas oświecić?

Daphne obserwowała Chestera. Wydawał się rozpatrywać różne wyjścia z sytuacji. Czekala więc — i wszyscy czekali. W końcu Theodora przerwała to milczenie.

— Dla jasności: Chester nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami. *Nic*. Obawiał się o swoje życie od śmierci Roberta. A właściwie żył w strachu od miesięcy, od kiedy zaczęły przychodzić te paczki — i pocztówki. — Theodora mówiła jak mocno zaangażowana obrończyni. Spojrzała na swojego męża. Chester siedział z opuszczonymi ramionami. Cienie i bruzdy na jego twarzy nie dodawały mu już godności; wyglądał na znękanego i wypalonego.

Ta deklaracja wydawała się rozwiewać obawy Alfreda.

— Więc on nie jest winny... Nikogo nie zabił? Przez chwilę myślałem, że to właśnie miałaś na myśli, Daphne! Już ty wiesz, jak wystawiać ludzi do wiatru...

— Oczywiście, że Chester nie jest winny morderstwa, nie wspominaj nawet o takich głupstwach! — rzuciła Theodora.

— Nie, nie jest winny morderstwa — potwierdziła Daphne — ale nie jest też całkiem niewinny.

— Daphne, do diabła! — Irene zaczęła się teraz przechadzać. — Czy możesz skończyć z tą ciuciubabką? Co tu się, do cholery, wyrabia?

— To wszystko przeze mnie... — Głos Chestera był słaby i niezdeterminowany. — Oni... oni zginęli przeze mnie. Przez coś... co zrobiłem. Ponieśli karę za moje czyny.

Daphne westchnęła z ulgą. Instynkt jej nie zawiódł.

— To prawda. A w końcu: „Gdy wina udowodniona, tam musi przyjść kara”. Czyż nie tak, Lilian?

To było ryzykowne posunięcie, ale Daphne musiała to ryzyko ponieść. Lilian przestała poprawiać rękawiczki i spojrzała na Daphne. Reszta obecnych wydawała się wstrzymywać oddech.

— Co proszę, panno King? — odezwała się Lilian bez śladu drżenia w głosie.

— Właśnie to nam powiedziałaś parę godzin temu, Lilian. Po tym, jak aresztowali Donalda — wyjaśniła Daphne. — To samo napisano na jednej z pocztówek, które wysłałaś do Chestera. No i jest to oczywiście cytat z *Laskawej i gniewnej*. Sztuki, którą napisał twój brat.

Na te słowa Chester załamał się zupełnie, wydając jakiś jęk. Zakolysał się, jakby miał zaraz upaść. Theodora i Cecil chwycili go za ramiona. Alfred zaprotestował. Veronica powiedziała bratu, by zamilkł i pozwolił Daphne wytłumaczyć sprawę.

Theodora zwróciła się do Lilian:

— O czym ona mówi? Co to za bzdury? *Twój brat?* — W głosie Theodory nie było już nic z tej stalowej stanowczości, jaką wykazywała jeszcze tak niedawno.

Lilian uśmiechnęła się. Westchnęła i podeszła przed środek sceny, tyłem do reszty. Minęła chwila, w trakcie której żołądek Daphne wywinął kilka koziołków.

— O, Theodoro, ty zawsze lubiłaś przymykać oczy na błędy swojego męża — powiedziała Lilian, odwracając się twarzą do obecnych. — To dość specyficzny rodzaj męczeństwa, ale tobie się podobał. Przez te wszystkie lata chroniłaś go przed jego własnymi słabościami i porażkami. Co właściwie *myślałaś* o tych wszystkich *prezentach*?

— Ja, ja... — zaczęła się jąkać Theodora — wiedziałam, że są od kogoś z przeszłości Chestera. Od jakiejś kobiety, którą może... skrzywdził w jakiś sposób. Od kogoś... kto chciał, by pamiętała, żeby to nim wstrząsnęło.

— No tak. Twoje rozumowanie było poprawne — odparła Lilian, a w jej głosie pojawiła się nagła pasja, gdy patrzyła na Chestera. — Chciałam, żebyś pamiętał. Chciałam, żebyś się bał. I Robert. I Tyrone też. Wy wszyscy cieszyliście się o wiele za długo słodkim życiem. Bez żadnych konsekwencji za swoje czyny, bez żadnej *kary*. Tymczasem talent mojego Russella — jego przyszłość — został zabity i pogrzebany na dwadzieścia lat.

W wodnistych oczach Chestera pojawiła się iskierka zrozumienia, drgnienie pamięci.

— Czy to prawda? To, co Daphne powiedziała? On jest... twoim bratem?

Alfred mileżał od pewnego czasu, ale nie mógł się już dłużej powstrzymać.

— Strasznie mi przykro, że się wtrącam, naprawdę, ale skoro wszyscy tu zostaliśmy wezwani, to powinno się nam wyjaśnić, o co tu, do diabła, chodzi!

Ten rzadki pokaz stanowczości brata Veronica skwitowała przelotnym uśmiechem. Zaraz jednak nadała swej twarzy wyraz powagi, a potem wyjaśniła krótko:

— Chester nie napisał *Laskawej i gniewnej*. Zrobił to brat Lilian. Ale Chester przypisał sobie autorstwo, a Robert i Tyrone przyjęli tę wersję.

Daphne pogrzebała w torebce i wyciągnęła tę fotografię. Podala ją Chesterowi.

— Zobacz. Ty, Tyrone, Robert. Matka Cecila naprowadziła mnie na zły trop, ale tylko na chwilę.

Wtrącił się Cecil:

— Moja matka?! Co moja matka ma wspólnego z tym wszystkim?

— Chodzi o to, Cecilu, że nic. Nie ma z tym nic wspólnego. Ale przez jakiś myślałam, że jest inaczej. I że... ty masz z tym coś wspólnego. Ale dojdę do tego, obiecuję. Wcześniej jednak pozwól mi wyłożyć tę historię w najprostszy możliwy sposób. Otóż odwiedziłam pub Phoenix i pokazałam tę fotografię kierownikowi. Pracuje tam od dziesięcioleci, znał was wszystkich ze zdjęcia — tę hałastrę, jak was nazwał. Z początku nic to nie dawało, wydawał się raczej zainteresowany wciśnięciem nam rezerwacji stolika na sylwestra. Ale gdy przyjrzał się dokładniej fotografii, okazało się, że nasza wizyta warta była zachodu.

Daphne wskazywała nie na postaci z pierwszego planu, tylko na bar. Za nim nalewał piwo barman, odwrócony półprofilem. Człowiek o jakieś dwadzieścia lat młodszy od Chestera na zdjęciu, który już wtedy był w średnim wieku.

— Ten kierownik, Gary, jest bardzo dumny ze swojej pamięci do nazwisk i twarzy, szczególnie jeśli chodzi o pracowników. Natychmiast przyszło mu na myśl to nazwisko: Russell Rogers.

Chester skrzywił się na te słowa, a pasja Lilian jeszcze się wzmogła.

— Tak, Russell Rogers. *Prawdziwy* autor tej sztuki, która z *ciebie* zrobiła gwiazdę. Wylansowała cię. Sztuki, którą *ukradłeś*.

— Chesterze, czy to... jest prawda? — Dłoń Theodory zsunęła się z ramienia męża, gdy płaczącym głosem zadawała to pytanie.

— Aha! Więc i to ukrył przed tobą, Theodoro? Mój Chesterze, jaki oszust z ciebie — powiedziała Lilian, delektując się wyraźnie faktem, że Theodora nie była świadoma fundamentów kariery męża.

Cecil, wciąż wspierający Chestera, zmarszczył czoło.

— Chester ukradł sztukę twojego brata? Ale to było, jeśli już, dwadzieścia lat temu. Dlaczego nie zrobiłaś nic wcześniej? I po co te *morderstwa*, Lilian? Na pewno...

— Na pewno co, Cecilu? Na pewno powinnam poinformować policję w 1912 roku? Siedemnastoletnia dziewczyna idzie na posterunek, żeby oskarżyć pewnego bogatego mężczyznę w średnim wieku o kradzież sztuki napisanej przez jej brata. Wyśmialiby mnie. Ale ja nie zapomniałam. Mijały lata, sława Chestera rosła, ale pewnego dnia kropla przelała czarę. Wiedziałam, co muszę zrobić. W tym świecie, Cecilu, trzeba samemu przejąć kontrolę; poleganie na możnych mężczyznach prowadzi tylko do rozczarowań, i to w najlepszym razie.

Alfred wciąż był zdezorientowany.

— To dlaczego twój brat niczego nie zrobił?

— Robił — powiedziała jasno. — Ale był chłopakiem z Brixton, barmanem bez żadnych koneksji, bez znanego nazwiska, bez bogatych przyjaciół. Nikt go nie słuchał. On i ja mieliśmy tylko siebie — i teatr. Po godzinach w pubie wciąż pisał. Miał tyle cudownych pomysłów, tyle do powiedzenia. Ale nie wiedział, jak dotrzeć ze swoimi sztukami do odpowiednich ludzi. A potem Chester i jego... ferajna zaczęli przesiadywać w tym pubie.

W tym momencie spojrzenie Lilian nabrało jeszcze mocy. Chester wykręcał dłonie ze wzrokiem wbitym w jakiś nieokreślony punkt podłogi. W końcu zaczął mówić:

— Powiedział nam, że coś napisał. Taki był ufny, szczery. Ja od lat kisilem się przy reżyserowaniu jakichś nijakich, ogłupiających sztuczedeł. Owszem, uważano mnie za profesjonalistę, ale nikt nie myślał, że mógłbym zrobić coś... nowego, nowoczesnego. Byłem już tym śmiertelnie znudzony. Przeczytawszy tę

sztukę — *Laskawą i gniewną* — już wiedziałem, że to będzie sukces. Mogłem się wyrwać z tego nudziarstwa i pokazać ludziom, że stać mnie na coś wartościowego.

— Więc *zabrałeś* tę sztukę. On ci zaufał, a ty mu ją *ukradłeś*. — Lilian nie mogła pozwolić, by Chester wyrwał z jej rąk kontrolę nad opowieścią o bracie. — A kiedy twoja gwiazda się wznosiła, jego tonęła. Widział, jaki sukces odniosła ta sztuka, ale zdawał sobie sprawę, że nie zmusi nikogo do uwierzenia, że to była jego sztuka. Ten smutek, to rozżalenie, *wstyd*, że tak ci zaufał... Obserwowałam to wszystko. Próbowałam mu pomóc. Zaczął pić. Stara, oklepana historia. A pewnej nocy, gdy po pijanemu nie wiedział dobrze, gdzie idzie, został potrącony przez taksówkę na Lambeth Bridge.

Theodora i Chester patrzyli na Lilian.

— Tak... tak mi przykro, tak bardzo, Lilian — wyjąkał Chester. — Gdybym wiedział, że doprowadzi to Russella do śmierci...

— Śmierci? — wyrzuciła z siebie Lilian. — O nie, Chesterze, Russell *nie zginął*. Ten wypadek wpędził go w trwale kalectwo, ale nie zabił. Nie, Russell *żyje*, tyle że jego... zdolności ucierpiały. Mieszka w domu opieki w Little Grinton. I nawet nie próbuj mi mówić, że tego nie zrobiłeś, że nigdy nie zawiódłeś zaufania mojego brata. Miałeś lata, by się oczyścić. Przez chwilę byłam nawet na tyle głupia, by myśleć, że możesz zdobyć się jeszcze na uczciwość i powiedzieć wszystkim, że to było fatalne nieporozumienie. Szybko by ci to zapomniano, ale nie — wielki Chester Harrison potrzebował całego tego splendoru, tych pochlebstw, które mógł zyskać na karierze zbudowanej na kłamstwie. No a teraz masz to. Konsekwencje swoich uczynków. Twoi przyjaciele nie żyją, żona już wie, że jesteś kłamcą. Sam wstyd byłby dla ciebie za małą karą, a taki finał zyskał coś z poetyckiego zrzędzenia sprawiedliwości.

Przez pełną minutę nikt się nie odzywał; wszystkim odebrało mowę z niedowierzania. Że Chester dopuścił się tak wyrachowanego oszustwa... Że Lilian Rogers — właśnie ona — była podwójną morderczynią.

— Myślę, że powinniśmy ci podziękować, Daphne, za ujawnienie tego wszystkiego. Wydaje się, że zapobiegło to zamordowaniu mojego męża — powiedziała Theodora głosem dziwnie wyzbytym emocji. — Jak na to wpadłaś?

Daphne w jakimś oszołomieniu słuchała opowieści Lilian. Gniew i uraza tej kobiety były tak ostre, że nie steepił ich nawet upływ dwudziestu lat. Uświadomiła sobie, że osoba tak zapiękla w gniewie może być całkowicie nieprzewidywalna. Lilian pokazała, że jest mściwa i gwałtowna; a co będzie, jeśli obróci swój gniew przeciw Daphne albo komukolwiek innemu? Z drugiej strony: co mogło powstrzymać tę kobietę przed próbą ucieczki? Daphne uświadomiła sobie jedynie, że gniew Lilian nie był ślepy; wręcz przeciwnie — był dobrze ukierunkowany. A ucieczka i tak nic by jej teraz nie pomogła.

— Tak... powiedz nam teraz, droga panno King. Zastanawiałam się, jak wpadłaś na to, że to ja — lut szczęścia czy jakieś zdolności nie z tej ziemi? Jedno czy drugie? — spytała Lilian.

— Co do moich zdolności, są one absolutnie z tej ziemi — odparła Daphne bez zwłoki. — W rzeczywistości zarzucano mi raczej zbytnią przyziemność i prozaiczność moich metod. Żadnego wróżenia z fusów ani z kart tarota. — Spojrzała na Veronicę. — Przez chwilę byłam przekonana, że to byłeś ty, Cecilu.

Cecil pobladał.

— Ja? Jak mogło ci to w ogóle przyjść do głowy? Jaki racjonalny powód mógłbym mieć, by zrobić coś złego Robertowi — zabić go? Był dla mnie taki dobry; to dzięki niemu Chester mnie zaangażował...

Daphne zawahała się. Nie sądziła, że Cecil tak mało wie o swoim pochodzeniu. Powiadomienie go w tak krótkim czasie o istnieniu i śmierci jego ojca nie było czymś, co mieściło się w jej planach. Zerknęła

na Veronicę, szukając wsparcia. Skinienie głowy wystarczyło, by uznała, że nie ma wyjścia: ten chłopak musiał się w końcu dowiedzieć, w ten czy inny sposób.

— Cecilu... muszę powiedzieć otwarcie. Robert Stirling był twoim ojcem — powiedziała Daphne z drżeniem serca.

Zrobił wielkie oczy i cofnął się o krok.

— On... Jesteś pewna?

— Tak, jestem o tym mocno przekonana — powiedziała Daphne. — Ona też znajduje się na tej fotografii, twoja matka, z Robertem. Z Chesterem i Tyrone'em. Myślałam... no tak, myślałam, że ty wiesz. Że znalazłeś się tutaj, by szukać rewanżu na mężczyźnie, który miał romans z twoją matką, a potem ją porzucił.

Oczy Cecila rozbłysły, gdy przyglądał się tej fotografii.

— Nie miałem pojęcia... Żadnego. Chesterze, czy to prawda?

Ten stary mężczyzna kiwnął głową, zwilżając sobie wyschłe usta, zanim powiedział:

— On tego żałował, tego, że wykorzystał twoją matkę. To dlatego cię odszukał i przekonał mnie, żebym cię zaangażował. Co też zrobiłem z ochotą. Mieliśmy nadzieję, że będzie to... zadośćuczynieniem błędów przeszłości.

— Pięknie! — rzuciła Lilian. — Całe życie w czyścicu nie wystarczy, by zadośćuczynić za to, co zrobiłeś w przeszłości, Chesterze Harrisonie. Nie traćmy jednak czasu na twoje sentymentalne gładzenie. Panno King, proszę kontynuować!

Znalazłszy się w centrum uwagi, Daphne chciała się upewnić, że każdy będzie mógł obserwować, jak przygwoździ Lilian. Bez żadnych chwytów z repertuaru płaszcza i szpady ani jakichś głodnych kawalków. To miała być solidna detektywistyczna robota.

— Wiedziałam od początku, że coś tu było podejrzanego. Mianowicie te grzyby, które zabiły Roberta — *Amanita virosa* — zwane aniołami zagłady. Tak się nazywają, Lilian. Mogłaś użyć jakichkolwiek trujących grzybów, ale wybrałaś właśnie te. Morderca, który wybiera taką poetycką nazwę, wysyła pewien przekaz — zaczęła Daphne. — Ale do tych grzybów wrócimy później.

Lilian uśmiechnęła się; był to uśmiech uznania.

— A potem te prezenty. Chesterowi tak zależało, by je zlekceważyć, by uniknąć mówienia o nich, że coś musiało w nich być. Wiesz, że w przypadku jednej z pocztówek popełniłaś błąd. Na ogół dostarczane były do rąk własnych, do teatrów. Ale jedna z nich została wysłana pocztą — z Little Grinton. Oczywiście musiałam tam pojechać.

Lilian zachichotała.

— Musiał być jakiś powód, że wysłałaś ją stamtąd pocztą...

Lilian znów się roześmiała. Milcząco pokiwała głową.

— Ten wandal czy złodziej, który we mnie tkwi, wyrwał kartkę z książki gości. Ale wykorzystanie tego zabrało mi trochę czasu... Wrócę do tego później.

— A niech to, Daphne... Ułożyłaś to wszystko w trzyaktową strukturę! — zauważył Alfred, równie rozbawiony, co pod wrażeniem.

— Little Grinton podsunęło mi ten związek, którego potrzebowałam, z trującymi grzybami. Ten pomocny gaduła przy biurku w recepcji, Francis, powiedział nam o jakiejś niebezpiecznej pladze w lasku — i wiedziałam już, że jestem na właściwym tropie. Wiedziałam też, że twój ojciec był ogrodnikiem, a to dzięki Veronice, która opowiedziała mi szczegółowo o twojej młodości, gdy cię po raz pierwszy

zobaczyłam. O młodych rodzicach, którzy poznali się na służbie w majątku ziemskim. Oczywiście ludzie mogą zapoznać się z trującymi grzybami na wiele innych sposobów, ale jednak... W każdym razie ten szczegół utkwił mi w pamięci.

— Już nie nadążam — jęknął Cecil.

— Wróćmy do tych prezentów — pocztówek i pióra. Tego pióra. Było w nim coś eleganckiego, przemyślanego. Bo cygara i wino to dobra jednorazowego użytku. Nie to co pióro. Wyraz twarzy Chestera, kiedy zobaczył to pióro... potwierdzał znaczenie tego przedmiotu. A fakt, że wybrałaś je jako narzędzie do zamordowania Tyrone'a Bridge'a, utwierdził mnie w przekonaniu o jego ważności. Bo dlaczego wykradłaś to pióro z sejfów?

Daphne nie udało się ostatecznie ustalić, czemu Lilian to zrobiła, więc zależało jej na odpowiedzi.

— Tak, Tyrone uruchomił sprawę. Nie był przewidziany do tak szybkiego spotkania ze Stwórcą, nie wczoraj, ale tak to się jakoś ułożyło. Ktoś — chyba Alfred — wspomniął o tym piórze, gdy byliśmy w barze wczorajszego wieczoru. Wiedziałam, że kiedy ten stary gaduła Tyrone zacznie kłapać, wyśpiewa wszystko — bo on wiedział równie dobrze jak Chester, że to pióro należało do Russella. Nie miał bladego pojęcia, że jestem jego siostrą, ale to nie było ważne. Muszę jednak panią nieco pohamować, panno King. Od zawsze zamierzałam wykraść to pióro, choćby tylko po to, by wystraszyć trochę Chestera.

— Rozumiem — powiedziała Daphne, zerknąwszy na Alfreda, który skrzywił się na wspomnienie jego imienia w trakcie tej spowiedzi morderczynie.

— Naprzód, panno King. Niech pani nie pozwoli, żebym panią powstrzymywała — powiedziała Lilian, gestem zachęcając Daphne do kontynuowania.

— Ostatnie słowo konającego Tyrone'a brzmiało „łaskawa”. Ta kwestia zajęła mi trochę więcej czasu. W gruncie rzeczy to Veronica pomogła mi w tej sprawie. I jeszcze te adnotacje na odwrotnych stronach pocztówek... Pomyślałam, że to jakieś frazesy, nie miałam pojęcia, że pochodziły z tej sztuki. I tak jest: tu chodzi o tę sztukę, czyż nie, Lilian? Krótka wizyta w Foyles dała mi wszystko, czego potrzebowałam. Po pierwsze, użyłaś jednego z tych sformułowań w rozmowie ostatniego wieczoru — tak ci się nieszczęśliwie wymknęło. Po drugie — bohaterka sztuki nazywa się Isobel. Widziałam to imię w księdze gości. Jakaś „Isobel” odwiedziła „Russella R.”. Ten sentymentalny pseudonim, którego wtedy użyłaś, był twoją drugą wpadką. A po trzecie, ta cała francuska scena potwierdziła moje podejrzenia, że to nie ty ją napisałaś, Chesterze.

Wydał się mocno zdziwiony. Jak mogła dostrzec prawdę przez zasłonę tak starannie utrzymywaną przez dwadzieścia lat?

— Daj spokój, scena po francusku? I to nie byle jaka scena, tylko pełna niuansów, empatii, nie mówiąc już o miłości między rodzeństwem. A przecież ty zdania nie mówisz po francusku! Zorientowałam się od razu, kiedy was spotkałam — ciebie i Roberta — po raz pierwszy. Więc umieszczenie tej sceny wydało mi się mocno podejrzanym. — Daphne z niejakim trudem powściągnęła uśmiech zadowolenia z siebie. Ta przyjemność, którą czerpała z dopasowywania poszczególnych puzzli, była odwrotnie proporcjonalna do znaczenia, jakie miało rozwikłanie tych zbrodni.

— No widzisz, Alfredzie — wtrąciła Veronica, by się upewnić, że jej brat nadąża. — Lilian ukartowała to powodowana jednym nieopatrzonym słowem. Przekonała Donalda i Irene do wzięcia tych ról, żeby mieć pretekst do odwiedzin podczas każdej premiery tej sztuki w trakcie objazdu. Potrzebowała pretekstu, żeby być blisko tej produkcji, blisko Chestera i Roberta.

— Przepraszam, ale wciąż nie bardzo rozumiem — przyznał Alfred. — O ile wiem, ktoś wspomniął, że Robert klócił się z George'em, panem Salterem. Czy on ma jakiś udział w tym wszystkim?

„Aha!” — Daphne miała nadzieję, że ktoś podniesie tę kwestię.

— Czy mogę, Lilian? — Chciała się trochę podelektować tą rewelacją. — Dobrze myślisz, Alfredzie. Ja sama nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić. Ale potem przypomniałam sobie tę plamę, którą zobaczyłam na marynarce Roberta — to była jaskrawopomarańczowa plama. Potem zdałam sobie sprawę, że podobne, jeśli nie identyczne, zostawia pyłek lilii. A kto by mógł poplamić tym swoje ubranie, panie Salter?

George Salter powoli i ukradkiem wycofywał się spośród zebranych. Spowiedź Lilian Rogers wskazywała, że nadszedł czas, by wyjść. Zanim to jednak zrobił, uwaga wszystkich skupiła się na nim.

— Pan Salter zawsze nosi kwiat lilii w butonierce i ten dość niezwyčajny wybór utkwił mi w pamięci. Pyłek lilii dostał się na ubranie Roberta w trakcie szamotaniny w jego garderobie — tej sprzeczki, którą dosłyszała Irene — gdy pan Salter zażądał pieniędzy.

— George, czy ty wciąż próbowałeś wycisnąć pieniądze z Roberta? Mówiłam ci, żebyś nie był taki pazerny!

Pomimo poprzednich szokujących wynurzeń głos, który wypowiadał te słowa, sprawił, że niektórzy zebrani wydali z siebie dobrze słyszalne westchnienie. Bo był to głos Lilian Rogers.

— A ja ci mówiłem, że potrzebuję więcej tych cholernych pieniędzy!

Znów westchnienia. Theodora wydawała się bardziej zaszokowana, słysząc tę odpowiedź George'a na uwagę Lilian, niż rewelacjami o zastarzałych niegodziwościach swojego męża.

— George? O co... chodzi? Co miałeś na myśli?

— Doro, kochanie, bardzo mi przykro. Tak to się ułożyło, ale już koniec z tym — powiedział Salter szorstko. — Rogers dotowała mnie przez cały ten czas. Płaciła mi za psucie twoich kontaktów w Hollywood, za obgadywanie cię na mieście. Za przekonywanie, byś się poddała i wróciła tutaj.

— Widzisz, potrzebowałam cię z powrotem w Anglii — powiedziała Lilian. — Nie czułam się dobrze, myśląc, że dobrze ci się wiedz w Stanach. Sam obraz Chestera wygrzewającego się aż za długo w kalifornijskim słońcu zmusił mnie do podjęcia decyzji. To musiało być zrobione — i to szybko. Bardzo przepraszam, Theodoro, ale musiałaś zapłacić za to twoją karierą...

— Więc kim ty jesteś, George, do jasnej cholery? — Theodora nie mogła strawić faktu, że została tak dramatycznie oszukana.

— To całkiem przekonujący aktor, któremu przytrafiło się być także trochę gangsterem o nie całkiem złym sumieniu, ale ze skłonnością do brudnych sztuczek. Poznaliśmy się za pośrednictwem kolegi z Nowego Jorku.

— Lilian była hojna, a zresztą co innego miałem do roboty? Nowy Jork to zatkany kibel. Ja jestem zaradny chłopak, ale nie powiem, żeby LA czy Londyn napraszały się, bym je odwiedził. A kto powie „nie” takiej damie jak panna Rogers? Potrzebowałem tylko trochę dodatkowej forsy i miałem ją dzięki uprzejmości pana Stirlinga. Zdziwilibyście się, jak łatwo można zaszantażować takich gości. Ile szkieletów jest w ich szafach na szykowne garniaki. — George najwidoczniej upajał się swoją nową rolą, wyjściem z cienia. Podszedł do nagrobka na scenie i położył na nim dłonie.

— Jest jeszcze jedna rzecz, której nie jestem pewna. Będziesz tak uprzejma? — Daphne spojrzała na Lilian. — Jak zaserwowałaś Robertowi te grzyby? Czy przebrałaś się w fartuszek i dołączyłaś do obsługi baru kanapkowego na stacji metra Piccadilly Circus, gdzie Robert zachodził co rano?

Lilian roześmiała się szczerze.

— Na Boga, nie, panno King! Nic tak wymyślnego. Po prostu zaproponowałam mu kanapki, a on się zwyczajnie zgodził. Robert Stirling był człowiekiem, który nie zastanawiał się, co bierze z życia. Brał, co mógł i kiedy mógł.

Daphne przyjrzała się towarzystwu. Twarz Theodory wykrzywiła się niepokojem. Chester wspierał się ciężko na Cecilu. Irene założyła ręce, jakby była już znudzona tym, co się działo. Alfred przeczesywał palcami włosy, a jego twarz była bledsza niż wcześniej. Tymczasem Lilian, w odróżnieniu od innych, wydawała się niepokojąco spokojna. Nawet zadowolona. Zemsta, której szukała, była kompletna.

Veronica dotknęła ramienia Daphne.

— O której Marklow ma tu być? Co powiedział?

Podczas telefonicznej rozmowy z Marklowem Daphne zasugerowała, by on i jego koledzy z posterunku złożyli wieczorem wizytę w teatrze. Zdradziła swe podejrzenie, że sprawca może tam być. Dokładniej sprawcy i jej współnik, gotowy do popełnienia ostatniego morderstwa. Marklow westchnął głęboko, nim niezbyt chętnie zgodził się na ostatnią wyprawę do „tego cholernego teatru”.

Na twarzy Lilian pojawił się szeroki uśmiech. Patrzyła na Chestera.

— Nie dbam o to, że pójdę do więzienia, Chesterze. Mój brat doczekał się sprawiedliwości. Wreszcie. A co ty osiągnąłeś?

34

Następnego dnia, w Wigilię Bożego Narodzenia, Daphne usiadła przy biurku w swojej sypialni. Spała tej nocy głęboko i bez snów, ale niedługo. Wydarzenia ostatnich dni zaciążyły mocno na jej umyśle, a tymczasem zegar na kominku pani Booth wybił siódmą. Daphne pisała już od trzech godzin. Wcześniej przekazała telegraficznie Martinowi Hallidayowi zwięzłą relację z wydarzeń ostatniej nocy do wydania porannego, a teraz miała już gotową bardziej szczegółową wersję do wydania wieczornego.

Zakręciła pióro i pozostawiła je na swoim notesie. Ta euforia, którą czuła wczoraj, gdzieś odpłynęła. Zdemaskowała morderczynię, odkryła z dawna ukrywane sekrety, ale owoce dochodzenia nie przyniosły jej wiele radości. Zrujnowane życiorysy, martwi ludzie. Lilian będzie skazana. Świat Theodory wyrwał się do góry nogami. Nawet Cecil został zmuszony do konfrontacji z prawdziwą naturą człowieka, który był jego ojcem.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze parę godzin, by złapać pociąg do Slough. Jej siostrzenice i siostrzeńce chcieliby się pobawić, matka pomęczyłaby ją o perspektywy małżeńskie. Daphne przytknęła oczy. Sherlock Holmes nie musiał się mierzyć z takimi wyzwaniem.

Rozległo się nieśmiało pukanie do drzwi. Pani Booth powinna się doprawdy ograniczać do bardziej sensownych godzin. Czego, do diabła, mogła chcieć o takiej porze?

— Gość do pani, panno King. Byłabym wdzięczna, gdyby powiadomiła pani swoich znajomych, że w tym domu goście o siódmej rano *nie są* mile widziani — powiedziała pani Booth ostrym tonem.

— Tak, tak, już schodzę — mruknęła Daphne, podnosząc się z krzesła.

Na dole zobaczyła Veronicę. Stała tam w obszernym ciemnozielonym płaszczu.

— King, nie mogłam usnąć. Nawet dżin mi nie pomógł. Co byś powiedziała na ubranie się i wyjście na spacer?

W mroźnym grudniowym powietrzu, przy słońcu ledwie wyglądającym spoza ciężkich chmur, z Veronicą maszerującą obok, Daphne poczuła, że jej umysł znów jest czysty. Myślała o tym spacerze, gdy — cztery dni później — Martin Halliday wezwał ją do swego gabinetu i łaskawie zgodził się, by odesłać Drogą Susan na emeryturę, a samą Daphne King przenieść do działu kryminalnego. Zachowywała ten

spacer w pamięci także w następnym roku, gdy razem z Veronicą usiadła na widowni, by obejrzeć wznowienie *Laskawej i gniewnej*. Szum wokół tych morderstw wzbudził nowe zainteresowanie tą sztuką i jej prawdziwym autorem; nazwisko Russell Rogers widniało tym razem na samej górze afiszy wywieszonych na teatrze przy Shaftesbury Avenue. Myślała również o tym spacerze, gdy odwiedziła Lilian Rogers w więzieniu, by dać jej program tej nowej inscenizacji.

Jednakże w tej akurat chwili Veronica Burford zaproponowała, by poszły do Soho. W końcu gdzieś na tym świecie była już piąta wieczorem. I była Wigilia Bożego Narodzenia.

Podziękowania

Wielkie dzięki dla wszystkich z Vintage za ich opiekę i kompetencje, a dokładniej dla Alexa Russella, Polly Dorner, Mii Quibell-Smith i Kate Neilan, oraz dla tych wszystkich, dzięki którym książka ta trafiła do księgarń. Bardzo dziękuję też moim przyjaciołom i rodzinie za wsparcie. No i oczywiście wdzięczna jestem Rachel, za wszystko.

1 Cytaty z *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa w tłumaczeniu Krystyny Tarnowskiej. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

2 Muzyczne przedstawienia gwiazdkowe.

3 Nazwisko Daphne oznacza króla (ang. *king*), *prince* to z kolei po angielsku księżę.

4 *Henryk V*, akt III, scena I, przekład Leona Ulricha.

5 Babeczka nazywana bakaliami, popularny brytyjski wypiek bożonarodzeniowy.

6 Dosł. „Bóg uspokaja was radośnie, panowie” — angielska kolęda z XVI wieku.

7 Isobel: Czy to doprawdy ty? Mój drogi brat?

Rostand: Siostrze! Choć byliśmy rozdzieleni, teraz będziemy dorastali razem, silniejsi.